



Anita Brookner



UWIKŁANE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nasza swoista przyjaźń narodziła się w dniu, w którym przyszyliśmy pierwszy raz do szkoły. Nosiliśmy to samo imię, więc kazano jej wybrać sobie jakieś inne. Postanowiła, że będzie to Betsy. Zapożyczyła je chyba z którejś z tych pogodnych książek dla dzieci, jakie się wtedy czytało. Potem, po wielu latach od skończenia szkoły, nazywała się Betsy de Saint-Jorre. Nieźle jak na dziewczynę, która zaczynała jako Elizabeth Newton.

Jakże miłe były w tamtym czasie dzieci w porównaniu z dorosłymi, którymi się stały! Urodzone w 1948 roku wszystkie zachowywałyśmy się grzecznie, nie było w nas cienia dociekliwości ani owego buntowniczego sposobu myślenia, jaki charakteryzuje tych, dla których młodość oznacza czas nieustannych poszukiwań. Odwiedzałyśmy się, wysyłałyśmy sobie widokówki ze spędzanych z rodzicami wakacji, zakładałyśmy, że nasza znajomość trwać będzie przez całe życie... Dałyśmy się zaskoczyć latom sześćdziesiątym: byłyśmy zupełnie nie przygotowane, nie zorientowane i nic z tego nie pojmowałyśmy. Dlatego, co widzę dopiero teraz, wysłałam za Digby'ego: było to takie stosowne, nie wymagające myślenia posunięcie. I dlatego też Betsy postanowiła zrobić karierę zawodową; zdawała sobie sprawę ze swojej rozpaczliwej sytuacji finansowej. Trudno powiedzieć, byśmy miały jakiś wybór. Niemniej byłyśmy całkiem zadowolone. Wtedy nie było wielu możliwości. Teraz jest ich za dużo. Wówczas nasze motywy skrywała dyskrecja, możliwe zresztą, że nadal tak się dzieje, w tej epoce różnorodnych środków łączności, e-maili, SMS-ów, aktualnych wiadomości dostępnych przez okrągłą dobę. Nadal polegamy na słowie mówionym, na przemyślanej relacji. Tak właśnie i dzięki temu poznałam historię Betsy, choć w żadnym razie nie mogę twierdzić, że znam ją całą. Odnoszę wrażenie, że są w niej obszary niejasne, których lepiej nie odkrywać. A Betsy zawsze była aż do bólu szczerą, bardziej, niżby nakazywała roztropność. Dało się to zauważyć, już kiedy byłyśmy dziećmi; ta chęć, by się wytłumaczyć, by być zrozumianą, była w rzeczywistości niczym innym jak pragnieniem, by ją kochano. To pragnienie było zauważalne i odróżniało ją od innych. W latach późniejszych, kiedy spotkałam ją ponownie, wciąż w niej tkwiło, nieco tylko przytłumione nabytymi manierami, ciągle w niezgodzie z jej rygorystycznym sposobem myślenia. W innych okolicznościach byłaby osobą wyjątkową. Ta szansa została jednak zaprzepaszczona, jej nadzieje się nie spełniły, a kiedy dorosła, fakt, że zdawała sobie z tego sprawę, dostrzegalny był w jej skierowanym gdzieś w okno, dziwnie nieobecny spojrzeniu czy w entuzjastycznym uśmiechu, jakim obdarzała każde dziecko.

Zmiana z Elizabeth na Betsy wydawała się zupełnie naturalna, ponieważ ona sama nie była jeszcze pewna swojego statusu. Przyjęła tę zmianę spokojnie, przekonana, że daje jej to możliwość stania się kimś innym, bardziej beztroskim, pozwoli traktować wiele spraw pobieżnie, na wszystko reagować uśmiechem. Marzyła o tym, by żyć niefrasobliwie, doświadczać owej lekkości bytu, która dla mnie i dla mojego środowiska była tak naturalna. Odpowiedzialność, jaką niesie dorosłość, zdążyła już poznać na przykładzie owdowiałego ojca i wyblakłej, nijakiej ciotki, która usiłowała ratować jakieś szczątki życia rodzinnego w mieszkaniu nad gabinetem lekarskim przy Pimlico Road. Betsy miała pecha, co do tego panowała zgoda, i dlatego była dla nas czymś w rodzaju wybryku natury. Moja matka twierdziła, że jej współczuje, ale jednocześnie z niechęcią odnosiła się do wysiłków Betsy, która bardzo starała się być miłą przy okazji tych rzadkich wizyt w naszym domu przy Bourne Street. Wpadała w zachwyt na widok podwieczorku (dość przecież skromnego w tamtych czasach powszechnej oszczędności) i w niezbyt wyrafinowany sposób chwaliła wystrój naszego salonu. Matka nawet nie próbowała być taktowna, kiedy dawała jej do zrozumienia, że zauważa ten brak towarzyskiego obycia. Miałam wiele lat na to, by się zastanowić nad cierpkością mojej matki. Jeszcze kiedy byłam bardzo młoda, pragnęłam zachowywać się inaczej niż ona, chciałam być mniej szorstka, nie tak dumna, no i nie chciałam być taką konformistką jak matka. Teraz widzę, że nie bardzo mi się to udało. Jedynym moim sukcesem jest umiejętność powstrzymywania się od okazywania cierpkości. Bo nadal często osądzam innych bez cienia wyrozumiałości.

Istniał jeszcze jeden powód tej wyraźnej antypatii matki i był on związany z samą przyczyną, dla której Betsy mogła być traktowana jak osoba całkowicie pozbawiona praw obywatelskich. Zaniedbanie czy też niekompetencja jej ojca doprowadziła do śmierci jednej z jego pacjentek, przypadkiem naszej znajomej. Nieskrywane uczucie politowania i antypatii, jakie zmanifestowała moja matka przy pierwszym spotkaniu, wstrząsnęło Betsy bardziej niż hańba, którą ojciec zostawił jej w spadku. Wydawało się, że ta hańba będzie ją prześladować przez całe życie, bo przecież nie miała jak jej zmazać. Muszę przyznać, że błędna diagnoza należała do kategorii tych pospolitych: guzek w piersi, który w jego przekonaniu był jedynie torbielą, okazał się złośliwym nowotworem i doprowadził do zgonu pacjentki. Sam lekarz po roku zamartwiania się i wysłuchiwanie złośliwości okolicznych mieszkańców również pożegnał się z tym światem. Widziałam go, kiedy ten jedyny raz poszłam z Betsy do jej domu. Wszedł do pokoju, który był chyba kiedyś jej pokojem dziecięcym, gdy właśnie rozprawiałyśmy nad zadaniem domowym, wyłączył elektryczny kominek i otworzył okno. Wydało mi się to bezduszne, choć

mogło mieć na celu nasze dobro, ale w jego sposobie bycia nie dostrzegalam nic sympatycznego. Uważalam, że zupełnie się nie nadaje na ojca, teraz sędzę, że po prostu miał do dzieci stosunek obojętny. Lepsze maniery zachowywał dla pacjentów, szczególnie dla pacjentek. Możliwe, że w jego profesjonalnym arsenale chęć uspokojenia czy wręcz dodania otuchy była najważniejsza. Nie krążyły przecież żadne pogłoski o jakimś niestosownym zachowaniu, przynajmniej do mnie nic takiego nie dotarło. A jednak poniósł porażkę i po śmierci naszej znajomej miał coraz gorszą reputację. Jego śmierć, na atak serca, przy biurku we własnym gabinecie lekarskim, była prawdziwą ironią losu. Ale tego nie był już świadom. Zresztą ironia nie była w latach pięćdziesiątych zbyt ceniona. Za to teraz jest wszechobecna.

Wyrażono współczucie, złożono kondolencje i zapomniano o całym wydarzeniu, ale nie o losie pacjentki. Zniknięcie lekarza uznano za stosowne, podobnie jak to, że Betsy powierzono ciotce. Ciotka - Mary dla siostrzenicy, panna Milsom dla wszystkich innych - robiła jeszcze gorsze wrażenie niż jej szwagier. Wysoka, chuda, bezbarwna i najwyraźniej wciąż dziewica: nawet w tych niewyzwolonych czasach wywoływała niejasne uczucie odrazy. „Biedactwo”, oznajmiła moja matka, dając wyraz współczuciu, w którym znów widoczna była jej antypatia czy, co bardziej prawdopodobne, niesmak, możliwe, że usprawiedliwiony. Panna Milsom przyjechała zająć się domem, kiedy wkrótce po urodzeniu Betsy jej siostra umarła. Wszystkie prace wykonywała z pełną rezygnacji skrupulatnością, tak że przygotowanie niestrawnego zresztą posiłku zabierało jej cały dzień. Za każdym razem, kiedy moja matka wyrażała współczucie, czy raczej politowanie, dla panny Milsom, wybuchała śmiechem, ukazując garnitur olśniewająco białych zębów, jak gdyby chciała w ten sposób podkreślić różnicę pomiędzy nią a sobą.

W dzisiejszych czasach bylibyśmy przekonani, że pannę Milsom i doktora łączył seks, wtedy jednak nic podobnego nie przychodziło nam do głowy. Jakie niewinne były to czasy; seks nie stał się jeszcze rozdawanym na lewo i prawo towarem, jakim jest teraz. Nie uzewnętrziano wtedy swoich uczuć; zarówno Betsy, jak i jej ciotka uważały ten układ za jedyny możliwy, a że obie były osobami lojalnymi i posłusznymi pewnym zasadom, utrzymywały niezbyt absorbującą rodzinną harmonię, która, choć godna podziwu, im samym niewiele przynosiła radości. Betsy była bystrą dziewczyną, w domu jednak nie miała okazji robić użytku ze swojej inteligencji; natomiast w szkole stała się entuzjastką dramatu i z ochotą recytowała wersy z Szekspira, a nawet z Racine'a (przerabialiśmy *Hamleta* i *Berenikę*); tylko wtedy mogła wyrażać słowami swoje aspiracje (właśnie aspiracje, a nie frustracje) i otrzeć się o uczucia zarezerwowane dla dorosłych.

Rozwiązaniem, jakie Betsy i ciotka znalazły dla swojego wzajemnego niezrozumienia, były cotygodniowe, zazwyczaj w sobotni wieczór, wyprawy do kina, gdzie w tłumie nieśmiało doświadczały kontaktu z ludźmi. Wczesna kolacja, kino oraz filiżanka herbaty po powrocie do domu w przekonaniu panny Milsom stanowiły wystarczającą formę rozrywki, zarówno dla niej, jak i siostrzenicy. Oglądała filmy z pozycji obserwatora: nie dla niej ta rozrzutność, swoboda i romantyzm. Mimo swojego wewnętrznego zdyscyplinowania poddawała się wzruszeniu, gdy tymczasem Betsy pozostawała wierna tym wznioślejszym ideałom ulubionego Racine'a. „*Que le jour recommence, et que le jour finisse/Sans que jamais Titus puisse voir Bérénice...*” Wersy te okazały się w pewnym sensie wizjonerskie, bo gdy na końcu siedziałam przy niej w szpitalu i patrzyłam w szeroko otwarte oczy w wymizerowanej twarzy, słyszałam, jak szeptała: „...*sam que de tout le jour...*” Potem zapadła cisza.

Oczywiście, nic na to nie wskazywało, kiedy byłyśmy dziećmi czy nawet nastolatkami. Była ładna, choć nie miał jej kto tego powiedzieć. W tamtym czasie nasza przyjaźń polegała na przebywaniu razem, zresztą jedynie w szkole. Matka zniechęcała mnie do niej. „Nie możesz sobie znaleźć kogoś odpowiedniejszego?”, powtarzała, mając na myśli kogoś zamożniejszego, komu bardziej sprzyjało szczęście, kogoś użyteczniejszego. Wyobrażała sobie, że moje życie będzie dokładnie takie jak jej: małżeństwo z człowiekiem wolnego zawodu, wygoda, zagwarantowana bezczynność, zapewnione rozrywki. Brak podobnych perspektyw już wtedy wykluczał Betsy z tego towarzyskiego kręgu, który matka uważała za odpowiedni. Dostrzegając i na dodatek potępiała przesadną gorliwość Betsy w okazywaniu jak najlepszych manier. Być może poczuła też na sobie jej szacujące spojrzenie. Betsy bowiem, wychowana w atmosferze smętnej prostolinijności, ze zdumieniem przyjmowała każde odstępstwo od niej. Moja matka była co prawda kobietą beztroską, ale posiadała też dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy; najmniejszy ślad krytyki traktowała niczym obrazę. Nie, żeby Betsy była wobec niej krytyczna; była na to zbyt dobrze wychowana. Otwierała natomiast szeroko oczy, bez wątpienia z pewnego rodzaju podziwem, na popisy mojej matki przed nawet tak mało ważną osobą jak ona. Wyczuwałam rozdrażnienie matki, kiedy stukała papierosem o pokrywę srebrnej papierośnicy, zanim teatralnym gestem go zapaliła.

- Może pokażesz przyjaciółce swój pokój? - przerwała milczenie. - I oprowadzisz po ogrodzie, dobrze? - Odesłała nas.

- Twoja matka jest taka piękna, prawda? - powiedziała Betsy w ogrodzie.

Zapamiętałam te słowa, żeby przekazać je matce, w nadziei, że tym ją ugłaszczę. Bo matka była rzeczywiście zirytowana; za dobrze ją znałam, żeby tego nie zauważyć. Betsy tak właśnie działała na ludzi, a już szczególnie w późniejszych latach. Mogła to być oznaka cnoty, jaką bez wątplenia przejęła od wielkich dramaturgów; oni zajmowali się wyłącznie cnotą i oczywiście jej przeciwieństwem.

Nie znaczy to wcale, że Betsy posiadała jakąś nadzwyczajną zdolność znajdowania wskazówek na przyszłość. Po prostu osoby, które zaczynają skromnie, muszą badać świat bardziej skrupulatnie, żeby znaleźć te wskazówki. Nie tylko Betsy, ale wszystkie dziewczęta z naszego pokolenia - zbyt już dorosłe jak na lata pięćdziesiąte i za młode na lata sześćdziesiąte - wiele musiały się nauczyć. Wciąż obowiązywały nas zasady narzucone przez rodziców i nauczycieli, bezwarunkowe posłuszeństwo, szacunek; nie bardzo do nas docierało, że w przeciwieństwie do poprzedniego pokolenia my już możemy dokonywać wyborów. W tej sprawie byłam równie nieświadoma jak Betsy, choć miałam zapewne większe niż ona poczucie bezpieczeństwa. Moi rodzice wywarli na mnie silny wpływ, głównie dlatego, że oboje konsekwentnie przestrzegali pewnych zasad społecznych, które naturalnie przejmowałam od nich. Teraz, z perspektywy czasu, widzę, że zarówno ja, jak i moje rówieśniczki dostałyśmy zły przepis na życie. Przyglądam się tej naprawdę wyzwolonej młodzieży (i jeszcze bardziej wyzwolonym ludziom w średnim wieku) i zdumiewam się jej niefrasobliwością, wyraźnym brakiem jakichkolwiek obaw. Jeszcze teraz często przychodzi mi do głowy, że to, co uważam za złe zachowanie, powinno być karalne. Nas nie dręczyło pożądanie, chociaż nieśmiało podejrzewałyśmy, że świat się zmienia. Podczas wypraw na King's Road w sobotnie poranki (kiedy dorośli zajmowali się domem i zakupami) rozmawiałyśmy o tym, co chciałybyśmy robić w przyszłości. Mnie to nie bardzo zaprzętało, ale Betsy, która była zdana wyłącznie na siebie, podchodziła do tego poważnie. Pod tym względem była większą realistką niż ja. Ja miałam trochę pieniędzy po dziadkach; pozostawały one co prawda pod kontrolą ojca, ale suma była i tak wystarczająca, żebym nie musiała wtedy robić żadnych dalekosiężnych planów. Matka wspomniała coś o kursie gotowania, o rocznym pobycie we Florencji; tę możliwość trzymałam w rezerwie. Napomknęłam o tym od niechcienia, kiedy popijałyśmy kawę z mlekiem. Betsy spojrzała na mnie zdziwiona.

- Nie chciałabyś pracować? Albo pójść na uniwersytet? - spytała. - Jesteś świetna z angielskiego.

- Mogłabym zostać dziennikarką - powiedziałam, właściwie tylko dla podtrzymania rozmowy. - A ty?

- Cóż, ja będę musiała znaleźć sobie jakąś posesję.

- To ty powinnaś pójść na uniwersytet. Ty jesteś dobra z języków obcych. Twój francuski...

- Nie będzie na to pieniędzy. I muszę opiekować się Mary. Jest taka słaba. Ma anemię. Łatwo się męczy. Akurat w tych sprawach to ty masz więcej szczęścia.

Zaczerwieniła się, jakby powiedziała coś niestosownego. Był to ten jeden, jedyny raz, kiedy rzuciła uwagę na temat naszej zdecydowanie odmiennej sytuacji życiowej. Nie bardzo pojmowałam, że można zazdrościć komuś czegoś tak naturalnego jak posiadanie rodziców. Czytałam opowieści o sierotach i wiedziałam, że trzeba im współczuć. Jednak w przypadku Betsy nie uważałam, żeby śmierć jej ojca była wielką stratą; zresztą ona miała w sobie tę śmiałość, która pozwalała jej spoglądać daleko w przyszłość, śmiałość, której dziwnym trafem mnie brakowało. W tamtym momencie chciałam płynąć z prądem, spokojnie dotrzeć do końca szkoły, a potem dopiero pomyśleć o jakimś rozwiązaniu... albo zgodzić się na rozwiązanie podsunięte przez innych.

- Przekaż proszę serdeczne pozdrowienia twojej mamie - powiedziała, kiedy wkładałyśmy płaszcze.

Może chciała zatrzeć złe wrażenie po tym *faux pas* - po stwierdzeniu, że to ja mam szczęście, bo posiadam rodziców; w każdym razie słowa te ujawniły jej słabość, jaką była pewna przesada w zachowaniu. Posuwała się za daleko w uprzejmościach, zbyt chętnie służyła swoją osobą, zbyt usilnie starała się być użyteczna. Miałam być tego świadkiem przy wielu okazjach, szczególnie w późniejszych latach. Tamte liczne wieczory spędzone w kinie, kiedy oglądała baśniowe życie na ekranie, nie przekonały jej, że można udawać, sprzeciwiać się, flirtować i zachowywać się nieodpowiedzialnie, nie nauczyła się od bohaterek tak lubianych przez ciotkę hollywoodzkich melodramatów, że przebiegłością i przekorą można osiągnąć upragnione i zaszczytne cele. Betsy nigdy tej sztuki nie opanowała. Otwierała szeroko oczy, naprawdę wstrząśnięta, kiedy spotkała się z czymś, co nie było wypowiedziane jednoznacznie lub choćby w najmniejszym stopniu odbiegało od prawdy. Wiedziałam, że czasami jej obecność może być kłopotliwa i że pewne sprawy trzeba przed nią ukrywać, ale kiedy miała piętnaście czy szesnaście lat, kładłam jej zachowanie na karb braku matki, która wytłumaczyłaby jej, co jest, a co nie jest stosowne. Nigdy tak do końca nie wyzbyła się tej charakterystycznej cechy, a przecież nie-

zależnie od tego, jak wysoko cenimy uczciwość, żyjemy dostatecznie długo, żeby zaczęła nam doskwierać uporczywa uczciwość tych, którzy nas znają z czasów, kiedy sami byliśmy prostolinijni.

Nie wspomniałam Betsy o tym - była to właśnie jedna z rzeczy, które musiałam przed nią ukrywać - że moi rodzice nie żyli w zgodzie i że przyzwyczaiłam się do podniesionych głosów dochodzących z ich sypialni późno w noc. Moim pragnieniem było wyrwać się stamtąd, przeżyć życie z dala od tych toksycznych spraw dorosłych. Obawiałam się, że mogą oni zniszczyć tę swoistą niewinność, czy też nieświadomość, którą tak bardzo sobie ceniłam. W tamtym czasie moje pogmatwane odczucia mówiły mi, że powinnam mieć prawo do popełniania własnych błędów, a nie być wprzęgana w błędy innych. Instynktownie opierałam się matce oraz jej planom, uważając, być może słusznie, że nie wyjdą mi na dobre. W swojej naiwności nie pojmowałam, jak dwoje ludzi może się nienawidzić, a mimo to żyć pod jednym dachem. Wiedziałam, że ojciec ma przyjaciółkę, córka jednak łatwiej wybacza ojcu niż matce. Matka, z tego, co wiem, nie zdradzała ojca, ale wierność wyostrzyła jedynie jej język i wzmogła krytycyzm. Dochodzący z sypialni szorstki, pogardliwy głos napełniał mnie przerażeniem, nawet grozą. Uważałam, że rodzice powinni być łagodni, powściągliwi i że niektóre dzieci mają szczęście żyć w takich rodzinach. Moje zupełnie niesprecyzowane plany koncentrowały się wokół ucieczki. Otuchy dodawał mi fakt, że miałam własne pieniądze, i świadomość, że kiedyś będę mogła naprawdę uciec, nawet za granicę, jeśli zechcę. Było to jednak nierealne, kiedy miałam szesnaście lat. Jednocześnie byłam wystarczająco skrupowana regułami wychowania oraz normami postępowania klasy, z której pochodziłam, żeby wiedzieć, że nie wolno mi się skarżyć ani wyrażać niezadowolenia i że muszę się zachowywać tak, jakby na tym najlepszym ze światów wszystko było w najlepszym porządku.

To, że nie zwierzyłam się Betsy, wynikało zarówno z tych głęboko zakorzenionych norm, jak z obawy przed jej spojrzeniem, które wbiłoby się we mnie w pełnym współczucia przerażeniu. Nie mogłam przecież opowiedzieć o czymś tak oburzającym komuś tak niewinnemu (czy nieświadomemu). Dlatego właśnie odpowiadałam wymijająco na wszelkie pytania dotyczące mojej przyszłości, nawet te, które dotyczyły ewentualnego wyboru zawodu. Nasza przyjaźń opierała się na swego rodzaju wspólnocie: Betsy nie może się dowiedzieć, że ja już zetknęłam się z tą paskudną rzeczywistością, o której ona jeszcze nie ma pojęcia. Podziwiała przecież moich rodziców i nigdy nie zrozumiałaby, że oni na ten podziw nie zasługują. Uważałam, że trzeba ją chronić przed smutkiem, skoro i tak doświadczyła smutku wynikającego z

braku matki. Radziła sobie dobrze i nie miałam ochoty mącić jej obrazu rzeczywistości. Nie dlatego zresztą, żebym poczuwała się wobec niej do jakiejś szczególnej lojalności, wykraczającej poza dziecięcą przyjaźń. Nie postępowałabym inaczej, nawet gdybym wiedziała, co się wydarzy później. Często szanujemy u innych te cechy, których sami nie posiadamy.

Tak to sobie wymyśliłam: będę ją chronić, ponieważ niewielu osobom może zaufać. Panna Milsom była w moim przekonaniu zupełnie niegodna zaufania. Uważałam, że Betsy zachowała się wspaniale, akceptując pannę Milsom taką, jaka była, przyjmując bez cienia niecierpliwości czy krytycyzmu jej mdłe jedzenie, konwencjonalne rozmowy, sobotnie wyprawy do kina jako taką wersję życia rodzinnego, której nic nie można zarzucić. Było dla mnie oczywiste, że kiedy przyjdzie czas, zresztą niedaleki, zajmie się ciotką u schyłku jej życia, nie zastanawiając się nawet, jak niewiele wszystkie panny Milsom tego świata dają tym, którzy znajdują się pod ich opieką. Betsy ukończyła szkołę dzięki stypendiom; bez wątpienia uzyskałaby również stypendium uniwersyteckie, ale tu przeszkodą mogła się okazać panna Milsom i jej choroba. Lojalność Betsy, obejmująca wszystkich, których znała, także moich rodziców, wynikała bez wątpienia z jej okrojonego dzieciństwa, co nie znaczy, że przez to była mniej imponująca. Z czasem przybrała ona formę pragnień, czego sama miałam być świadkiem. Ani wtedy, ani nigdy potem nie chciałam niszczyć tej bezgranicznej ufności, nawet kiedy stała się skrzywieniem, a właściwie przerodziła w udrękę i tęsknotę, co w końcu doprowadziło do odsłonięcia tamtej niezabliźnionej rany.

Od początku naszej znajomości postępowałyśmy zgodnie z pewnymi konkretnymi zasadami i co dziwne, a może wcale nie dziwne, tak już pozostało. Były sfery, w których wiedziałyśmy o sobie wszystko; w innych musiałam zachować swoje opinie i sądy dla siebie. Dawałam sobie z tym radę, bo byłam osobą dumną, chociaż teraz widzę, że nie ma takiej dumy, która nie byłaby podszyta wstydem. Odczuwałam ten wstyd zapewne silniej niż moi rodzice; bardziej jeszcze w towarzystwie rówieśników, a najbardziej, kiedy Betsy kreśliła otwarcie swoje plany: znajdzie pracę, która pozwoli jej zajmować się panną Milsom, bo przecież nigdy nie wchodziło w rachubę inne rozwiązanie. Wiedziałam, że w porównaniu z tak klarownymi planami moja przyszłość jest mętna. Mimo że obie byłyśmy nie rozbudzone - należałyśmy, jak sądzę, do ostatniego dziewiczego pokolenia - wiedziałam, że to ja zdążyłam już dostrzec złożoność spraw zupełnie niedostępną dla Betsy, dla której wszystko było proste i jednoznaczne. Ciągle trzymałam się planu ucieczki, choć na myśl o tym cierpła mi skóra. Wtedy jeszcze nie chciałam zmian, wołałam, żeby wszystko pozostało po staremu, nawet gdybym miała stać się

zakładniczką rodziców, ich jedynym punktem stycznym. Zbliżała się pora lunchu i każda z nas musiała już wracać do domu. Szliśmy King's Road zamyślane i milczące.

- Widziałaś tę dziewczynę? - wyszeptała w pewnej chwili Betsy.

Skinęłam głową.

- Ładna, co? Mogłabyś się tak ostrzec. Ślicznie by to wyglądało. Masz takie regularne rysy - mówiła z przekonaniem. O sobie nawet nie pomyślała. Tak jak gdyby potrafiła wyobrazić sobie korzystne zmiany jedynie u innych. W stosunku do siebie zachowywała niezachwiany zdrowy rozsądek, który już wtedy wydawał mi się niezwykle.

Chwilami żałowałam, że jestem zupełnie inna, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że pójdę przez życie z większym poczuciem realizmu dzięki temu, że nie obdarzono mnie, czy raczej obarczono, tymi wszystkimi cnotami.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy skończyłyśmy szkołę, każda poszła swoją drogą i widywałam ją rzadko, ale od czasu do czasu wieści o niej docierały do mnie za pośrednictwem innych koleżanek, które nadal utrzymywały z nią kontakt. Jak się spodziewałam, poszła na uniwersytet, gdzie studiowała filologię francuską i niemiecką. Nie przewidziałam natomiast, że panna Milsom zostawi jej dzieśnię tysięcy funtów w spadku i Betsy, pierwszy raz w życiu, będzie niezależna finansowo. Mieszkała nadal przy Pimlico Road, ale zamierzała sprzedać dom i kupić niewielkie mieszkanie. Za pieniądze panny Milsom pojechała do Paryża, żeby pogłębić wiedzę. „Pogłębianie wiedzy” polegało na wyzbywaniu się zahamowań, będących skutkiem wychowania, uczęszczaniu na jakieś wykłady i inne zajęcia uniwersyteckie, ale obejmowało także stosowną fryzurę i nowy sposób ubierania się. Najogólniej rzecz ujmując, nauczyła się, jak być częścią grupy młodych ludzi, którzy w upojeniu sukcesem studenckich protestów tworzyli nieformalne kręgi i spędzali dni na dyskusjach, a potem ciągnęli rozmowy w wynajmowanych pokojach do późnej nocy. To wyzwolenie, choć nieznaczne, bo nie podejrzewam jej o nadmierną swobodę, zakończyło proces przechodzenia w dorosłość, przynajmniej w aspekcie zewnętrznym. Kiedy ją znowu zobaczyłam, na moim ślubie, byłam pod wrażeniem zmian, jakie zaszły w jej wyglądzie. Jedynie oczy pozostały takie same. Jak zawsze jaśniały ufnością i szczerością; rzeczywiście radowało ją moje szczęście.

- Wyglądasz cudownie - powiedziała, ściskając moją dłoń.

Ale to ona wyglądała cudownie, zupełnie jakby i ją miał spotkać los podobny do mojego, przypieczętowany tym przyjęciem w londyńskim hotelu, które było ostatnim wspólnym gestem moich rodziców, zanim się rozwiedli i zostawili mnie na pastwę nowego przeznaczenia.

- Jesteś szczęśliwa? - spytała, niechętnie uwalniając moją dłoń z uścisku.

- Tak, oczywiście.

- Szkoda, że nie możemy się spotkać. Mamy sobie tyle do powiedzenia, prawda? Pewnie wyjeżdżasz?

- Do Wenecji. Jutro rano.

- Cudownie - powtórzyła. - Skontaktujesz się ze mną po powrocie? Zostawiam to tobie; pewno będziesz bardzo zajęta. Gdzie zamieszkacie?

- W Melton Court. To taki dom w South Kensington. - Moje słowa były szorstkie i niezbyt wylewne.

- O... - Otworzyła szeroko oczy. - Będzie ci się tam podobało? Bo jakoś wyobrażałam sobie siebie w Chelsea. Pamiętasz, jak pijałyśmy kawę na King's Road?

Doskonale pamiętałam, niemal z nostalgią, jakbym powróciła do czasów, kiedy dorośli nie wciągnęli mnie jeszcze w swoje sprawy. W tej hotelowej sali balowej, ze znużonymi kelnerkami, które już nieraz to wszystko widziały, czułam się zagrożona, gorzej jeszcze, bez nadziei zagubiona. Chętnie bym z nią usiadła, ale matka, zupełnie jakby to było jej wesele, przywoływała mnie nieustannie do porządku, kazała witać następną ze swoich przyjaciółek i powtarzać tę moją mantrę o Wenecji i Melton Court. W pewnym sensie ta bezgranicznie nudna uroczystość stanowiła dla mnie ratunek;

Betsy nie była bowiem osobą, której mogłabym zdać niczym nie ubarwioną relację o sobie. Zresztą i tak by mi nie uwierzyła.

Poślubiłam Digby'ego Wetheralla, ponieważ byłam znudzona i nieszczęśliwa, ponieważ rozgoryczenie rodziców doprowadziło do separacji, po której miał nastąpić rozwód, ponieważ trzeba było sprzedać nasz dom, ponieważ pociągał mnie każdy, czyje poglądy i uczucia były nieskomplikowane i ponieważ mnie kochał. Jego postura, potężne bary, szeroki uśmiech pociągałyby mnie w każdych okolicznościach; kiedy poprosił mnie o rękę (ze łzami w oczach), zareagowałam instynktownie, mimo że do tamtej chwili uważałam go wyłącznie za przyjaciela rodziny, którego mój ojciec przypadkowo był radcą prawnym. Wiedziałam, że bez niego, czy kogoś takiego jak on, nie mam przyszłości. Popadłam bowiem w niebezpieczny nałóg stosowania się do życzeń matki i rzeczywiście poszłam na kurs gotowania, dzięki czemu mogłam

przygotowywać całkiem niezłe potrawy na przyjęcia, których wydawanie stanowiło osobliwość tamtych czasów.

Marzyłam, żeby uwolniono mnie od tego obowiązku, ale przecież nie nauczyłam się niczego innego. Wyzwalająca atmosfera niedawnej przeszłości w żaden znaczący sposób nie obejmowała mojej osoby, mimo że byłam wrażliwa na urodę młodych mężczyzn i pragnęłam poznać ich bliżej. Digby nie był młodzieńcem. Był starszy ode mnie o dwadzieścia siedem lat, ale za tym kryła się obietnica, że otoczy mnie opieką, której mój ojciec już dawno zrzekł się bez żalu. Wiedziałam, że ten ojciec (już nie „mój” ojciec) zamierza ponownie się ożenić, z kobietą o kilka lat młodszą od mojej matki. Ta różnica wieku wydawała mi się bardziej niesmaczna niż fakt, że mnie i Digby'ego dzieliło więcej niż jedno pokolenie. Rozwód miał być „polubowny”; innymi słowy, matka miała otrzymać finansowe zadośćuczynienie. To, czy owo zadośćuczynienie ją ułagodzi, nie miało już żadnego związku z moim życiem. Mogłam się na zawsze uwolnić od jej pogardy i lekceważenia innych, uwolnić od braku rozwagi ojca. Miałam smutną świadomość, że nie dałoby się znaleźć rozsądniejszego sposobu na zaznaczenie tej zmiany statusu, która, jak uważałam, była konieczna zarówno dla ich, jak i dla mojego dobra. Wtedy tej instynktownej reakcji jeszcze nie kojarzyłam z lękiem.

Nie kochałam Digby'ego. Czułam dla niego wdzięczność, podobną do tej, jaką niezamężne kobiety u Jane Austen odczuwają wobec potencjalnego kandydata na męża, bo on może, jeśli los okaże się łaskawy, okazać się tym, który wybawi je z opresji. W tym okresie życia moje uczucia były uśpione i nie bardzo wiedziałam, czym jest miłość. Digby był na swój sposób atrakcyjny i na myśl o fizycznym zbliżeniu nie odczuwałam przykrości. Pod każdym względem był osobą zauważalną, co przydawało mu autorytetu. Sprawował stanowisko dyrektora w jakiejś firmie przemysłu maszynowego po drugiej stronie rzeki, w Battersea. Nietrudno było się domyślić, że kiedy on będzie w biurze, mnie czekają zwyczajne, niezbyt urozmaicone dni. Przez cały dzień mogłam robić to, na co miałam ochotę, ale wieczorem zawsze powinnam być w domu, by go powitać, kiedy wracał z pracy. Gdybym miała wówczas kochanka, bez trudu wpasowałabym go w swoje życie, ale coś takiego nawet nie przychodziło mi do głowy. Wprost przeciwnie, atrakcją tego małżeństwa była jego całkowita stosowność. Na mój sposób myślenia prawdopodobnie zbyt silnie wpłynęła narastająca wrogość pomiędzy rodzicami i złowrogi zapach, z jakim metodycznie niszczyli swoje małżeństwo. Mieszkanie w Melton

Court postrzegałam jako azyl. Z faktem, że był to azyl odarty z wszelkiego romantyzmu, radziłam sobie bez trudu.

Digby usilnie starał się mnie zadowolić i bardzo mi się to podobało. Miodowy miesiąc w Wenecji potraktowałam wyłącznie jako swoisty „rytuał przejścia”: nawet jeśli nie wszystko byłam w stanie docenić, to przecież będą inne wakacje, inne wycieczki, tak że z czasem łagodnie przystosuję się do bardziej wystawnego życia. Bo on już wspominał o Bożym Narodzeniu w Sewilli, wiosennych feriach na Sycylii, gdziekolwiek, wszędzie, bylebym była zadowolona. To właśnie była dominująca cecha jego charakteru: naturalna wielkoduszność. A ja potrafiłam ją docenić, przez całe nasze małżeństwo. Teraz, z perspektywy czasu, myślę, że nigdy go nie zawiodłam. Nawet kiedy porównywałam jego coraz bardziej ocieżałą sylwetkę ze smukłymi młodymi mężczyznami mijanymi na ulicy albo z gospodarzem tych przyjęć, na które dostarczałam *beef Wellington* i popularny w tamtym czasie mus czekoladowy, przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym się dopuścić występku, i naprawdę minęło sporo czasu, zanim sobie uświadomiłam, że jest to możliwe.

Żadnej z tych rzeczy nie mogłam powiedzieć Betsy, przy tej czy jakiegokolwiek innej okazji, pomimo że już nawet podczas ślubu pomyślałam, że dobrze byłoby wrócić do wcześniejszej zażyłości. Zaprosiłabym ją na herbatkę do mieszkania przy Melton Court i wypytała o paryskie przeżycia i o plany na przyszłość, nie wyjawiając przy tym własnych planów, bo ich po prostu nie miałam. Opisałabym nasze wakacje, tak jak jest to w zwyczaju różnych nudziarzy, i obserwowała, jak w jej rozwartych szeroko oczach pojawia się zdumienie, bo przecież spodziewała się jakichś rewelacji. Zauważyłaby, jak bardzo się od niej oddaliłam, co zresztą było nieuniknione, ponieważ nie miałam takiej odwagi jak ona, by zamieszkać samotnie wśród obcych, w obcym mieście. Wybaczyłaby mi, ale odczuwałaby żal. Ja sama też odczuwałabym żal, kto wie, czy nie większy niż ona. Ale nie dałabym tego po sobie poznać. To ten odwieczny konflikt między uczuciem dumy i wstydu: dopuszczenie jej do mojego życia oznaczałoby konieczność zwierzeń, a na to pozwolić nie mogłam.

Był jeszcze inny powód. Podczas tego krótkiego spotkania na przyjęciu ślubnym, kiedy z taką radością ścisnęła moją dłoń, dostrzegłam coś, co dało mi wiele do myślenia. Wyglądała młodo, młodziej niż ja wystrojona do ślubu. Nie mogła się doczekać, żeby mi wszystko opowiedzieć; była pełna zapału, którego ja niemal się wyrzekłam. Domyślałam się, że powodem jej entuzjazmu jest jakiś mężczyzna, na pewno zupełnie innego pokroju niż ten, za którego wychodziłam, taki, dla którego małżeństwo w ogóle nie wchodzi w rachubę. Ponieważ w tym czasie pozostawałam pod przemożnym wpływem zagranicznych filmów, wyobrażałam sobie, że w Paryżu to jest zupełnie normalne. Tyle że ja sama z niczym tak autentycznym nie miałam do

czynienia. Po skończeniu szkoły spędziłam pół roku w Paryżu i nie byłam tym wcale zachwycona. Wynajmowałam pokój u madame Lemonnier, w ponurym mieszkaniu przy Avenue des Ternes, w szacownej siedemnastej *arrondissement*, z dala od atrakcji tętniącego życiem miasta. Madame Lemonnier, wdowa w podeszłym wieku, nie przepadała za mną, ani ja za nią. Miała nadzieję, że wyciągnie od mnie znacznie więcej, niż byłam w stanie jej zapłacić, i w rezultacie przestała się mną przejmować. Bezwzględnie wymagała, żebym wieczorem przesiadywała spokojnie w swoim pokoju, chodziła spać najpóźniej o dziewiątej i bym do rana niczym nie mąciła ciszy. Rano pozwalała mi zrobić sobie kawę w prymitywnej kuchni, a potem musiałam już sama o siebie zadbać. Oznaczało to kolacje poza domem, co bardzo mi odpowiadało, ale nie podobało mi się, że z takim pośpiechem musiałam wracać, żeby zdążyć przed „godziną policyjną”. Żywiąc się w restauracjach, poznawałam francuską kuchnię i za każdym razem starałam się zamawiać jakąś inną potrawę. Okazało się to o wiele bardziej użyteczne niż wszystkie kursy gotowania razem wzięte, a miało jeszcze tę dodatkową zaletę, że uczyło mnie pewnego rodzaju niezależności.

Ten tryb życia odegrał jeszcze jedną rolę. Nie oczekiwałam, by otaczał mnie tłum wielbicieli, i przyzwyczaiałam się do samotności. Wydawało mi się, że te surowe zasady narzucone przez madame Lemonnier tworzą wokół mnie jakąś aurę nietykalności, ale jednocześnie zorientowałam się, że nie należę do kobiet, które wysyłają właściwe sygnały. Ten fakt mnie zaskoczył i zasmucił, ale się z nim pogodziłam. Byłam całkiem ładna i uważałam, że zachowuję się tak jak inne, zaczęłam jednak podejrzewać, że kobiety dzielą się na takie, które natychmiast dają się rozpoznać jako potencjalne kochanki, i na takie, które oblewają ten test w takich drobiazgach, że właściwie nie wiadomo, co mogłyby poprawić. W rezultacie, mimo że chodziłam do tej samej restauracji wiele razy, nigdy nie witano mnie tam wylewnie, traktowano obojętnie i nie zwracano na mnie większej uwagi, niż to było konieczne. Przypuszczałam, że mój zwyczaj trzymania się na uboczu sugerował, jakobym była osobą samowystarczalną, natomiast moja niezachwiana duma kazała mi cierpliwie znosić osamotnienie. Przedpołudniami wałęsałam się po targowiskach, podpatrując, co kupują francuskie gospodynie, i te wyprawy były w jakiś sposób kojące. *La carotte est en baisse aujourd'hui, ménagères* - wołała straganiarka na rue de Buci, a na rue de Passy (szłam bowiem z jednego końca miasta na drugi) prezentowały się sery. Popołudnia spędzałam w kinie, by zgłębiać te namiętności, które, zakładałam, za sprawą jakiejś biologicznej omyłki mnie samej nie dotyczyły. Poczucie krzywdy, jakie z tego

powodu odczuwałam, ukryłam głęboko; powracało jednak, by dręczyć mnie w chwilach zniechęcenia, i prawdę mówiąc, pozostało we mnie na zawsze.

Był to bez wątpienia powód, dla którego poślubiłam Digby'ego, nawet się specjalnie nie zastanawiając, czy jest to korzystne rozwiązanie. Wiedziałam, że jest porządnym człowiekiem, a ja, w mniejszym czy większym stopniu, gotowa byłam się do niego dostosować: uważałam, że moje umiejętności kulinarne i nie poddane jeszcze sprawdzianowi dobre wychowanie okażą się wystarczające. Kiedy jednak ujrzałam Betsy, w czasie tej krótkiej wymiany zdań na przyjęciu weselnym, zorientowałam się, że ona posiada ten sekret, do którego ja najwyraźniej nie mam dostępu. Jej uśmiech trafiał wprost do serca; odsłaniał jednocześnie jej bezbronność i przystępność. Wierzyłam, czy może chciałam wierzyć, że była tak samo niedoświadczona jak ja, choć jednocześnie dostrzegałam w niej pewną gotowość, skłonność do obdarzania zaufaniem innych, czego mi brakowało. Mężczyzna mógł ją lubić, także kochać; zażyłość nie stanowiłaby problemu, bo ona wywoływałaby u niego czułość i nawet wyzwalała resztki zachowanej niewinności. I wiedziałam, że instynktownie odrzuciłaby układ, na jaki ja się zgodziłam, w którym kochanek lub mąż jest jak dobry wujaszek, serdeczny, miły i opiekuńczy, a żona odgrywa rolę siostrzenicy czy wychowawcy. Mimo że pragnęłam tej ochrony i opieki, nie mogłam udawać, że nie dostrzegłam zdumienia w oczach Betsy, kiedy pierwszy raz zobaczyła Digby'ego. I znowu w sukurs przyszła mi moja duma; gestem ręki skierowałam ją w stronę jednej z naszych wspólnych znajomych. Nie obchodziło mnie, czy zna tu jeszcze kogoś. Przez moment czułam się niezrozumiale urażona, kiedy w jej oczach dostrzegłam żal i współczucie; po chwili przywołałam jednak uśmiech na twarz i wypiliśmy kolejny kieliszek szampana.

- Spokojnie, skarbie - szepnął mój mąż i mocniej przytrzymał moją dłoń. Zauważył to, co ja, i współczuł mi. Jak mówię, był człowiekiem wyjątkowo wielkodusznym.

A ja tymczasem w jej czystym spojrzeniu rozpoznawałam tę samą dziewczynę, która deklamowała wersy z Racine'a - *Que le jour recommence, et que le jour finisse / Sans que jamais Titus puisse voir Bérénice...* - i widziałem, że potrafi, z takim samym uniesieniem, przyjąć wszelkie wyzwania miłości i pozostać wierna, jakby to było nakazem od momentu, w którym jej oczy napotkały oczy ukochanego, kimkolwiek był i jak bardzo nieodpowiednią osobą mógłby się okazać. Widziałam też, że będzie pociągać mężczyzn niewiele od siebie starszych, że nie będzie w typie takich mężczyzn jak mój mąż, który, zważywszy jego lata, doskonale wiedział, czym powinien się zadowolić. Digby nie uczyniłby ekstazy podstawą związku. Wolał, z czego zdawałam sobie sprawę, spokojny związek w odpowiedniej otocze. Był już wcześniej

żonaty, między trzydziestką a czterdziestką; jego żona umarła, wydając na świat dziecko, które również zmarło. Dlatego skłonna byłam zgodzić się, że jemu też należy się pobłażanie i ochrona; nie wolno go już narazić na podobną tragedię. Digby zamknął w sobie tę stratę i tylko raz o niej wspomniał. A wtedy twarz mu stężała, co dla mnie oznaczało, że sprawy dotyczące jego przeszłości mają pozostać między nami i że oboje będziemy strzec tej tajemnicy. Zaufał mi, a ja chciałam być tego zaufania godna. Gdy tymczasem kobieta taka jak Betsy, czy taka, jaką miała się dopiero stać, zdradziłaby ten sekret i na dodatek jej byłoby wolno to zrobić.

Kiedy dowiedziałam się, że wybiera się do Paryża, dałam jej adres madame Lemonnier, przekonana, że ta stara, zgorzkniała kobieta doceni Betsy, która zawsze zachowywała się jak dobra córka. To jeszcze jedna z tych zaskakujących cech Betsy: posiadała wszystkie cnoty córki, mimo że nigdy tak naprawdę nie miała okazji nią być. Fakt ten nie naznaczył jej w żaden widoczny sposób, ale, co prawdopodobne, uczynił ją bezbronną wobec każdego nadarzającego się uczucia. Możliwe, że pragnęła, by ją przygarnięto - może to taka wrodzona tęsknota wspólna wszystkim kobietom. Gdyby dano jej możliwość odegrania jakiejś roli w domu i w rodzinie, bardzo by to sobie ceniła. Co nie oznaczało, że nie sprawdziłaby się w roli kochanki, wręcz przeciwnie, jedno mogło wzmacniać drugie. A przecież jednocześnie dobrze wiedziałam, że ona nie nadaje się do tego rodzaju hierarchii, jakiej wkrótce miałam stać się częścią: tego ustabilizowanego, szacownego układu typowego dla klasy średniej. Jej aspiracje musiały być bardziej romantyczne, jej wybory bardziej idealistyczne. Gotowa byłaby opowiedzieć się za rodziną, ale tylko wtedy, gdyby wszyscy jej członkowie byli wspaniali, nietuzinkowi, wyjątkowi, wyrastali wysoko ponad przeciętność. Tymczasem dzięki mojemu powściągliwemu usposobieniu mnie było łatwiej się przystosować i pragmatycznie wykorzystać te wszystkie tkwiące we mnie rezerwy, jakie zgromadziłam i udoskonaliłam, kiedy przesiadywałam w kawiarniach i restauracjach czy krążyłam po mieście, odnajdując pewnego rodzaju spokój w obojętności przechodniów i w urodzie otaczającego mnie świata. To właśnie mnie przypadła w udziale możliwość korzystania z tego świata; przez całe tamto uciążliwe przyjęcie starałam się nie zapominać o tym.

A przecież kiedykolwiek powracałam myślą do pokoju w Paryżu, nie pojmując, dlaczego tak mało czerpałam z niego radości, wydawało mi się, że widzę w nim Betsy, jak zwykle zadowoloną; i wiedząc, że jej ufność zostanie w jakimś momencie wystawiona na próbę, odczuwałam nagłą potrzebę, żeby ją jakoś ochronić, być może przekazać jej nieco własnej odporności. I wtedy nawet nie zwracałam większej uwagi na fakt, że w wyobraźni widziałam w tamtym

pokoju zawsze Betsy, nigdy siebie. Ja całe dni wędrowałam po ulicach bezprawia, gdy tymczasem ona, z tą tęsknotą za domem, bez trudu odnalazła się w tamtym otoczeniu, zadowolając się tym, co miała pod ręką. W przeciwieństwie do mnie była romantyczką, wręcz niepoprawną romantyczką. Nigdy nie traciła nadziei, nawet jeżeli było oczywiste, że jej oczekiwania są zupełnie bezpodstawne.

Natknęłam się na nią ponownie, kiedy krążyłam po sali, żeby pożegnać gości.

- Jak się miewa madame Lemonnier? - spytałam, raz jeszcze przez krótką chwilę odczuwając nostalgię za Paryżem, gdzie nauczyłam się samodzielności. Nagle ta absurdalna sceneria - kwiaty, wystrojeni goście, przenikliwy śmiech mojej matki - wszystko to wydało mi się nieznośne. Zapragnęłam wydostać się na świeże powietrze, najlepiej sama, poczuć chłód wieczoru i wybrać się na długi spacer.

- Och, już tam nie mieszkam; w każdym razie już za tydzień mnie tam nie będzie. Przeprowadzam się na rue Cler.

- Sama?

- Nie. Poznałam kogoś. Prawdę mówiąc, znam go już od kilku miesięcy. Spotykaliśmy się w kilka osób, żeby rozmawiać o sytuacji na uczelniach. Dużo się teraz o tym dyskutuje, bo szukamy sposobu, żeby zrobić krok w przód.

- I ta grupa, jak przypuszczam, ma przywódcę?

- Owszem, byłego nauczyciela. To znaczy nadal nim jest. To filozof, komunista. Duży prestiż, wielka charyzma. Roland.

- I on jest tym twoim przyjacielem? To z nim zamieszkaż na rue Cler? - To ostatnie pytanie było ryzykowne. Nie miałam prawa jej przesłuchiwać, choć ona najwyraźniej sobie tego życzyła.

- Moim przyjacielem, jak to taktownie ujęłaś, jest Daniel. I owszem, zamieszkamy razem. - Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej promienny. - Może nawet się pobierzemy. Chciałabym, żebyś go poznała.

- Oczywiście. Przyrowadź go na kolację. Wracamy z Wenecji dwudziestego piątego. Zadzwonisz?

- Z przyjemnością. Przyjechałam do Londynu, żeby wystawić dom na sprzedaż, prawdopodobnie zrobię to w przyszłym miesiącu. Skoro już wiem, że zostaję w Paryżu. - Wydawało się, że uśmiech nigdy nie opuści jej twarzy. - To maleństwo, to znaczy tam, przy rue Cler; za-

ledwie mansarda z *cabinet de toilette*. Ale kiedy sprzedam dom, poszukamy czegoś bardziej przestronnego.

- Chciałaś być tłumaczką - przypomniałam jej. - Zrezygnowałaś z tego pomysłu? A co robi Daniel?

- Jeszcze studiuje. Był bardzo aktywny w protestach. Jest o rok młodszy ode mnie.

A ty masz dwadzieścia pięć lat, pomyślałam sobie. Jesteś w moim wieku. Poczułam, że Digby obejmuje mnie ręką w pasie.

- Chyba musimy się zbierać - oznajmił. Zapewne bał się, żebyśmy nie zaczęły jakichś zwierzeń.

- Nie zapomnij - zawołam, już się oddalając od Betsy.

Rozdzielił nas, bo przyjaźnie z lat dziecięcych wypadało pozostawić za sobą. Kiedy znalazłam się przy drzwiach, odwróciłam się i pomachałam do niej. Pewnie na to czekała, bo podniosła rękę w tej samej chwili. A on poprowadził mnie do windy, która miała nas zabrać do pokoju, do naszego małżeńskiego życia. Pomyślałam, jak różnie na nasze życie wpłynął Paryż, i patrząc na żyłastą dłoń Digby'ego, stwierdziłam z żalem, że nie ma w niej krztyny romantyzmu.

- Mam ogromną ochotę na filiżankę herbaty - oświadczył mój mąż. - Nie znoszę pić szampana po południu.

- Zamówię - powiedziałam, po raz pierwszy próbując mu pomóc się odprężyć w tej niezbyt swobodnej sytuacji.

Był zmęczony i odbijało się to na jego twarzy. Wyglądał niemal tak staro jak mój ojciec, któremu zresztą nawet nie podziękowałam za całą tę pompę. Kiedy piliśmy herbatę, stopniowo zniknęło napięcie, jakie oboje odczuwaliśmy. Wykapaliśmy się, przebraliśmy w mniej uroczyste stroje i postanowiliśmy pójść na kolację, pozwalając, by reszta dnia potoczyła się własnym rytmem. Nazajutrz mieliśmy złapać poranny samolot i dlatego dobrze byłoby wcześniej udać się na spoczynek. Tak to ujął Digby. Wyobraziłam sobie cały ciąg tych wieczorów, kiedy będziemy wcześniej udawać się na spoczynek i nie wydarzy się nic godnego uwagi. Źle go jednak oceniłam pod tym względem i w rezultacie czekało mnie miłe zaskoczenie.

Kiedy jednak obudziłam się na krótko tej nocy, czy raczej wczesnym rankiem, w jakimś zakamarku mojego umysłu pojawił się obraz miłości w pokoju na mansardzie, w tym Paryżu, którego mnie nie było dane odkryć, czy raczej którego nie umiałam odkryć. Ten Paryż z wyobraźni był miastem zagranicznych filmów, które urozmaicały moje samotne popołudnia. Teraz

powracały tamte obrazy, a główna postać kobieca miała twarz Betsy. I przez kilka chwil, tak długo, jak trwała ta scena, czułam, że jestem widzem siedzącym wśród publiczności, a na zewnątrz słońce zalewa blaskiem ten Paryż, którego nigdy nie poznałam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Matka odbywała jeden wycieczkowy rejs po drugim, ojciec natomiast zagnieździł się w swoim nowym domu na Crouch End. Zostałam sama ze swoim świeżo poślubionym małżonkiem, niezmiernie miłym, choć pod pewnymi względami irytującym. Był bardziej staroświecki niż ja, co wynikało z jego wieku, i okazał się dość wymagający w sprawach dotyczących własnej wygody; żonę zdawał się traktować głównie jako dodatek do dawno już uregulowanego trybu życia, najważniejsze były jego interesy. Przedsmak tego miałam w Wenecji. Siedziałam na stopniach kościoła Redentore, podczas gdy Digby drzemał w pokoju hotelowym, i powtarzałam sobie, że mogę coś zaplanować na te długie godziny, kiedy on jest nieobecny, ciałem czy duchem, tyle że nic nie przychodziło mi do głowy. Lektura gazet uświadomiła mi, jak ogromne postępy poczyniły kobiety; głośno wyrażały swoje radykalne opinie, w sposób, na jaki mnie nigdy nie byłoby stać. Nawet wśród tych najbardziej wyzwolonych dawało się jednak wyczuć pewne niezadowolenie, nieobecne i mnie. Wciąż byłam na tyle młoda, żeby pragnąć czegoś bardziej szalonego niż to życie, na które się zdecydowałam czy raczej zgodziłam.

Atrakcyjność, jaką niosło ze sobą małżeństwo, nie zanikła, jedynie zmaląła. Kiedy Digby wracał wieczorem do domu, był zmęczony (mnie się wydawał bardzo zmęczony) i zaczynał roztrząsać sprawy zawodowe. „Ale nie będę ci zawracał głowy - mówił zwykle po chwili. - Lepiej powiedz, jak spędziłaś dzień. Co porabiałaś?” Albo pytał, czy na ferie wiosenne wolałabym pojechać do Paryża czy do Rzymu. Doceniałam jego wysiłki, żeby mnie rozerwać, i próbowałam wzbudzić w sobie zapał, którego wcale nie czułam. Czasem poddawał myśl kolejnego przyjęcia, znów w tym staroświeckim stylu, zawsze z tymi samymi ludźmi, jego przyjaciółmi, z którymi starałam się znaleźć wspólny język. Wydawało się, że ci Johnsonowie, Fairlie'owie znają mojego męża lepiej niż ja. Nigdy nie omieszkali pochwalić moich potraw, po czym podejmowali rozmowę, którą zaczęli, kiedy byłam w kuchni. Odgrywałam w tym wszystkim podrzędną rolę. Na szczęście byłam przyzwyczajona do milczenia i to pozwalało mi tłumić uczucie nudy. Niemniej, ono tam było: doznawałam go i wiedziałam, że muszę być czujna.

W ciągu dnia, kiedy Digby był w biurze, spacerowałam, choć właściwie nie zwracałam uwagi na otoczenie, na te niczym nie wyróżniające się zadbane ulice i place, gdzie mogłam spotkać którąś z sąsiadek, wybierających się tak jak ja do sklepów, po to tylko, żeby wypełnić czymś spokojne popołudnie. Po zaskakująco słonecznym lutym zrobiło się zimno i pochmurno; te spacerowanie nie sprawiały mi już przyjemności, były jedynie nieszkodliwym sposobem na zagłuszenie kielkującego niezadowolenia, które już wtedy zaczynałam odczuwać. Wyraźnie zdawałam sobie sprawę z różnic pomiędzy stylem mojego życia paryskiego i londyńskiego, a na dodatek nie spodziewałam się, żebym miała kiedyś w przyszłości doświadczyć czegoś ważnego. W Paryżu, pomimo osamotnienia, byłam świadoma swoich atutów: moja ówczesna dojrzałość teraz zaczynała się rozmywać. Monotonia tamtych bezbarwnych dni pozwoliła mi, mimo braku dostępu do bardziej wyrafinowanych przyjemności, przynajmniej wyobrazić sobie, że życie może być zupełnie inne, choć oczywiście nie wiedziałam, czy sama zaznam tego innego życia. Nie miałam za sobą żadnych niezwykłych doznań i nie było we mnie ciekawości świata; uważałam, że lepiej skoncentrować się na straganie z kwiatami albo na dochodzącym z kawiarni zapachu kawy i wina. Było w tym złudne poczucie równego uczestnictwa, które zatraciłam w nowych warunkach; prawdę mówiąc, wcale nie tak nowych, jak się wydawało. W rzeczywistości problem mógł częściowo wynikać z wrażenia, że oto powróciłam na scenę dzieciństwa, po krótkiej zaledwie wyprawie w dorosłość. Poczucie wygnania, którego doświadczyłam w Paryżu, miało w sobie pewną dojrzałość, co dostrzegłam już wówczas: możliwe, że dorosłość na tym właśnie polega, a może po prostu wygnańcy muszą zachowywać się dojrzałe.

Tutaj, w Londynie, kiedy przechadzałam się nad rzeką owiewana zimnym wiatrem, wiedziałam, że mój czas należy wyłącznie do mnie aż do chwili, kiedy mąż wróci do domu i spyta, co jest na kolację. Nie byłam już w stanie wykrzesać z siebie entuzjazmu na myśl o przygotowaniu do posiłku, mimo że nadal wykazywałam się starannością. Tamtej wiosny ogarnęło mnie łagodne odrętwienie, które uznałam za zadowolenie, a raczej chciałam, żeby tak było. Zaczęłam niemal z pasją rozmyślać o odległych miejscach i przynosiłam Digby'emu foldery oraz książki z biblioteki, które ukazywały urodę Apulii, Turcji czy Korfu. Służyły za pretekst do rozmów i snucia mglistych planów odwiedzenia któregoś albo wszystkich tych miejsc. Wiedziałam, że kiedy tylko sprzątnę ze stołu, Digby pójdzie z wieczorną gazetą do pokoju obok, włączy telewizor i zaśnie. Sypiał twardo, o wiele głębszym snem niż ja i nie robił nic, żeby choć spróbować nie zasnąć. Staralam się mu nie przeszkadzać; odkładałam foldery i brałam do ręki książkę, *Targowisko próżności* albo *Profesora*. Myślałam, żeby zapisać się na ja-

kieś wieczorowe kursy. Mogłabym na przykład zgłębiać powieści wiktoriańskie, te bowiem, które przeczytałam, stanowiły dla mnie źródło nieustannej fascynacji. Jakie dzielne były przedstawione w nich kobiety! Jacy szlachetni i rozsądni mężczyźni! Mówiłam sobie, że po to właśnie pisuje się takie powieści, by zwyczajni mężczyźni i kobiety mogli mieć o sobie lepsze wyobrażenie, a co ważniejsze, by pokazać, że los może człowiekowi podać rękę, nawet jeśli wszystko zdaje się sprzysięgać przeciwko niemu. Podczas jednego z tych swoich spacerów na budynku jakiejś szkoły zauważyłam ogłoszenie o kursach dla dorosłych i nawet pokręciłam się przez chwilę przy bramie, odczuwając nagłą tęsknotę za dawnymi laty. Gdybym znalazła się raz jeszcze w grupie pilnych, uważnych osób, może odzyskałabym to poczucie wspólnoty, którego mi brakowało. Nawet gdyby miało mnie to w jakiś sposób uwstecznić, nie przejmowałabym się zbytnio. Byłby to przecież tylko jeszcze jeden element ogólnego uwstecznienia, wyrażającego się w pełni odgrywaną z dziecinnym posłuszeństwem rolą żony. Nawet ja wiedziałam, że uległość wiktoriańskich heroin nie miała nic wspólnego ze słabością; wprost przeciwnie, te kobiety były nieustraszone, jak kiedyś ja, nawet wtedy w Paryżu, gdy nie było nikogo, kto by zauważył mój hart ducha. Dostałam jednak nauczkę. Wspomniałam o wieczorowym kursie Digby'emu, a on się sprzeciwił.

- Nie chcę wracać do pustego domu - oznajmił. - Całe popołudnie nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

To prawda, był troskliwym mężem. Wtedy nie potrafiłam oszacować granic zwykłej troskliwości, póki nie przerodziła się w przesadną czujność. Chciał dokładnie wiedzieć, gdzie byłam o każdej porze dnia: przypuszczam, że gdyby nawet pozwolił mi chodzić na ten kurs, upierałby się, że będzie mnie odwozić i odbierać. Nie całkiem mi wierzył, gdy mówiłam, że spędzam popołudnia na spacerach, a kiedyś zauważyłam nawet jego samochód, który musiał mnie śledzić. Choć wtedy tego nie wiedziałam, w firmie nastąpiły zmiany: pozbawiono go stanowiska i został kimś w rodzaju honorowego prezesa. Mógł opuszczać biuro na całe godziny, zatem niewykluczone, że od czasu do czasu krążyliśmy wokół siebie podczas tych naszych samotnych wypraw. Kiedy się zorientowałam, uznałam to za niezwykle dziwne, wręcz dziwaczne, nie dałam jednak po sobie poznać, że cokolwiek zauważyłam. Wiem, że zdawał sobie sprawę z różnicy wieku między nami, że był podejrzliwy wobec wszelkiej feministycznej propagandy, tak w tamtym czasie rozpowszechnionej, i że w jakimś zakątku jego umysłu czaiła się obawa, że mogę szukać przyjemności poza domem i zdradzać go. Myślę, że tego najbardziej boją się mężczyźni: zdrady. Dlatego nie wspomniałam, że zauważyłam jego samochód, powitałam go

po prostu, kiedy wrócił wieczorem do domu jak po zupełnie normalnym dniu pracy. Oboje bowiem podtrzymywaliśmy tę fikcję, że oto on wraca z biura jak każdy inny mąż. Przyzwyczaiłam się do tego, ale czułam się z tym nieswojo.

Kochał mnie. Właśnie to robiło zawsze na mnie takie wrażenie. Kochał mnie nadmiernie, w sposób, z którym trudno mi się było pogodzić. Zdarzały mu się okresy impotencji, co jeszcze bardziej wzmogło jego czujność. Żadne z nas nigdy o tym nie wspomniało; ja wiedziałam, że jakakolwiek wzmianka na ten temat stanowiłaby dla mojego małżonka śmiertelny afront, tym bardziej że jego zapal stawał się w takich sytuacjach wręcz rozpaczliwy. Nasze noce w tej ciemnej sypialni często były ciche, ale nie uspokajające. Zakładałam, że Digby odczuwał wielką namiętność do pierwszej żony i prawdopodobnie nie wyobrażał sobie, że takie uczucie mogłoby się powtórzyć w jego życiu, więc zastępował je czymś na kształt idealnego domowego zacisza. Próbował od czasu do czasu zachowywać się, jakby był młodszy, choć doszedł już do wieku, kiedy mógł zrezygnować z wielu działań. Potem poddał się, a nawet zaczął czerpać przyjemność z tego, że bez skrupowania może wycofać się z gazetą czy zdrzemnąć przed telewizorem. Ja w takich chwilach czytałam książki i czułam, jak narastają we mnie zadziwienie, niezadowolenie i wreszcie uraza.

Przy dwóch jedynie okazjach Digby ukazywał bardziej interesującą stronę swojej natury. Jedna to nasze comiesięczne kolacyjki z Johnsonami i Fairlie'ami, podczas których potrafił być niezwykle sympatyczny, serdeczny, wręcz ujmujący. Druga, niestety, to te sekretne popołudnia, kiedy zza jednego rogu cichej uliczki wychodziłam ja, a za drugim znikał Digby w swoim samochodzie. Zauważałam go kątem oka, ale oboje udawaliśmy, że się nie widzimy. To była ta głęboko skrywana część natury Digby'ego, na którą składały się niepokoje i podejrzenia. Wyglądało to tak, jakby się spodziewał, że kiedyś od niego odejdę. W tym przypadku miał większą zdolność przewidywania ode mnie. Nigdy go nie opuściłam naprawdę, sądzą jednak, że takie właśnie myśli dręczyły go, kiedy krążyliśmy wokół siebie w te obojętne, niczego nie zapowiadające popołudnia. Nie zdarzyło mu się wyrazić wprost odczuć ani obaw. „Nie chcę, żebyś czuła się samotna, kiedy jestem w biurze”, mawiał tylko, jakby potwierdzał moją samotność, jakby oglądał ją własnymi oczyma. „Dlaczego nie zaprosisz którejś z tych dawnych przyjaciółek? Byłoby ci raźniej”.

Wiedziałam, że chodzi mu o to bezpieczne towarzystwo szkolnych koleżanek. Ale ja nie miałam przyjaciółek. Moimi sąsiadkami były majestatyczne, piersiaste wdowy, przynajmniej tak je widziałam; nie potrafiłam wyobrazić sobie, że mogłabym z którąś z nich się zaprzyjaźnić.

Podobnie obcy byli mi Johnsonowie i Fairlie'owie, chociaż Digby uważał, że są dla mnie najbardziej odpowiednim towarzystwem. Byli jego przyjaciółmi. Z Alanem Johnsonem chodził do szkoły, a Fairlie był jego maklerem. Ich niewyzwolone żony na ogół milczały; znały swoje miejsce. Margaret Johnson zawsze była dla mnie miła, chwaliła łososia z wody albo gulasz jałgńczy, a ja reagowałam na jej uprzejmości dość sztywno, nie pozwalając sobie na nic więcej. Constance Fairlie była inna, wydawała mi się osobą wyjątkowo nieżyczliwą. Drobna, ciemnowłosa i zgryźliwa. Najwyraźniej mogła sobie pozwolić na przerywanie mężowi, domagała się jego nieustannej uwagi, czekała z papierosem w długich palcach, aż go jej zapali, i przyglądała mi się natarczywie, z rozbawieniem, w którym było niewiele sympatii. Z Fairlie'ami wiązałam nawet jakieś nadzieje, głównie za sprawą ich wiktoriańskich imion: Constance i Edmund. Uznałam je za wystarczający pretekst do dyskusji o powieściach George Eliot, kiedy jednak wspomniałam coś na ten temat, pominięto to milczeniem. Poczułam się jak idiotka. Constance Fairlie obrzuciła mnie leniwym spojrzeniem zza chmury dymu papierosowego i poinformowała męża, że czas już iść. Była niegrzeczna w sposób typowy dla kobiety z pieniędzmi, zamożniejszej od własnego męża. I chociaż, jak uważałam, byłam od niej ładniejsza i nie miałam nic na sumieniu, poza tym nieszczęsnym małżeńskim sekretem, o którym nie zamierałam wspominać, czułam się przy niej w jakimś sensie pomniejszona i jeszcze bardziej niż zwykle świadoma swojej podrzędnej roli. Przyszło mi do głowy, że ma szczęście, żyjąc z kimś takim jak Edmund; nawet jeśli byłam nierozbudzona, widziałam, że jest atrakcyjnym mężczyzną. Któregoś razu zatrzymałam na nim wzrok na dłużej i musiałam przyznać, że jest przystojny. Była to zwykła, neutralna i obojętna myśl.

Kiedy goście przechodzili do salonu na kawę, popatrzyłam na pobożowisko na stole i doszłam do wniosku, że kolacja jak zwykle się udała, ale ja nadal nie mam przyjaciół, co więcej - jestem samotna w otoczeniu ludzi, a przy tym tak dobrze wyćwiczona, że nie pozwalałam im tego zauważyć i czasami nawet sama o tym zapominam.

Dlatego też, gdy następnego dnia zadzwoniła Betsy, niemal chłonełam każde jej słowo. Przyjechała do Londynu, żeby sprzedać dom, powiedziała, i nie jest sama. Tak to właśnie ujęła: „Nie jestem sama”. Był z nią Daniel i bardzo chciałyby, żebym go poznała.

- Świetnie - powiedziałam. - Przyjdźcie dziś po południu na podwieczorek. A przy okazji, jak on się nazywa? Mówisz o nim tylko Daniel.

- Saint-Jorre - odparła. - Daniel de Saint-Jorre. Do zobaczenia po południu. Cieszę się, że cię zobaczę.

Doskonale piękni ludzie są niezwykle rzadkością. W tamtym czasie mężczyźni dzielili się na młodych i już nie młodych. Obecnie tych w wieku średnim zachęca się, by wciąż byli aktywni jak młodzieńcy, zupełnie jakby dzięki temu macki starości nie mogły ich dosięgnąć. Jednak Saint-Jorre był naprawdę młody, w sposób oczywisty i natarczywy. I był bezsprzecznie piękny; jego gibka postać i zjawiskowa uroda przywołały na myśl klasyczne posągi, jakie widywałam na reprodukcjach; teraz miałam wrażenie, jakbym stanęła twarzą w twarz z ich modelem, bardzo niespokojnym, wciąż w ruchu. Przywitał się ze mną dość zdawkowo, usiadł, po czym natychmiast wstał i krążył bezustannie po pokoju, podczas gdy Betsy przedstawiała mi ich plany, czy raczej swoje plany: sprzeda dom, na jakiś czas zamieszkają przy rue Cler, dopóki nie znajdą czegoś wystarczająco przestronnego, gdzie każdego wieczoru będą mogli się gromadzić towarzysze poszukujący swoich mglistych ideałów. Próbowałam wyciągnąć od niej, cóż to za ideały, i możliwe nawet, że mi wyjaśniła, byłam jednak zbyt rozkojarzona, by to zrozumieć, a może i ona sama przestała już je rozumieć. Saint-Jorre kręcił się nerwowo po pokoju i nucił coś pod nosem.

- Usiądź, proszę - powiedziałam rozdrażniona.

Zignorował moje słowa.

- Ta cała przestrzeń jest wasza? Jedynie dla was dwojga? - spytał z niedowierzaniem.

Nie widziałam w tym nic niewłaściwego. On był oczywiście komunistą czy kimś takim. Powiedziałam coś na ten temat. Marksistą, poprawił mnie. Spytałam więc, co to oznacza.

- Struktury - odparł. - Nowe struktury. Dawno należało je zbudować. Nie uważasz? - W tonie jego głosu i w wyrazie twarzy była jakaś zatwardziałość. Nie liczyłam się dla niego, nawet nie warto było mnie nawracać. Najwyraźniej uważał się za jakiegoś przywódcę, o czym miał świadczyć jego wygląd. Na pewno nigdy przez myśl mu nie przeszło, że mógłby zarabiać na życie w jakiś monotony sposób, tak jak mój mąż, jak wszyscy zwykli ludzie. On uosabiał ruch, ducha czasów, był odurzony niedawnymi wydarzeniami. Ale mieliśmy już lata siedemdziesiąte i te wydarzenia odchodziły na dalszy plan. Niewątpliwie pieniądze uzyskane ze sprzedaży domu Betsy rozwiążą najpilniejsze problemy życiowe. I niewątpliwie ona znajdzie inne sposoby, żeby zadbać o jego pomyślność, jeśli, albo kiedy, te pieniądze się skończą. Zaczynałam rozumieć, że za tak wyjątkowego mężczyznę, jakim najwyraźniej był, trzeba zapłacić wysoką cenę.

A jednak budził we mnie odrazę. Ta nerwowa ruchliwość, ciągle podśpiewywanie odgradzały go od innych i nie pozwalały na zwykłą wymianę uprzejmości praktykowaną w kręgu,

do którego należałam. Przyznam, że zastanawiałam się, czy jest zupełnie normalny. Pomyślałam, że ta olśniewająca uroda się marnuje, jego bowiem nie interesowała zwyczajna miłość ani seks, on całą swoją energię życiową koncentrował na próbie osiągnięcia jakiegoś beznadziejnego, utopijnego celu. A przy tym nie chodziło mu o korzyści dla żadnej konkretnej osoby, lecz dla wielu ludzi, szczególnie takich jak on. Jeśli kochał Betsy, a nie miałam podstaw, by w to wątpić, to kochał ją jako uzupełnienie własnych pragnień, istotę gotową związać z nim swój los nie tyle z miłości, ile solidarności, nawet politycznej solidarności. Chociaż na swój sposób podziwiałam go - tak jak podziwia się dzieło sztuki - i rozumiałam, że ta jego gibkość, te niewymuszone gesty mogą działać na kobietę, to jednak wątpiałam, by on podobnie reagował na jej wdzięki. Byłam przekonana, że jego impulsywność nie pozwala kobiecie naprawdę i w pełni zbliżyć się do niego. Nawet pogratulowałam sobie, że jestem w sytuacji, którą w pewnym sensie sama zaaranżowałam: moja wola nie została osłabiona za sprawą takiego niebezpiecznego związku, w jaki dobrowolnie wplątała się Betsy. Obie urodziłyśmy się za wcześnie na te swobody, których teraz domagają się kobiety; założyłyśmy, zapewne mylnie, że bezpieczeństwo tkwi w stabilizacji, że miłość i pożądanie zawsze prowadzą do jednego celu: małżeństwa i posiadania dzieci. Fakt, że to przekonanie atakowano ze wszystkich stron, nie wpłynął na nas w żaden sposób, nie zmienił ani nas, ani naszego przeznaczenia. Byłyśmy niewinne jak dziewczęta, czekałyśmy cierpliwie na spełnienie, które miało nadejść pod postacią jednej osoby, a nie szeregu mniej lub bardziej przypadkowych osób, którym niekoniecznie musiała leżeć na sercu nasza pomyślność.

Moje małżeństwo, tak monotonne i nieuchronnie wyzwalające poczucie samotności, przyniosło mi jeden nieoceniony dar: pewność uczuć. Miałam pewność, że Digby nigdy mnie nie zdradzi ani nie zrani. Pod pewnym względem byłam w uprzywilejowanej sytuacji, chociaż jej nie szukałam. Zależało mi jedynie na wierności, która, jak zapewniała mnie matka, była bezcenna. Powtarzałam to sobie od czasu do czasu, kiedy czułam się szczególnie znudzona; nie musiałam się obawiać żadnych nieprzyjemnych rewelacji. Jednocześnie wiedziałam, że kobiety w moim wieku buntują się przeciw matkom, że to ich matki, a nie mężczyźni, są wrogiem. Byłam nawet zadowolona, gdy moja matka, że tak powiem, zabrała się stąd, bo ona, z tym swoim sceptycyzmem i malkontenctwem, znalazłaby w moim położeniu znacznie więcej minusów, niż ja sama dostrzegałam. W mojej pamięci ciągle żywe były obrazy tamtych jałowych dni w Paryżu, które starałam się czymś wypełnić, wiedząc, że nie tak powinno wyglądać życie młodej osoby, ale jednocześnie doprowadzając do perfekcji umiejętność znoszenia braku jakichkol-

wiek sukcesów, co, jak sądziłam, miało być moim przeznaczeniem. Osiągnęłam ten rodzaj bierności, jakiego wymagała moja ówczesna sytuacja, i jeśli kiedyś znów miałam spędzać samotne popołudnia na nieszczęsnych wędrówkach po ulicach, to wyłącznie z własnego wyboru i ze świadomością, że w każdej chwili mogę powrócić do towarzystwa, w którym przynajmniej zachowam godność.

Betsy obserwowała ukochanego z z troskaniem, jakby była jego matką czy niańką. Zależało jej na tym, żeby zrobił dobre wrażenie; dla niej bowiem nadal symbolizowałam stabilizację i pozycję społeczną, jaka jej nie była dana. Widziała, że to popołudnie nie układa się dobrze; i nic dziwnego. Daniel nawet nie próbował zagrać swojej roli, co więcej, dał wyraźnie do zrozumienia, że jego miejsce jest zupełnie gdzie indziej, na tych barykadach, które istniały w jego umyśle oraz w umysłach jemu podobnych. Było aż nazbyt oczywiste, że ja znajduję się po niewłaściwej stronie barykady: burżujka z pogardzanej, anachronicznej klasy. Rozparł się w fotelu, filiżankę niedbale obejmował dłonią. Poczęstowałam go papierosem ze srebrnej kasetki, którą moja matka lubiła mieć pod ręką; odmówił, ale kasetkę dokładnie obejrzał, jakby się zastanawiał, ile może być warta. Jego sposób bycia był wyjątkowo odpychający - wynikało to albo z jego natury, albo z wychowania; jego pochodzenie i to, jak został ukształtowany, było jednak dla mnie tajemnicą. Wydawało się, że w żaden sposób nie da się go wciągnąć do rozmowy, w każdym razie nie do takiej, jaką Betsy i ja potrafiłyśmy prowadzić.

- Może jeszcze herbaty? - spytałam.

- Herbaty? - powtórzył zdziwiony. - Ależ nie. - Wstał, gotów do wyjścia.

- Rzeczywiście - odezwała się Betsy. - Czas ruszać. Musisz nas koniecznie odwiedzić w Paryżu. - Mówiła takim tonem, jakby nasze spotkanie w Paryżu było realne. Obie czułyśmy, że możemy się już nigdy więcej nie zobaczyć.

Ujęła go za ramię i wtedy na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ten uśmiech całkowicie go odmienił, a ja wreszcie zrozumiałam, że łączy ich prawdziwa więź. Ich dłonie odnalazły się i tak złączeni ruszyli w stronę drzwi. W uśmiechu, z jakim Betsy odwróciła się do mnie, dostrzegłam znużenie. Pomyślałam, że chyba zeszczuplała; a może to jej oczy robiły takie wrażenie - szeroko, bardzo szeroko otwarte, jakby rozważała jakiś poważny problem. Była nienaganie ubrana i doskonale uczesana. Zaczynała przypominać te paryżanki, które wyglądają na wymagające i zestresowane, co dodaje im tylko uroku - od razu widać, że poradzą sobie z wszelką krytyką, jeśli tylko ktoś się na nią lekkomyślnie poważy. Na każdą różnicę zdań zareagują bojowo; widziałam to zbyt wiele razy, by spodziewać się czegoś innego. Wiedziałam, że

Betsy wkrótce zacznie zachowywać się podobnie, kiedy będzie musiała wziąć w obronę swojego ukochanego, u którego wrogo nastawieni ludzie, tacy jak ja, widzą jedynie próżniactwo, upór i coś w rodzaju nieświadomej bezwzględności dziecka domagającego się zaspokojenia swoich pragnień. A przecież, kiedy spojrział na nią z miłością, a ona odwzajemniła to spojrzenie, nie miałam wątpliwości, że łączy ich prawdziwe uczucie. I nawet jeśli moim zdaniem niewiele za nim przemawiało, to na pewno zrodziło się ono naturalnie i dlatego miało naturę po swojej stronie.

Sprzątając filiżanki i talerzyki (wydawało mi się, że wciąż coś sprzątam w tym własnym domu), zastanawiałam się, czy mogłabym się związać z mężczyzną, którego jedyne atuty były młodość i uroda, i doszłam do wniosku, że mam zbyt stateczne usposobienie, by sobie w ogóle taki związek wyobrazić. Niemniej to popołudnie mnie zasmuciło; przykro jest utracić przyjaciółkę, a było oczywiste, że utraciłam Betsy, czy raczej utraciliśmy siebie nawzajem. Wiedziałam, że sobie z tym poradzę, bo umiałam już radzić sobie z brakiem wielu innych rzeczy w życiu, brakiem namiętności, radości, zachwyty, drogi ucieczki od przeznaczenia, której bezskutecznie szukałam. Poszłam do sypialni, wciąż rozmyślając. Wreszcie potrząsnęłam głową, jakby odrzucając te niestosowne myśli - myśli które nawiedzały mnie zawsze, gdy byłam przygnębiona. Postanowiłam napisać do Betsy liścik z propozycją spotkania, tylko we dwie. Miałam nadzieję, że dzięki temu odzyskamy coś z dawnej przyjaźni. A jeśli dojdzie do takiego spotkania, nie wspomnę o Danielu. Nie chciałam jej wypytywać ani wiedzieć o nim nic więcej. Rola powiernicy kobiety wplątanej w romans jest wyjątkowo niewdzięczna. Nie zamierzałam wystąpić w tej roli, niezależnie od tego, jak bardzo samej Betsy na tym zależało.

Wykąpałam się, umyłam włosy, wyrzuciłam z myśli to zakłócające spokój popołudnie. Mieliśmy iść na kolację do Fairlie'ów, do tego ich wspaniałego domu nad rzeką. Był to sposób spędzania czasu, do którego przywykłam, bardzo odległy od miłości w mansardzie, zarezerwowanej, jak sobie wyobrażałam, dla garstki szczęśliwców. Atmosfera z pewnością będzie ciężka i namaszczona i na pewno zacznę się zastanawiać, jak długo jeszcze wytrzymam te wszystkie ceregiele. Nie pomyliłam się. Obserwowałam Constance Fairlie z niejakim zdumieniem, jakbym dopiero odkryła jej ledwie maskowaną zgryźliwość. Edmund Fairlie zauważył moje spojrzenie, a ja popatrzyłam mu w oczy z uśmiechem dezaprobaty, jakbym się chciała usprawiedliwić. Oczy Digby'ego łzawiły; walczył z ogarniającą go sennością. Wreszcie przyszła pora na pożegnanie. Edmund pomógł mi włożyć płaszcz i przyglądał się, jak kołnierzem osłaniałam twarz. Chwila ta była dla mnie najlepszym dowodem na to, że wcale nie pierwsze,

niemal pozbawione emocji spojrzenie skrzyżowane z potencjalnym kochankiem jest tym znaczącym, ale dopiero drugie. To nie moment rozpoznania jest najważniejszy, lecz moment potwierdzenia, gdy żadne względy już się nie liczą, mogły się liczyć kiedyś, w przeszłości, ale właśnie straciły znaczenie w tej pełnej napięcia, milczącej wymianie spojrzeń, która odmienia bieg spraw, a my poddajemy się temu, nie zważając na niebezpieczeństwa i koszty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zstąpiłam w potajemny świat przepełniona wdzięcznością, ulgą i szczerością, o jaką się wcześniej nie posądzałam. Było to kolejne przesunięcie w paradygmacie, zastąpienie jednej kategorii drugą, posłuszeństwa, które kiedyś było dla mnie oczywistością, czymś na kształt samowoli, która wydała mi się o wiele bardziej naturalna. Wstając rano, wiedziałam wreszcie, że mam jakiś cel poza zaparzeniem kawy, nalaniem soku pomarańczowego i usmażeniem bekonu, czego domagał się Digby, a co we mnie budziło obrzydzenie. Przez cały dzień wykonywałam wszelkie prace domowe, myśląc o tym, że dni są jedynie wstępem do wieczorów, kiedy spotkam się z ukochanym. Powiedziałam Digby'emu, że znalazłam sobie wieczorowy kurs, co przyjął z lekką irytacją, ale nie pofatygował się, żeby to sprawdzić. Gdyby to zrobił, odkryłby, że zajęcia trwają od siódmej do dziewiętej, a na dodatek kończą się wraz z nadejściem lata, kiedy miasto pustoszeje i zaczynają się wakacje. Czasami nawet żałowałam tych hipotetycznych zajęć, zwłaszcza gdy w trakcie wieczornych spotkań, będących teraz treścią mojego życia, z przyjemnością zauważałam, jak majestatyczny klimat wiktoriańskich powieści, które nadal czytywałam, ustępuje najbardziej prostackiemu językowi.

Zacierałam ślady: zostawiałam Digby'emu posiłek w piekarniku, przez telefon instruiowałam go, jak ma go podgrzać, i zapewniałam, że po zajęciach któraś z koleżanek odwiezie mnie do domu. Z początku się krzywił, ale byłam tak niewinna i przekonująca, że mi uwierzył. Martwiłam się jedynie tym, że mogę znów zauważyć jego samochód, że będzie mnie śledził albo wyjedzie mi na spotkanie, ponieważ jednak wybierałam się w miejsce niezbyt odległe od szkoły, w której miały się odbywać kursy wieczorowe, założyłam, że jestem bezpieczna. I co dziwne, byłam bezpieczna: chroniła mnie świeżo odkryta niefrasobliwość hazardzisty, będąca posłowiem do nudy żmudnego dobrego zachowania, które wymieniłam na spełnienie; miałam przecież do niego prawo.

Fakt, że zarówno ja, jak i Edmund jesteśmy niewierni, niezbyt mnie niepokoił. Wyostrzone zmysły podpowiadały mi, że on uczynił z tego normę, uznając, że takie przygody są zwyczajnym elementem życia mężczyzny. Bo niby po co trzymałby to wynajęte mieszkanie? Nie łudziłam się nigdy, że jestem pierwszą kobietą, która odwiedza to miejsce, ani że będę ostatnią. Wystarczyła mi świadomość, że mam prawo wstępu i że raz czy dwa w tygodniu, czasami rzadziej, a już nigdy w weekendy, spotykam się tam z nim, zatrzymuję jeszcze na chwilę po jego wyjściu i rozkoszuję się myślą, że to miejsce, którego nie odkrył jeszcze nikt inny, chroni naszą intymność. Dzień, w którym dał mi klucz do tego mieszkania, był najszcześniejszym dniem w moim życiu.

Niewiele o nim wiedziałam. Był, co miłe, o dziesięć lat młodszy od mojego męża. Miał troje dzieci, bliźniaczki Julię i Isabellę oraz syna Davida, i był im bardzo oddany. Kiedy o nich mówił, co zdarzało się często, odczuwałam pewien niepokój, jakąś tęsknotę, którą starałam się zignorować. Miałam w sobie dość stoicyzmu, by godzić się z sytuacją, i w żadnym momencie nie okazałam się na tyle nietaktowna, żeby spytać, czy mnie kocha. Jego postawa była oczywista: był tak pewny siebie pod względem seksualnym, że tę pewność wykorzystywał w sposób jak najbardziej naturalny. Lubił przyjemność, a ja mogłam jej dostarczyć. Nie próbował szukać usprawiedliwienia ani dla swojego, ani mojego zachowania. Mawiał jedynie: „Niewiarygodne... kto by przypuszczał... Ale to oczywiście część tej zabawy”.

„Zabawa” była w tym jedyną fałszywą nutą; niewłaściwym słowem na określenie tego, co czułam. Zapewne nie oddawała też dokładnie tego, co czuł on sam, ale nie rozmawialiśmy o tym. Nasz związek był najpełniejszy wtedy, kiedy obywaliśmy się bez słów. I na szczęście zazwyczaj tak właśnie było, ponieważ mieliśmy dla siebie mało czasu.

Kochałam go, chociaż nigdy tak naprawdę nie przestałam uważać, że miłość to coś zupełnie innego, że oznacza stałość, trwałość, zażyłość, a nawet codzienną obecność. Teraz jednak odrzucałam to przekonanie, ponieważ tego wymagała moja nowa sytuacja. Wystarczyło, że zobaczyłam wyraz jego tryskającej zdrowiem twarzy, a w jego oczach dostrzegłam podziw, z jakim na mnie patrzył, żeby w pełni zadowolić się tym, co mam, czy tym, co mi dano. Nie myślałam już w kategoriach dożywotniego przywiązania. Myślałam tylko o jego sile i o wyglądzie, który wprawiał mnie w zachwyt. Był wysoki i jasnowłosy, nieco przyciężkawy; mężczyzna z rodzaju tych, jakich widuje się wczesnym rankiem uprawiających jogging i na jakich nie zwraca się szczególnej uwagi. Wreszcie dotarł do mnie sens takich ćwiczeń: były elementem zalotów, wyrazem pragnienia, żeby pozostać atrakcyjnym i zachować sprawność w tej najważ-

niejszej z dziedzin życia. Edmund codziennie poświęcał takiemu morderczemu joggingowi godzinę przed pójściem do pracy. To był jeden z niewielu faktów z jego życia, jakie znałam. O jego żonie udawało mi się przez większość czasu nie pamiętać. Na szczęście przyjęcia zostały tymczasowo zawieszono: Constance jak zwykle zabrała dzieci na wakacje do ich letniego domu w Hampshire, a Edmund dojeżdżał do nich na weekendy. Digby coraz rzadziej kusił mnie zagranicznymi wakacjami. Moje wyraźne zadowolenie brał chyba za dowód uznania dla życia, jakie wiedliśmy. A ponieważ sam był coraz bardziej zmęczony, z ulgą przyjął fakt, że już nie musi zapewniać mi rozrywek. To właśnie za sprawą jego nieustannego zmęczenia byłam względnie bezpieczna podczas tych wieczornych schadzek. Może był nawet zadowolony z mojej nieobecności. Ja jednak nigdy nie pozbyłam się nawyku wybierania obcych ulic, robienia zbędnych uników, jakby wciąż mógł mnie dostrzec z samochodu albo, co gorsza, śledził skrycie i podstępnie, co kiedyś tak mnie zdumiewało i niepokoiło, ale co najwyraźniej już się skończyło.

Dni stały się jakoś szczególnie urokliwe. Opuszczałam Melton Court tuż po trzeciej, kiedy słońce było jeszcze wysoko. Wydawało mi się bardzo właściwe, że to wszystko rozgrywa się latem, podczas tych długich dni, kiedy przyroda ma zbawienny wpływ na nasze samopoczucie. Mieszkanie Edmunda znajdowało się przy uliczce okolonej z jednej strony ogrodem, w którym spędzałam popołudnie, całkiem niewinnie, z książką w ręce. Był tam kościół, do którego obracałam się plecami. Zapewne wcześniej bym tego nie zrobiła, wiedziałam bowiem, że brał w nim ślub sam Dickens. Kiedy pojawiały się dzieci, w porze, w której wolno im było po raz ostatni powspinać się na drabinki na placu zabaw, a zmęczone po pracy matki przejmowały wózki z niemowlętami od opiekunek i wiozły swoje pociechy do domu, wstawałam, odkładałam książkę i szłam przez ogród do mieszkania przy Britten Street, otwierałam drzwi własnym kluczem i czekałam na Edmunda, który zjawiał się krótko po piątej. Mieliśmy dla siebie mało czasu, za mało, bo on zawsze dzwonił do rodziny albo jego żona dzwoniła z letniej posiadłości, zawsze o tej samej porze. Często zapraszano go na kolację: przyjaciele współczuli mu, że został sam w mieście. Myślę, że te nasze wspólne wieczory miały dla niego coś z poezji. Pilnowałam się, żeby nigdy nie okazywać mu zachwyty, z wyjątkiem jednej konkretnej sytuacji oczywiście; moja dawna skrytość była zabezpieczeniem i dla mnie, i dla niego. Wiedziałam, że nie wolno mi wyjawiać głębi moich uczuć, bo to zepsułoby całą „zabawę”, a on oczekiwał, że będę przestrzegać warunków tego szczególnego układu. I dlatego nie wiedział, że po jego odejściu kręcę się po mieszkaniu, biorę prysznic, trochę fantazjuję o tym, że w przyszłości moglibyśmy żyć

razem, a potem wracam wolnym krokiem do domu, do męża drzemiącego przy włączonym telewizorze, z gazetą porzuconą na podłodze. Wstawał, kiedy słyszał z kuchni odgłosy zmywania po jego posiłku, i zjadał pospiesznie kawałek chleba z serem.

- Musisz zaprosić do nas tę swoją przyjaciółkę - oświadczył kiedyś. - To miło, że cię podwozi.

Mruknęłam, że się z nim zgadzam. Nawet ja, nawet wtedy, wiedziałam, że istnieją jakieś granice obłudy.

Czułam się zaskakująco mało winna; może odczuwałam wstyd, tak, jestem niemal pewna, że czułam wstyd, kiedy zerkałam na twarz pogrążonego we śnie męża, nawet wtedy, kiedy tkwił rozparty w fotelu, nieświadom wielokolorowych pokus roztańczonych na ekranie ryczącego telewizora. Przede wszystkim jednak czułam, że rozpiera mnie energia, i nigdy nie byłam zmęczona. Utożsamiałam się z mijanymi na ulicy młodymi ludźmi, których obnażone ramiona skąpane były w promieniach letniego słońca, a nie z poruszającymi się powoli, szacownymi kobietami, które wychodziły z podobnych do mojego mieszkań, gdy ja wracałam z zakupów i gotowa byłam poświęcić resztę przedpołudnia na gotowanie. Digby narzekał, że zapiekanki, które zostawiam mu w piekarniku, są za ciężkie i wywołują niestrawność, ale nawet jeśli odczuwałam jakieś mało wyraziste wyrzuty sumienia, to uciszałam je starannym komponowaniem tych posiłków, jakby miały one świadczyć na moją korzyść, gdybym przypadkiem miała kiedyś stanąć przed jakimś mglistym trybunałem orzekającym o mojej moralności. Wydawało mi się całkiem możliwe, że kiedyś ta wyższa siła, mimo że dawno już przestałam się z nią komunikować, każe mi dokonać rozrachunku z moim życiem.

Czasami, kiedy przychodziło nagle i niepożądane olśnienie, wpadałam w przygnębienie. Wiedziałam bowiem, że pod wieloma względami Digby przewyższa Edmunda, wiedziałam też, że Edmund to typ światowca, świadomego swoich praw i obojętnego na jakąkolwiek krytykę. Uważał, że jego aparycja i inne atrybuty dają mu prawo postępowania wedle własnego widzi-misję; a ja się zgadzałam, że takie są prawa natury. W końcu nie naraził nikogo na niebezpieczeństwo: jego dzieci były zdrowe, własna pozycja pewna, żona najwyraźniej zadowolona. Czy rzeczywiście zadowolona, wołałam nie pytać ani siebie, ani tym bardziej Edmunda, który, o czym byłam przekonana, źle przyjąłby takie złamanie zasad. Przed tamtym moralnym trybunałem przyznałabym zapewne, że być może ona sama musiała przyjąć tę cyniczną i bierną postawę, istniało bowiem prawdopodobieństwo, że o wszystkim wie i że oboje są stronami jakiegoś układu, który trudno było mi zrozumieć. Byłam dość niemądra jak na swój wiek i miałam sto-

sunkowo mało doświadczenia. Byłam starsza od mijanych na ulicy dziewcząt, ale za młoda, żeby utożsamiać się z tamtymi kobietami z koszykami na zakupy i bez wątpienia z nieskazitelnie czystymi sumieniami. Żyłam chwilą obecną i byłam zaaferowana swoimi sprawami; nie mogłam się już doczekać, kiedy usiądę na ławce w ogrodzie przy Britten Street, by rozkoszować się tym preludium do późniejszego wieczornego spełnienia.

Dlatego tak bardzo zirytowało mnie zahamowanie tego naturalnego biegu rzeczy, kiedy na schodach do mojego mieszkania zatrzymała mnie pani Crook i zaprosiła na kawę, a ja nie mogłam odmówić. Była dopiero jedenasta i czasu na upieczenie kurczaka dla Digby'ego miałam dosyć. Mimo to zaproszenie odczułam jako przeszkodę, zakłócenie i dlatego z wielką niechęcią weszłam do jej mieszkania, będącego lustrzanym odbiciem naszego. Czułam zagrożenie ze strony tej kobiety, wiedziałam, że powinnam trzymać się z daleka od kobiet tego gatunku, który pani Crook godnie zaprezentowała.

- Rzadko cię widuję ostatnimi czasy - oznajmiła. - Nie, żebym w ogóle często cię widywała. Taka już z ciebie skryta osóbką.

Ta ostatnia, wypowiedziana lekceważącym tonem uwaga miała dać mi do zrozumienia, że skryte osóbkę nie są zbyt interesujące dla takich osób jak pani Crook, której należy się większy szacunek, niż mogłam jej okazać. Usiadłam potulnie w przeładowanym meblami salonie, a ona krzątała się po kuchni, przygotowując kawę. Byłam pewna, że okaże się za słaba. Wiedziałam, że mam pół godziny, zanim będę musiała wrócić do siebie, żeby odebrać telefon od Edmunda. Powie mi wtedy, jakie ma plany i czy będzie wieczorem wolny. Bo nie zawsze był wolny; czas w biurze miał dokładnie wypełniony, a niekiedy musiał się też spotkać z klientem po pracy. Nie miało to dla mnie większego znaczenia; byłam oczywiście rozczarowana, kiedy nie mogliśmy zobaczyć się wieczorem, ale ten telefon od niego upewniał mnie, że nasz związek jest niezagrożony, a jego głos dostarczał mi energii na resztę dnia. Zresztą i tak mogłam tam pójść; te chwile spędzone w ogrodzie były już częścią mojego życia, chyba tą najbardziej cenną. Prozaiczne przedpołudnia przechodziły w jakieś czarowne i wyciszone popołudnia. Był to czas, kiedy mogłam do woli obserwować wyłanianie się prawdziwej siebie, tej przesłoniętej minionymi latami poprawnego życia, które dopiero teraz ujrzałam takim, jakie było: błędne, zwodnicze, wypełnione duszną atmosferą, która wydawała mi się zupełnie nie do przyjęcia.

Pani Crook zasiadła w fotelu i gotowa była poświęcić mi całą swoją uwagę, albo raczej pozwolić mi docenić zaszczyt tego zaproszenia. Miała osiemdziesiąt lat; był to wiek, jakiego wolałam w ogóle nie dopuszczać do swojej świadomości. Otyła, powolna i groźna, uważana

była w tym budynku za swego rodzaju osobistość. Niewielu mieszkańców ją lubiło, ale wszyscy okazywali jej pewien szacunek, niejako wymuszony tym jej niezachwianym poczuciem własnej wartości. Była, jak wiele podobnych jej kobiet, wdową, prawdopodobnie spędzała czas samotnie, ale dokładała wszelkich starań, by ukryć swoje osamotnienie i okazać lekceważenie dla poczynań innych. Dużo podróżowała ze swoim drugim mężem i dawniej, kiedy byłam młodą mężatką i wracaliśmy z wakacyjnych podróży, wypytywała mnie, czy udało nam się znaleźć polecany przez nią hotel, a jeśli tak, czy nie zapomnieliśmy przekazać pozdrowień właścicielowi. Uwagi tego rodzaju były treścią rozmów, jakie wypadało nam ze sobą prowadzić. Mąż ją podziwiał, jak wszystko, co funkcjonowało według ustalonych i jasnych reguł, mnie natomiast drażniło to wścibstwo i w żadnym razie nie zamierzałam zaspokajać jej ciekawości. Moja niechęć nie pozostała niezauważona. Pani Crook nigdy nie była wobec mnie szczególnie życzliwie usposobiona.

- I jakże ci się wiedzie? Nadal uczęszczasz na te swoje zajęcia? - zapytała, a ja pomyślałam, że muszę mieć się na baczności. - Przypuszczam, że nie zrozumiałabym ani słowa - ciągnęła. - Niewiele pojmuję z tego, co się obecnie dzieje. Świat tak się zmienił.

Przyznałam jej rację. Uznałam to wszystko za popis oratorski i gotowa byłam poświęcić jej co najwyżej dwadzieścia minut, a potem rzucić się do ucieczki.

- Gdzie się podziały dobre maniere? - pytała napastliwym tonem, nie oczekując zresztą odpowiedzi. - Tradycja? Zasady? Te wszystkie okropne kobiety z wrzaskiem domagające się praw, robiące z siebie idiotki. Co się stało z moralnością?

- Podejrzewam, że pewne zmiany są nieuchronne. - Poczulałam przyływ odwagi. - Więcej kobiet pracuje...

- To następny problem. Za moich czasów mężczyźni troszczyli się o kobiety. Nigdy nie widziałam powodu, żeby się temu przeciwstawiać. Byłam równie inteligentna jak moi mężowie. A przecież nie przyszłoby mi do głowy, żeby protestować, wyklócać się, żądać więcej, niż mi się należało.

- Sądzę, że kobiety chcą czegoś więcej - powiedziałam. Tylko czekała na te słowa.

- I co im to da? Zorientują się za późno, kiedy wszyscy mężczyźni już od nich odejdą. Boleję nad własną płcią - oświadczyła z pełnym satysfakcji chichotem. - Nie, żeby mnie cokolwiek łączyło z tym nowym gatunkiem. Kiedy byłam młoda, kobiety wiedziały, jak się zachować. Och, pijesz z cukrem? Jest w kuchni, gdybyś była uprzejma... Wiesz, gdzie stoi.

Na kuchennym stole poniewierały się mizerne sprawunki: herbatniki, ciasto biszkoptowe, niewielki bochenek chleba, herbata w torebkach, rozpuszczalna kawa, paczuszka szynki i mała, przeciekająca torebka pomidorów. Za mało, żeby wywołać u kogokolwiek apetyt na życie, a przecież ją rozsadzała energia, koszmarna energia, która kazała jej potępiać wszystko, czego sama nie pochwałała. Mogłam sobie wyobrazić jej skromny posiłek: plasterk szynki i pomidor, a na deser jeszcze jedna filiżanka tej okropnej kawy. Pewnie nadal miała jakieś przyjaciółki; wyjdzie po południu odwiedzić którąś z nich, licząc na zaproszenie na kolację, którą nasyci się aż do następnego dnia. Wcześniej się kładła i zasypiała przy włączonym radiu, którego dudnienie dochodziło do naszych uszu przez ścianę sypialni. Radio regularnie budziło ją po jakimś czasie, wstawiała wtedy i szła do kuchni przygotować filiżankę herbaty. Aż do północy słychać było, jak człapie po mieszkaniu. Myśl o jej życiu napełniała mnie przerażeniem. Nigdy nie chciałabym się stać taka jak ona.

- Ty przynajmniej troszczysz się należycie o Digby'ego - oświadczyła, kiedy wróciłam do salonu. Czuła się upoważniona do wyrażania troski o mojego męża, jak zresztą o wszystkich mężczyzn, utwierdzając się w swoich prawach niezreformowanej kobiety, należącej do starej szkoły. - Matka musiała cię dobrze wychować. To widać. Te kobiety - to znaczy te wszystkie niepodobne do niej - nie zwracają sobie tym głowy. A jeśli chodzi o młodzież... - Uniosła obie ręce w geście wyrażającym bezsilność, ale i potępienie. - Nie, żebyś ty była taka znowu młoda. Ale wygląda na to, że prowadzisz bardzo ustabilizowane życie.

To stwierdzenie miało być krzepiące, jak by ona bez wątpienia rzecz ujęła. Ostatecznie okazało się jednak, że nie jestem dość interesująca, by na dłużej podtrzymać jej uwagę. A może po prostu się znudziła. Była wyraźnie rozczarowana. Moja powściągliwość oznaczała, że nie przedstawiam większej wartości i nie jestem godna jakiegokolwiek męża, a cóż dopiero takiego, z którym ona zwykła wymieniać żartobliwe komentarze, na długo zanim pojawiłam się na scenie. I chociaż już od pewnego czasu tę scenę okupowałam, ona nadal traktowała mnie jak coś tymczasowego, jak służącą, która może się nie sprawdzić. Nie miała najmniejszego pojęcia, że jej antypatia w stosunku do mnie jest tak jawna. A ja wiedziałam, że nie powinnam jej pozwolić, by odkryła przyczyny swej niechęci. Gdzieś tam bowiem, w głęboko ukrytym zakamarku jej myśli tkwiło jakieś wyobrażenie mojej seksualnej aktywności, chociaż prawdopodobnie nie to uznałaby za istotę różnicy pomiędzy nami. A na dodatek nie składałam jej hołdów. W jeszcze głębiej ukrytym zakamarku połączyła sobie obecność jednego z nieobecnością drugiego.

- Niestety, muszę już panią opuścić - powiedziałam, wstając. - Było mi bardzo miło. - Nie odwzajemniłam się zaproszeniem jej do siebie. zaproponowałam natomiast, że rano mogę robić jej zakupy. Może i było to uprzejme z mojej strony, ale nie było szczere. Rozpaczliwie chciałam się stamtąd wyrwać, wiedziałam jednak, że muszę się zachować stosownie do sytuacji. W jej oczach nie było cienia pobłażliwości. A ja wyobrażałam sobie, że telefon w moim mieszkaniu dzwoni i dzwoni.

To zdarzenie wyprowadziło mnie z równowagi. Stałam bowiem oko w oko z niepożądanym zjawiskiem, z kobietą niezdolną już do głębszych uczuć, która zastąpiła je poprawiającą samopoczucie zjadliwością. W jej mieszkaniu panował specyficzny zaduch i wszystko - od poduszek, które wydawały sapnięcie, gdy się w nie zapadała, po zaniedbaną kuchnię, powszechnie uważaną za wymarzone pole działań każdej domatorki - świadczyło o pewnym braku, który gospodyni usiłowała pokryć wzniosłymi uwagami na temat upadku obyczajów.

Zabrzmiało to oskarżycielsko, ale dla pani Crook z formalnego punktu widzenia byłam nadal osobą bez zarzutu i jej słowa wcale nie musiały być wymierzone przeciwko mnie. Wcześniej czy później mój sekret się wyda i to nie mój mąż go odkryje, ale ktoś taki jak pani Crook, ktoś o wyostrzonej przez zawiść spostrzegawczości. Bałam się mocy kobiet, chociaż sama jestem kobietą. Jedyną niegroźną kobietą, jaką znałam, była Betsy, której brak nagle boleśnie odczułam. I nie chodziło mi bynajmniej o to, żeby Betsy była świadkiem moich poczynań; nie zrozumiałaby tego zgubnego zauroczenia Edmundem. Dla Betsy miłość była poezją, wiązała się z najwyższymi emocjami. Jej romans był w dużej mierze sprawą bezbrzeżnej tęsknoty, podobnie jak wszystkie jej poczynania. Nie mogłam podzielić się z Betsy moimi myślami, chociaż chciałam porozmawiać o swojej sytuacji z inną kobietą, właśnie taką jak ona, niezepsutą. Być może by mnie nie zrozumiała, ale zapewniłabym sobie jej współczucie szczerością spowiedzi (bo byłaby to spowiedź), na którą ona zareagowałaby z tą swoją nieodłączną naturalną prostotą. Bez wątpienia spróbowalaby stosownym cytatem z klasyki uszlachetnić całą sprawę, kierując się poczuciem lojalności, pragnieniem powiązania jej z pojęciami tak wyraźnie nieobecnyymi w moich działaniach. Czy te działania nie miały przypadkiem cech obsesji? Moja natura musiała kryć jakieś mroczne tajemnice, mroczne jedynie dlatego, że z nikim ich nie dzieliłam. Podczas tych wieczorów z Edmundem sumienie zanikało, a ja nabierałam przekonania, że działam w zgodzie ze swoją prawdziwą naturą. W przerwach pomiędzy spotkaniami zdawałam sobie sprawę, że utraciłam stan łaski, ale na potępienie swojego postępowania zdobyć się nie potrafiłam.

Powietrze w kuchni wibrowało, jakby telefon dopiero co przestał dzwonić. Spóźniłam się. Był czwartek, a w piątek Edmund pojedzie do rodziny na wieś i nie zobaczę go aż do przyszłego tygodnia. Bałam się weekendów, które wypełniały sztuczki i wybiegi, do jakich się uciekałam, by zachować pozycję wiernej żony. Weekendy odbierały mi przyjemność spędzenia popołudnia w ogrodzie, widoku bawiących się dzieci, czekania - a tylko w tej sytuacji czekanie było radością - na chwilę, kiedy wsunę klucz w zamek. Ten układ nie wzbudzał już moich wątpliwości; Edmund wymyślił go wcześniej dla innych kobiet, dla każdej, która przyszlaby tam z ochotą i stała się współniczką w oszustwie, w którym ja teraz uczestniczyłam. Przez moment lękałam się, że jest wobec mnie cyniczny. Odrzuciłam tę możliwość: napotkałam przecież jego spojrzenie i odwzajemniłam je; i to była jedyna prawda. Zanim poznałam Edmunda, na pewno potępiłabym mężczyznę trzymającego garsonierę. Teraz dość osobliwie traktowałam to jako przejaw męskiej seksualnej rzutkości. Zresztą to ja na tym korzystałam. Niemniej musiałam się pogodzić ze zmianami, jakie pod wpływem tej sytuacji zachodziły we mnie. Na przykład przestałam śnić. Moje żywe i barwne sny ustąpiły żywym i barwnym rzeczywistym wydarzeniom. Jeśli w ogóle śniłam, to były to sny na jawie, kiedy siedziałam na ławce w ogrodzie. Nie czytałam już tyle, co przedtem, chociaż mój umysł uparcie trzymał się wiktoriańskich pierwowzorów. Mąż traktował moje upodobania życzliwie, jako niewinny, dobrze świadczący o mnie kaprys. Moje próby poruszenia na przyjęciach tematów, które uważałam za interesujące, na pewno czyniły ze mnie osobę kłopotliwą, wręcz nudną. Rumienię się na samą myśl o tym, jaką wyrozumiałością musieli wykazywać się nasi goście.

Powiodłam wzrokiem po mieszkaniu, które było własnością Digby'ego i stanowiło istotną pozycję w planach matki dotyczących mojej przyszłości, kiedy już nasz dom przy Bourne Street został wystawiony na sprzedaż. Mimo że matka mogła uchodzić za kobietę światową, to w pewnych sprawach była równie niereformowalna jak pani Crook i święcie wierzyła, że wszystkie najważniejsze potrzeby kobiety zostają zaspokojone, kiedy znajdzie się pod opieką mężczyzny. Zaakceptowałam to nijakie mieszkanie bez zastrzeżeń; było ono godną pozazdroszczenia własnością, ale ja wiedziałam, że w jakiejś bliżej nie określonej przyszłości nie będę do niej zgłaszać pretensji. Wtedy bowiem, a mogłoby to nastąpić jedynie po śmierci Digby'ego, wyprowadzę się stąd, może znowu pojedę do Paryża, gdzie powrócę do moich dawnych ponurych zwyczajów. Ta perspektywa już mnie nie przerażała. Zdałam już egzamin z zaradności i to mi zapewni przyszłość. Wiedziałam, że w porównaniu z Edmundem nie posiadałam wielu atutów. To była jedyna rzecz, która nas poważnie dzieliła. Czasami w jego obecności czułam to

wyraźnie i kładło się to prawdziwym cieniem na moim szczęściu. Nie wiem, czy on w ogóle zauważał tę różnicę między nami, a jeśli tak, to czy mogło to mieć jakikolwiek wpływ na moją pozycję.

Nie mogłam spędzić reszty tego nieudanego dnia w domu. Postanowiłam pójść z książką do ogrodu, z poczucia lojalności, z tęsknoty, bynajmniej nie z irytacji. Najpierw odwiedziłam kawiarnię za rogiem, gdzie w porze lunchu zjadłam pełne angielskie śniadanie i radośnie pochłonełam każdy nasączony tłuszczem kęs. To jeszcze jedna ze zmian w moim zachowaniu: upodobanie do niewybrednego i pośpiesznego zaspokajania potrzeb. Nieprzyjemnie objedzona poszłam do ogrodu i wybrałam ławkę, z której nie mogłam widzieć okien tamtego mieszkania. Czułam się nieswojo; bez perspektywy spotkania z Edmundem moja obecność tutaj była zwykłym włóczegostwem. Wróciłam do domu, upiekłam kurczaka, obrałam ziemniaki, oplukałam sałatę i czekałam nie na kochanka, ale na męża. Digby był mile zaskoczony, kiedy zobaczył mnie w fotelu z książką w ręce.

- Nie ma dziś zajęć?

- Odwołane - wyjaśniłam.

Po obiedzie poszedł jak zwykle do drugiego pokoju i włączył telewizor. Kiedy tam weszłam, spał już, nieświadomy, że na ekranie rozgrywa się pełna żaru scena. Kiedy para splotła się w namiętym uścisku, wyłączyłam telewizor.

- Przecież oglądałem - zaprotestował łagodnie Digby.

- Nie oglądałeś. Miałeś zamknięte oczy.

- Och, ale i tak wiedziałem, co się dzieje. Zawsze się wie.

Zerknęłam na niego niepewnie. W jego dobrotliwym spojrzeniu nie było jednak nic, co by mogło wzbudzić mój niepokój. Po kilku minutach położyłam się do łóżka, a jego uwaga rozplynęła się spokojnie w nocnej ciszy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jeśli nauczyłam się czegokolwiek, to tego, że z najwyższych wartości - honoru, godności - możemy zrezygnować w jednej chwili, jeśli tylko nastąpią sprzyjające temu okoliczności. Wzniosłe zachowania istnieją już tylko w dramatach tak wielbionego przez Betsy Racine'a. Nauczyłam się też, że natura, ten wspaniały ofiarodawca, każe nam słono płacić za bezmyślne i nieuprawnione korzystanie z jej darów, i że każde życie ma marny koniec. „Spokojnie, we śnie”, czytamy, a co z poprzedzającymi koniec godzinami i minutami? Pod tym względem Szekspir ma zdecydowaną przewagę nad Racine'em, a Hamlet wyraża wątpliwości i lęki nas wszystkich. Ten sposób myślenia jest nam bliższy niż powściągliwość siedemnastowiecznych klasyków w traktowaniu uczuć i spraw ostatecznych. Nauczyłam się też, że to bogowie nad wszystkim panują i że każdy może doświadczyć ich pogańskiej obojętności, nieważne, jak poprawnie wiódł życie. Przekonałam się, że nie istnieje sposób, aby przygotować się na smutek, zwyczajny żal, który ostatecznie nas ogarnia, kiedy czujemy, że życie się kończy; nasze potknięcia pozostają porażkami, a sukcesy stają się iluzją. Wierzę również, że przychodzi chwila rezygnacji, kiedy dociera do nas świadomość, że czas się skończył, że już go nie mamy, a jeśli nawet pozostała jeszcze chwila, to i tak przeżyjemy ją niejako pośmiertnie, z poczuciem czystej straty. A przecież otrzymujemy również swoiste zaproszenie do gry w rosyjską ruletkę naszym życiem i naszymi uczuciami, kiedy mamy jeszcze czas, żeby ryzykować, żeby igrać z niebezpieczeństwem. Ale wtedy jest już zwykle za późno. Ta umiejętność - zdolność - podejmowania ryzyka została zmarnowana. Od tego momentu wszystko naznaczone jest piętnem śmiertelności.

Pierwszej z tych prawd doświadczyłam na sobie. Drugą uzmysłowiła mi matka podczas jednej ze swoich krótkich wizyt w Londynie. Mieszkała teraz z przyjaciółką w Hiszpanii, w willi kupionej za pieniądze od ojca. Przyjrzałam się jej ze zdumieniem, zupełnie nie gotowa, aby tak bez uprzedzenia przyjąć te ponure fakty, z którymi najwyraźniej ona już się pogodziła. Prawda, że widywałam ją rzadko i nie spodziewałam się zmian w jej wyglądzie, których zresztą nie potrafiłam dokładnie określić. Wydawało mi się, że jej twarz ma inny kształt: zapadnięta z jednej strony, a wargi ściągnięte jak u bardzo starej kobiety. Tak naprawdę nie była jeszcze stara, chociaż mnie się taka wydawała; zbliżała się do sześćdziesiątki i z tego, co wiedziałam, zachowywała dobrą formę. Jednak te zmienione rysy, tak różniące ją od tej zadbanej kobiety, którą

pamiętałam z dzieciństwa, i te wygłaszane żalonym tonem stwierdzenia niosły ze sobą niemiłe poczucie zagrożenia dalszymi zmianami, o których nie myślałam z radością.

Uśmiechnęła się blado, kiedy zauważyła mój brak uznania dla jej świeżo odkrytych mądrości, i uniosła rękę do twarzy.

- Zastanawiasz się pewnie, z czego to się wzięło - powiedziała. - Taki drobiazg, a przecież spełnił rolę ostrzeżenia. Trzeba było usunąć kilka zębów. Hiszpańscy dentyści są do niczego - nie, żeby angielscy byli wiele lepsi - i proteza jest nie najlepiej dopasowana. Zresztą to chyba widać.

- Uporasz się z tym - wykrztusiłam nieporadnie, nie chcąc, by mnie wciągała w te swoje nowe, intymne sprawy.

Matka zawsze przesadzała. Kiedy byłam dzieckiem, uważałam, że jest nieustraszona, bo przyjmowała ze spokojem moje choroby i skaleczenia, różne drobne i poważniejsze wypadki. Teraz widziałam, że pod pozorną zuchowatością skrywała lęk i że nie potrafiła się już przed tym lękiem bronić. Staralam się usilnie nie okazywać jej takiego współczucia, jakiego pragnęła. Nie chciałam się z nią identyfikować, bo to oznaczałoby, że nie tyle jestem jej córką, ile już niemłodą kobietą litującą się nad tą jeszcze starszą. Wydawało mi się, że przestała przywiązywać wagę do tego, co wypada, a co nie, skoro u mnie szukała pociechy, i znów pomyślałam, że straciła zimną krew. Cieszyłam się, że mieszka daleko stąd i nie może się zorientować w moim postępowaniu. Wiedziałam, że zachowuję się bardzo dyskretnie, obawiałam się jednak jej nieomylnego instynktu. Była kobietą, której niemal cała uwaga skupiała się na innych kobietach, jak gdyby chciała oszacować ich walory, a w miarę możliwości wady, jakby wciąż się z nimi porównywała. Była mistrzynią subtelnych aluzji, lekceważącego śmiechu, jakby to był najlepszy sposób na zdobycie serca mężczyzny. Teraz rozumiałam, dlaczego ojciec szukał miłości i pociechy gdzie indziej. Nie rozgrzeszałam go, ale rozumiałam. A ona, kiedyś taka piękna, teraz już piękna nie była. Szczerze tego żałowałam, a jednocześnie byłam zła, że to przyciąga moją uwagę.

- Ty też się zmieniałaś - powiedziała. - Nabrałaś kolorów. I lepiej się ubierasz. Cóż, możesz sobie na to pozwolić. - Wybuchnęła tym swoim gniewnym śmiechem, który zawsze towarzyszył wszelkim rozmowom o pieniądzach.

Wiedziałam, że spodziewa się wdzięczności za wmanewrowanie mnie w to małżeństwo z zamożnym, starszym panem. Przynajmniej wtedy uchodził za zamożnego, chociaż w porównaniu z Edmundem dochody Digby'ego musiały być skromne. Żyliśmy wygodnie i nie

miałam nic przeciwko dokładaniu własnych pieniędzy do jego. Pokrywałam swoje osobiste wydatki, co wydawało mi się stosowne, podczas gdy Digby zajmował się całą resztą. Zdawałam sobie sprawę, że wakacje w pierwszych latach naszego małżeństwa musiały być dość kosztowne, i z różnych względów byłam zadowolona, że już z nimi skończyliśmy.

Obecność matki była szczególnie uciążliwa dlatego, że miałam kilka własnych spraw do przemyślenia. Pierwszą i najważniejszą z nich był Edmund, a raczej jego brak. Zabrał rodzinę do Francji, do domu w Alpilles, który udostępniali im przyjaciele, i teraz przez trzy, może nawet cztery tygodnie miałam go nie widywać. Ten przymusowy okres wyciszenia z wielu powodów napawał mnie niepokojem, wiedziałam bowiem, albo tylko wyczuwałam, że jeśli romans utraci impet, to wynikiem nie będzie nic dobrego. Myśli dotyczące kontrastu pomiędzy jego sytuacją a moją nasuwały się same. Ja spędzałam spokojne dni samotnie albo z Digbym, który właśnie miał urlop. Wolał go spędzać w domu, wybierając się co najwyżej na poświęcony rozmyślaniom poranny spacer. A nietrudno mi było wyobrazić sobie wspaniałość otoczenia, w jakim Edmund oddawał się rozrywkom; gibkie ciała jego i dzieci, jak gdyby byli przedstawicielami jakiejś innej rasy i żyli w innej niż ja i Digby atmosferze, teraz jeszcze bardziej nużącej z powodu obecności mojej matki. Dopóki nie nabrała zwyczaju zasiadania ze szklaneczką whisky w ręce i wygłaszania tych okropnych uwag, które miały wyjść mi na dobre, nie buntowałam się przeciw tym sennym wakacjom. I Digby, i ja byliśmy zajęci swoimi myślami i niewiele ze sobą rozmawialiśmy, w tym naszym milczeniu była jednak pewna harmonia. Już zdążyłam poczuć odrobinę niesmaku na myśl o Britten Street i doszłam do wniosku, że szlachetne postępowanie robi wrażenie, bo je uwierzytelnia. Oczywiście kiedy o tym pomyślałam, natychmiast przyszedł mi do głowy kontrargument i byłam gotowa uznać godność i wdzięczność w kontaktach między ludźmi za nieważne i domagać się praw, które i tak przestaną być istotne z powodu wieku i zniedołężnienia. Pod tym względem byłam dzieckiem swoich czasów. Kobiety już zdążyły odkryć euforię, jaka towarzyszy protestowi, możliwe zresztą, że doprowadziły do tego ich matki, które, podobnie jak moja, bezskutecznie wygłaszały złowieszcze ostrzeżenia, utyskiwały na niefrasobliwość młodości, nakazywały młodszym rozpoznawać własne ograniczenia. Kryła się za tym zazdrość, którą córki prawdopodobnie wyczuwały intuicyjnie wcześniej niż matki i która na jakiś czas psuła stosunki między nimi. Ja nie miałam najmniejszego zamiaru porównywać się ze swoją matką, której dłoń akurat w tym momencie powędrowała do zapadniętego policzka. Siłą woli powstrzymałam własną dłoń. Gdybym była sama, pobiegłabym do lustra, żeby sprawdzić, czy nic się nie zmieniło w moim wyglądzie.

Po tygodniach błogich, pozbawionych marzeń sennych nocy znów zaczęłam śnić i dwa sny wydały mi się dziwnie złowrogie, jak to zresztą bywa ze snami, które długo kołaczą się w głowie. Śniło mi się, że w całym mieszkaniu nie ma światła i muszę poprosić dozorcę o sprawdzenie bezpieczników. Wiedziałam, że to sen, że jest środek nocy i że teraz nie będę dzwonić do dozorca, niemniej ten obraz ciemnego mieszkania był tak przekonujący, że wstałam w końcu z łóżka, poszłam do łazienki i zapaliłam światło. Nie mogłam przecież chodzić po mieszkaniu i sprawdzać wszystkich lamp, więc stanęłam przy oknie i przez kilka minut patrzyłam na spokojną ulicę, po czym wróciłam do łóżka, gdzie natychmiast, a przynajmniej tak mi się zdawało, przyśnił mi się następny sen. Ten rozgrywał się za dnia, w słoneczne popołudnie, bardzo podobne do tych, które spędzałam w ogrodzie. Byłam w South Kensington, niedaleko od Melton Court, i zamierzałam właśnie wejść do kawiarni, gdzie przy stoliku siedział Edmund. Zachowywał się, jakby mnie nie znał, jednak ten fakt nie zaniepokoił mnie tak bardzo jak to, że miał zupełnie siwe włosy. Nie mogłam tego pojąć, bo zdawało mi się, że Edmund jest odporny na starzenie, po czym dotarło do mnie, że to nie Edmund osiwiiał, ale Digby.

- Digby wygląda okropnie - głos matki sprowadził mnie na ziemię. - Czy aby na pewno o niego dbasz?

- Jest przemęczony - powiedziałam bez przekonania. - Ciężko pracuje, za ciężko. Myślę, że już nie może się doczekać emerytury. - Chociaż, prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobię, kiedy on nie będzie ruszał się z domu.

- Nie pamiętał, jak mam na imię - oznajmiła szczerze zaniepokojona. - Mówił do mnie Helen. - Znowu trzymała dłoń przy twarzy.

- Jego pierwsza żona miała na imię Helen - wyjaśniłam, odczuwając jednocześnie smutek. - Pewnie mu ją przypomniałaś.

Na jej twarzy pojawił się ten nowy krzywy uśmiech, zupełnie jakby to, co powiedziałam, było komplementem. Niemniej jakiś instynkt kazał jej wstać i zbierać się do wyjścia. Zatrzymała się w Basil Street Hotel, gdzie wyprawiono moje wesele, a teraz nie mogła się już doczekać, żeby ponownie zanurzyć się w jego życzliwej atmosferze, po tym popołudniu, podczas którego zbyt dużo wyjawiała, a co więcej - zbyt dużo się dowiedziała.

Po uprzątnięciu z kuchennego stołu resztek lunchu, który ledwie raczyła dziobnąć, poszłam do salonu i popatrzyłam na Digby'ego. Zdusiłam w sobie ochotę, by mu powiedzieć, że jeśli chce się zdrzemnąć, powinien to robić dyskretniej, nie w obecności innych. Ojciec też miał ten nieprzyjemny zwyczaj i kładł się w salonie, żeby zrobić na złość matce. Była to jedno-

czesnie starannie wypracowana jego strategia obronna i naturalna potrzeba. Posiadał zadziwiająca zdolność do natychmiastowego pogrążania się w niebycie i to zawsze zatruwało atmosferę w domu, a mnie nauczyło dostosowywać się do różnych, zmiennych sytuacji. Teraz wydawało mi się, że za sprawą wyjątkowej ironii losu wracam do początków, z tą jedynie różnicą, że miejsce ojca zajął mąż. Uważałam, że mężczyźni nie powinni się tak zachowywać, irytowało mnie, że Digby jest zbyt senny, żeby pożegnać odpowiednio uroczyście moją matkę, choć jednocześnie wyczuwałam, że ona nie ma najmniejszej ochoty rozmawiać z nim dłużej niż to konieczne. Wyglądało na to, że woli się ograniczyć do kobiecych pogaduszek, głównie dlatego, że chciała się podzielić, co teraz już wiedziałam, swoimi obawami o przyszłość. Nie mogła liczyć na to, że kobieta, z którą mieszka i która miała swój wkład w utrzymanie willi, zaopiekuje się nią w przyszłości. Spotkały się kiedyś na jakimś wycieczkowym rejsie i niewiele się zastanawiając, zmaterializowały swoje plany zamieszkania w bardziej słonecznym klimacie. Matka, która przecież nigdy w przeszłości nie przepadała za towarzystwem kobiet, na pewno żałowała tego układu, nie była jednak w stanie nic zmienić. Mogła się spodziewać, że Digby, należący przecież do rodziny, będzie wiedział, jak ją z tego wypłatać, jak pozbyć się przyjaciółki, sprzedać willę, a jeśli nie, to przynajmniej udzieli jej jakichś ogólniejszych rad, wskaże jakąś inną drogę.

Jej rozpaczliwe próby znalezienia podpory, w najszerszym znaczeniu tego słowa, nie spotkały się z mojej strony z żadną reakcją. Czułam się zażenowana nią i przez wzgląd na nią; ta dłoń raz za razem wędrująca ku twarzy podkreślała tylko jej zmieniony wygląd. I czułam się zażenowana Digbym i przez wzgląd na niego, bo on najwyraźniej nie życzył sobie, żeby niepokojono go po południu, rościł sobie prawo do domowego spokoju w czasie, który uważał za urlopowy. Powróciła natrętna myśl o wakacjach Edmunda, ze wszystkimi tymi powabami i atrakcjami, o których czytywałam w folderach, lojalnie zresztą przynoszonych przeze mnie do domu, wtedy, kiedy uważałam, że w ten sposób demonstruję swój godny pochwały entuzjazm. Ale prawdziwy ból odczuwałam, tylko gdy wyobraziłam sobie samego Edmunda, cieszącego się tego rodzaju zażyłością, jakiej mnie nigdy nie będzie dane doświadczyć. Nie było na to rady i wtedy już wiedziałam, że moja sytuacja się nie zmieni, wręcz pozostanie nieodwracalna. Wzięłam z półki pierwszą lepszą książkę, gotowa poświęcić to popołudnie tak zwanym wakacjom Digby'ego i spełnianiu jego życzeń. Lubił, kiedy siadałam obok niego, bo mógł mnie wtedy wziąć za rękę. Wychodziło nam to obojgu na dobre, bo ja przy takich okazjach przypomina-

łam sobie na nowo o jego dobrym sercu. Żeby wyjść naprzeciw jego oczekiwaniom, obniżałam poziom swoich, dzięki czemu mogłam się poczuć odrobinę lepsza.

Książką, którą wzięłam na chybił trafił, albo tak mi się wydawało, okazała się niestety *Pani Bovary*; uznałam, że świadectwo cudzołóstwa Emmy jest w tej sytuacji zupełnie nie na miejscu. Zamknęłam ją cichutko i odłożyłam na bok, a zajęłam się tym, co robiłam dość często: przyglądaniem się wszystkiemu, co znajdowało się w pokoju, jakbym w ten sposób chciała upewnić się co do jego realności. Digby ujął moją rękę i spytał, czy nie chciałabym wyjść; odpowiedziałam, że w tej chwili niczego mi nie brakuje do szczęścia, ale że możemy przejść się później i zjeść coś w którejś z okolicznych restauracji. Wydawało mi się, że mówił niezbyt wyraźnie, ale złożyłam to na karb rozespania; na szczęście zjedliśmy już wcześniej, przed tą kłopotliwą wizytą mojej matki, która przywołała niechciane wspomnienia. Jak zwykle oczekiwałam, że obecność Digby'ego pomoże mi się od tego uwolnić. Tymczasem odniosłam wrażenie, że jego twarz przeobraziła się w lustrzane odbicie twarzy matki, włącznie ze zniekształconym policzkiem. Niewątpliwie była to projekcja. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz, ale niewiele nowego mogłam tam zobaczyć. Kiedy odwróciłam się i spojrzałam na niego w tym innym świetle i z innej perspektywy, wydał mi się taki sam jak zawsze.

Wziął moją książkę i zaczął przeglądać.

- Nie spodoba ci się - ostrzegłam go.

- Nigdy mi się nie podobała. Tak naprawdę to książka dla kobiet.

- Ale napisał ją mężczyzna.

- Tak, tylko mężczyzna mógł ją uśmiercić.

- Umarła, bo popadła w długi - przypomniałam mu chłodno.

- Pewnie tak. - Zapadła krótka chwila milczenia. - Zrobisz herbatę? Deborah już poszła?

- Wieki temu. A herbatę, owszem, zrobię.

Natychmiast poszłam do kuchni, nagle i gwałtownie niechętna jego obecności. A przecież podczas tego spokojnego popołudnia zaczęłam myśleć o nim cieplej, doceniać go, nawet podziwiać. Teraz mój nastrój się odmienił, znużenie przeradzało się w bunt. Grałam rolę żony prawidłowo i umiejętnie, a mimo to nie miałam złudzeń co do rezultatu: fikcja. I nie tylko moje życie małżeńskie było fikcją; moje drugie życie też nie mogłoby się oprzeć dokładniejszej analizie. Zrozumiałam sens tamtych ponurych paryskich dni. One miały mnie przygotować do życia według moich własnych reguł, a nie zgodnie z regułami narzuconymi przez innych. Dostrzegłam rąbek tej wolności, jaka dana jest człowiekowi całkowicie egoistycznemu, ale wie-

działam, że w chwili poddania się pożądaniu wolność ta ulega ograniczeniu. Ponownie odczułam ochotę, żeby wędrować niezauważona ulicami, myśli skupić na sobie, a nie na przewidywaniu posunięć czy życzeń innych. Chciałam, żeby wszyscy umarli i dali mi wreszcie spokój. Szczególnie zaś chciałam, żeby umarł Edmund, bo wiedziałam, że bez niego znów będę sobą, a nie tym, kim się stałam, kiedy wybrałam go, czy też kiedy on wybrał mnie.

Jeszcze jedna sprawa nie dawała mi spokoju. Kiedy wymieniliśmy tamte znaczące spojrzenia i odczytaliśmy w nich to, co miało wszystko odmienić, byliśmy w jego domu, a obok stała jego żona. Intensywność tamtej chwili sprawiła, że zupełnie zapomniałam o jej istnieniu. Teraz zastanawiałam się, czy ona wie o romansach męża, o jego zręcznych kombinacjach. Z rosnącym zakłopotaniem doszłam do wniosku, że ona dobrze wie - musi wiedzieć - o drugim życiu Edmunda i jest tak cyniczna, że się tym bawi. Albo też są sobie tak bliscy, że żadne z nich nie musi się kamuflować, a zdrady Edmunda stanowią element małżeńskiej gry, wywołującej ekscytację, której wręcz pragnę. Może Constance też miała kochanków i potrafiła tak sobie z tym radzić, że nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia, żadnej udreki, nie musiała się zastanawiać nad sobą. Nie każda kobieta jest Emmą Bovary.

Zawsze czułam się nieswojo w obecności Constance. Bawiło ją wiele rzeczy: moje z pietyzmem przygotowywane potrawy, łapczywe czytanie książek, moje oczywiste - dla kobiety takiej jak ona - znudzenie, moje przesadne skrępowanie w jej obecności. Potrafiła wzbudzać we mnie niepokój, zanim jeszcze w ogóle zaistniały podstawy do takiego uczucia. Jej chytre spojrzenia, rzucane z drugiej strony stołu, zawsze zdawały się obnażać moje słabości, których nikt oprócz niej nie zauważał. W jej obecności niezmiennie czułam się przezroczyista. Dlatego nie chciałam jej już nigdy więcej widzieć ani odwiedzać ich domu, nie chciałam rozmawiać o dzieciach, które kiedyś słyszałam, jak bawiły się niewinnie w pokoju na piętrze. Nigdy nie spytam Edmunda, czy ją kocha, chociaż teraz, kręcąc się po kuchni, zrozumiałam, że muszą go z nią łączyć niezliczone więzy, które przetrwały dłużej niż miłość. To, że ona wiele dla niego znaczy, było oczywiste, podobnie jak to, że on wiele znaczny dla niej. Był to isticie faustowski układ, ale kto powiedział, że faustowskie układy się nie sprawdzają?

To odkrycie, którego jakoś do tej pory udało mi się nie dokonać, wstrząsnęło mną, jak zawsze wstrząsa człowiekiem współludzia, ciche przyzwolenie. Pojęłam, że jestem zaledwie współniczką, trzecioplanową postacią w wielkiej intrydze, której nawet nie jestem w stanie pojąć. Ujrzałam ich oboje po jednej stronie seksualnej przepaści, a siebie po drugiej. Teraz będę musiała zdecydować, czy chcę posiąść ich wiedzę, czy też mam zachować jakąś zasadniczą

część swojej niewiedzy. Nie byłam wystarczająco bystra, żeby wypracować niezależną strategię. A jednocześnie nie miałam ochoty rezygnować z tego doświadczenia. Odczuwałam nawet coś w rodzaju niezdrowej ciekawości: co się jeszcze zdarzy? A jeśli to mi się nie spodoba, co oprócz ucieczki będzie dla mnie ratunkiem?

Gdy zadzwonił telefon, omal nie upuściłam filiżanki: pomyślałam, że to na pewno Edmund dzwoni z Francji, żeby mi powiedzieć, kiedy wraca. Usłyszałam jednak głos kobiety i rozczarowanie przekonało mnie, że wcale nie jestem gotowa zrezygnować z tej przygody, jakkolwiek niszcząca może się okazać.

Odchrząknęłam.

- Halo? - powtórzyłam. - Kto mówi?

- Betsy.

- Betsy! Gdzie jesteś? Na jak długo przyjechałaś?

- Chyba na stałe. Przynajmniej na razie. Dzwonię, żeby dać ci mój nowy numer.

- Och, to znaczy, że sprzedałaś dom? Gdzie będziesz mieszkać? Tak, podaj mi swój numer. Przeprowadziłaś się?

- Nie całkiem. Jeszcze nie. Kupiłam dość paskudne mieszkanie i nie miałam czasu go wyszykować. Po prostu kupiłam pierwsze, jakie zobaczyłam.

- Betsy, co to za hałas? Słyszę wiercenie. Jesteś tam?

- Robotnicy. Nowi właściciele mnóstwo tu zmieniają. Musiałam ich poprosić, żeby pozwolili mi tu zostać jeszcze przez miesiąc, dopóki to nowe miejsce... dopóki się nie pozbieram.

- Co się stało? Bardzo się cieszę, że tu jesteś, ale... mam wrażenie, jakbyś nie była sobą.

- Nie czułam się ostatnio najlepiej. - Jej głos brzmiał jednostajnie, obojętnie. - Wszystko ci opowiem.

- Jesteś sama? A Daniel?

- Daniel nie żyje. - Znów ten obojętny ton.

- Rozumiem - powiedziałam powoli. - Masz ochotę się ze mną spotkać? Bardzo bym chciała cię zobaczyć.

Rzeczywiście chciałam ją zobaczyć, nie tylko dlatego, że zaintrygowała mnie zmiana w jej głosie, ale z bardziej zasadniczych i ważniejszych powodów: była istotnym elementem mojej przeszłości, kiedy ta przeszłość była względnie nieskazitelna, kiedy nie ujawniły się jeszcze żadne obce wpływy. Była przyjaciółką z czasów mojej młodości, a więc ważnym świadkiem. Szukała u mnie ochrony, gdy tymczasem jej radosna natura sama stanowiła najlepszą ochronę.

Postrzegala mnie jako osobę godną szacunku, mieszkającą w stosownym domu, ze stosownymi rodzicami, i nie miała najmniejszego pojęcia, jak zwodnicze było to wszystko. Zawsze podziwiała moją matkę, miała nieuzasadnione uznanie dla życia, jakie wiedliśmy, dla mojego życia, które uważała za szczęśliwe. Przez te wszystkie lata naszego wspólnego, a jednocześnie tak różnego dzieciństwa nigdy nie okazała zawiści ani urazy. Przypomniałam sobie ze współczuciem te żalosne wieczory, które spędzała z ciotką w kinie. Była jej naprawdę oddana i tylko dlatego znosiła banalność bohaterów i bohaterek tych filmów, w których wszystko podążało ku przewidywalnemu zakończeniu. Wiedziałam, że nie mogę sprawić jej zawodu, zwierając się z tego, jak żyję teraz, byłoby to niewybaczalnym błędem, niemal obrazą, a tego chciałam uniknąć. Zresztą ona znalazła własnego bohatera, mężczyznę równie nierzeczywistego jak ona sama, który teraz już nie żył. To nawet do niej pasowało, ale nie mogłam przecież jej tego powiedzieć. Szło w parze z jej umiłowaniem klasycyzmu. Tytus i Berenika, którym nie dane było zaznać razem szczęścia. Czy wciąż uparcie trwała przy tych nadludzkich ideałach?

- I co z tą herbatą? - zniecierpliwił się mój mąż.

- Zaraz przyniosę - odpowiedziałam. Ze słuchawki telefonu dobiegł mnie łomot, jakby dom walił się jej na głowę.

- Betsy! - zawołałam głośno, żeby mnie usłyszała. - Jesteś tam?

- Tak, jestem.

Nie potrafiła już ani nic więcej powiedzieć, ani zakończyć rozmowy. Nie rozumiałam, dlaczego w ogóle się ze mną skontaktowała, bo chociaż nasza przyjaźń sięgała tak daleko wstecz, to musiała zauważyć moją niechęć do jej ukochanego. Nieżyjącego już ukochanego, dodałam w myślach. I ona sama nie była w najlepszej formie, o czym świadczył jej zgaszony, zmieniony głos.

- Kiedy możemy się spotkać? W tej chwili siedzę cały dzień tutaj. To znaczy nie jestem zajęta. Chcesz przyjechać? Teraz?

- Może jutro. Jeśli jesteś pewna. Mam ci tyle do powiedzenia.

- Przyjdź jutro na podwieczorek. Wspaniale będzie cię znów zobaczyć.

Odłożyłam słuchawkę poruszona. Naprawdę wspaniale będzie ją znów zobaczyć.

- Herbata zdążyła ostygnąć - zauważył mąż. - Z kim rozmawiałaś?

- Z przyjaciółką z dawnych lat - odpowiedziałam. Uświadomiłam sobie, że jest tą jedną, jedyną przyjaciółką, która idzie za człowiekiem przez całe życie i do której jest się przywiązanym dlatego tylko, że istnieje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zaczęła się szkoła. Nie mogłam tego nie zauważyć, kiedy wyszłam nazajutrz z domu. Dzieci nie wyglądały na przygnębione, raczej na zadowolone, jak gdyby perspektywa dyscypliny i ładu była dobrze widzianą odmianą po różnorodności rozrywek letnich wakacji. Zdominowały ulice, a może bardziej przyciągały wzrok - świeżość przysłaniała starość. Był to widok, który mógł dać wiele do myślenia każdej bezdziejnej kobiecie. Choć nigdy tak naprawdę nie chciałam mieć dzieci, a w każdym razie uważałam, że się do tego nie nadaję, nagle uświadomiłam sobie brak pewnego istotnego wymiaru w moim życiu. Widok ojców prowadzących za rękę szczebioczące córeczki po raz pierwszy wywarł na mnie tak duże wrażenie. Zdążyłam się już zorientować, że stosunek Edmunda do dzieci wyraża się w cichym oddaniu, o którym nie rozmawia się z osobami z zewnątrz, które okazuje się wyłącznie w domu, bo jest ono niezrozumiałe dla osób będących w innej niż on sytuacji. Czuło się, że do tego kręgu zazdrośnie strzeżonej zażyłości dopuszczono niewiele osób i że wszelkie próby dostania się do niego okażą się gafą. Moje całkiem zwyczajne pytania dotyczące dzieci zbywał banałami, które mogłabym uznać za odpowiedzi, gdyby nie towarzyszyło im instynktowne odwrócenie wzroku i uśmiech podkreślający stanowczy wyraz jego twarzy. Potem już uważałam, żeby zachowywać się tak, jakbym w ogóle nie wiedziała o istnieniu jego dzieci. Był to obszar, z którego mnie wyłączono. Stałam się kobietą łatwo dostępną, ponieważ nie miałam dzieci; zupełnie jakby kobiety, które są matkami, miały wyższy status i przez to stawały się nieosiągalne. Wiedziałam, że brzmi to absurdalnie, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że nie mogę mieć nadziei na doświadczenie z nim życia rodzinnego i że to właśnie, bardziej niż rozbieżność naszych potrzeb i pragnień, może oddzielać nas od siebie.

Początek szkoły nie był jedyną oznaką, że lato się kończy, a właściwie, że już się skończyło. Ranki były chłodniejsze, a wieczory coraz dłuższe; liście zmieniały kolor, a mgły unoszące się w powietrzu pachniały cierpko. Wkrótce już nie będę wychodzić popołudniami do ogrodu i będę spędzać więcej czasu w domu. To dziwne, ale te dni spokoju pozwoliły mi się pogodzić jakoś z domem, gdzie Digby i ja spędzaliśmy zgodnie czas i nie odczuwaliśmy potrzeby wymiany podszytych niepokojem pytań ani chęci do zbędnych zwierzeń. Oboje zachowaliśmy bowiem pewne obszary prywatności dla siebie. Podejrzywałam, że zdarza mu się czasem porównywać swoje pierwsze małżeństwo z drugim i chociaż jego lojalność w stosunku do mnie pozostawała niezachwiana, to na pewno tęsknie wracał pamięcią do tamtych inten-

sywnych uczuć i pragnień, które umarły albo wygasły wraz ze śmiercią jego młodej żony. Nigdy nie dzielił się ze mną tymi myślami, ja zaś szanowałam jego milczenie w tych sprawach, bo własnego milczenia też przerwać nie mogłam. Przyjemna była świadomość, że on jest w pokoju obok, że możemy być razem, jeśli chcemy, a nasz takt nie pozwoli nam przesadnie wyrazić jakiegoś pragnienia, które, choć przytłumione, wciąż się liczyło. Kiedy Digby wróci do biura, mieszkanie nagle opustoszeje, bo podczas jego nieobecności moja obecność stawała się mniej znacząca. I właśnie jednego takiego ranka - kończącego wakacje wszystkich - odniosłam dziwne wrażenie, że zatrzymałam się w miejscu. Dzieci idące do szkoły oraz ta nagła cisza w domu oznaczały powrót do pewnego ładu, a ja musiałam podjąć wyzwanie, jakim było pogodzenie bezładu mojego romansu z porządkiem codziennego życia. To zwykłe życie w sposób oczywisty toczyło się wokół mnie i wszyscy, których mijałam na ulicy, ci gorliwi uczniowie i ich nie mniej gorliwi rodzice, najwyraźniej byli dostosowani do jakiejś tajemniczej normalności, którą ja zdążyłam stracić z pola widzenia.

Wspomnienie towarzyskiego obowiązku, jakie zachowałam z dawnych lat, nakazywało mi kupić jakiś torcik na podwieczorek z Betsy, jakbyśmy nadal były dziećmi odwiedzającymi się w swoich domach. Pomysł ten co prawda odrzuciłam, ale w moich myślach ciągle gościły dzieci, nawet te, którymi same kiedyś byłyśmy. Trudno sobie wyobrazić, że obie zaszłyśmy tak daleko, obywając się bez niegdysiejszej szczerości. Obie w różny sposób osiągnęłyśmy tę kapryśną dorosłość, która w porównaniu z naszym początkowym stanem łaski wydawała się dziwaczna, wręcz teatralna. Moja sytuacja była bez wątpienia banalna; Betsy bardziej niespotykana. I trudniejsza do wyjaśnienia. Nie wiedziałam, czy wyszła za Daniela, a jeśli tak, to gdzie i kiedy. Brak informacji (bo przecież o ślubie zawsze się zawiadamia) przemawiał za tym, że żadnego ślubu nie było; nic dziwnego, ponieważ niewiele kobiet, nawet tak niezspsutyk jak Betsy, chciałoby się skazać na mężczyznę, który w gruncie rzeczy wciąż był młokosem pokładającym nadzieję w przyszłości, do której zbudowania mógł się przyłożyć jedynie w całkowicie niematerialny sposób. Wiara Betsy w to, że jego udział w mglistych dyskusjach przełoży się na jakąś konkretną karierę, świadczyła o jej oddaniu, które, sądząc po tamtym popołudniu, gdy przedstawiła mi Daniela, już wtedy ją unieszczęśliwiało. Mężczyzna powinien kiedyś wyrosnąć ze swoich fantazji i poświęcić się zarabianiu pieniędzy. A Betsy była przecież w moim wieku; jej pobłażliwość dla niego przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice. Jego śmierć ucięła więc bieg wydarzeń, w których kiedyś co prawda współuczestniczyli, ale które

ostatecznie i tak by ich rozdzieliły. Zadziwiało mnie tylko, że tak długo pozostawała lojalna. Ale przecież, pomyślałam, ona zawsze była lojalna. Lojalność była jej grzechem głównym.

Byłam ciekawa, jak teraz wygląda, czy ten rytuał przejścia pozostawił po sobie jakieś widoczne znaki. Kiedyś była śliczną dziewczyną, o nie rzucającej się w oczy urodzie młodziutkiej Angielki, czy wręcz tych idących do szkoły dzieci. Kiedy odwiedziła mnie z Danielem, robiła wrażenie, jakby już była w połowie Francuzką, szczuplejsza, wyraźnie bardziej za dbana, mocno skupiona, a jednocześnie rozkojarzona tą czułą troską o swojego podopiecznego (on kimś takim przecież był), dzielnie starająca się pogodzić sprzeczne towarzyskie obowiązki względem nas obojga. Dostrzegłam w tym przede wszystkim pragnienie, by postąpić właściwie - pod tym względem się nie zmieniła. Ta niby-matczyna rola pochlebiała jej, ale nie całkiem do niej pasowała; jej przeznaczeniem była żarliwość i spontaniczność i możliwe, że dobrze o tym wiedziała. Tak samo jak mnie, niepokoił ją posępny nastrój Daniela, tyle że z bardziej szlachetnych powodów. Chciała, żeby czuł się dobrze, żeby był zadowolony, ja natomiast uważałam po prostu, że jest nieuprzejmy. Jednocześnie było oczywiste, że nadal stanowię dla niej swoisty wzór obyczajności, jakbym była w posiadaniu gotowych recept na życie, których jej odmówiono, a które proces dorastania jeszcze dodatkowo uprawomocnił. Ona natomiast wciąż próbowała zamieniać jakiś tymczasowy układ w prawdziwe życie, w prawdziwy dom, prawdziwą rodzinę. Wymieniała imiona przyjaciół - Vincent, Brigitte, Jean-Pierre - jakby byli częścią jej curriculum vitae, przedstawianego na poparcie jej i ich dobrych intencji. A przecież robiła wrażenie odseparowanej od innych, jakby wiedziała, że to, co łączy ją z owymi przyjaciółmi, jest tymczasowe, i jakby zdolność Daniela do poważnego traktowania niepoważnej organizacyjnej przynależności w bardzo niewielkim stopniu wpłynęła na jej szczerą i prostolinijną naturę. Marzyły jej się wszystkie dobrodziejstwa małżeńskiego życia, a ja tymczasem widziałam, że nie będą jej dane. Uważałam, że zachowywała się dzielnie. Miała już bowiem do czynienia nie tylko z miłością, ale i z rozczarowaniem, i chociaż te dwa uczucia często idą w parze, to uważałam, że zasługuje na coś lepszego.

Kiedy tak siedziała naprzeciwko mnie, zauważyłam w niej nowe zmiany. Jeszcze bardziej zeszczuplała, a jej wyolbrzymiałe oczy dodawały uroku twarzy, która podczas poprzedniej wizyty wyrażała jedynie reakcje na zmienne nastroje Daniela. Była wyciszona, nawet nieco ociężała; nie reagowała już entuzjastycznie na każdy najdrobniejszy przejaw życzliwości. Miała dłuższe włosy i było widać, że nie poświęca nadmiernej uwagi swojemu wyglądowi. A to, paradoksalnie, dodawało jej powagi. Tak jakby obecnie jej życie było już ostatecznie dorosłe, a

ona sama musiała się zajmować dorosłymi sprawami, takimi jak pieniądze, własność, ale także samotność, lęk. Uśmiechnęła się blado, widząc moją zdumioną minę. Chciałam znać prawdę i wiedziałam, że tylko prawdę od niej usłyszę, ale jednocześnie nie chciałam się wtrącać w jej osobiste sprawy. Zrozumiałam, że jej paryskie życie dobiegło końca, że wróciła tutaj, czy też że ją zwrócono dawnemu życiu, dawnemu domowi, a tym samym dawnej przyjaciółce. Byłam zdecydowana pozostać tą przyjaciółką, chociaż sama też się zmieniłam. Teraz miarą naszej przyjaźni byłby sukces w radzeniu sobie z takimi zmianami i to, jak wiele z tych zmienionych osobowości przed sobą wzajemnie ujawnimy.

- Co się stało? - spytałam, wbrew postanowieniu, że będę dyskretna.

- No cóż, jestem tutaj. - Roześmiała się bez przekonania. - Kupiłam dość paskudne mieszkanie w pobliżu Fulham Road i wprowadzę się, kiedy tylko będzie się nadawać do zamieszkania. Co musi nastąpić szybko, bo tamci już chcą się mnie pozbyć. To znaczy nowi właściciele domu. A kupili je przez pośredników, których nie bardzo obchodzą moje potrzeby.

- Chodziło mi o Daniela.

- Cóż, umarł. Myślę, że chciał umrzeć. - Jej twarz wyrażała najgłębsze niedowierzenie, że ktoś mógłby czegoś takiego chcieć.

- Był chory?

- Na pewno. Uważam, że był chory psychicznie. Nie umiałam sprawić, żeby się choć na chwilę odprężył. Przez cały czas był tak niespokojny. Czasami nawet w nocy nie przestawał mówić. A o mieszkanie upominał się właściciel, bo potrzebuje go dla syna. To go bardzo dotknęło. No i zaczynało brakować pieniędzy.

Jej pieniądze, jak przypuszczałam.

- Pewnej nocy bez przerwy mówił, odmawiał jedzenia. Próbowałam go uspokoić, ale to wprawiało go w jeszcze większe zdenerwowanie. Potem się pokłóciliśmy; pierwszy raz. I ostatni. Zbiegł po schodach... słyszałam każdy jego krok aż do samego dołu. - Zamilkła. - Przejechał go wóz policyjny. Słyszałam to. A raczej słyszałam krzyk kobiety. - Znów zamilkła. - Policjanci byli bardzo uprzejmi. Wszystkim się zajęli. Bali się chyba, że wniosę przeciwko nim oskarżenie. Najgorsze przyszło, kiedy mnie o niego spytali, a ja uświadomiłam sobie, że prawie nic o nim nie wiem. Przyjaciół, powiedziałam. Chyba poczuli ulgę, że nie będę robić kłopotu. Obiecali, że zbadają sprawę i dadzą mi znać. Ale nie zrobili tego. Przypuszczam, że takie rzeczy długo trwają. Nie odezwali się więcej.

- I co zrobiłaś?

- Musiałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Brzmi to może głupio, ale wiedziałam tyle, ile sam mi powiedział, a było tego tak mało, że właściwie nie miało żadnego znaczenia. Nie chciał mówić nawet o dzieciństwie, o czym przecież większość ludzi chętnie opowiada, prawda? Nie wiedziałam, dokąd mam pójść, do kogo się zwrócić. Ci przyjaciele, z którymi się spotykałam - opowiadałam ci o nich - zaczęli się wykruszać. Albo znikali, albo zajmowali się innymi sprawami. Albo go unikali. - Westchnęła. - Stał się bardzo kłótlivy.

- Myślałam, że planujecie kolejną rewolucję.

- Och, to były bzdury. Być może interesowaliśmy się polityką, kiedy się poznaliśmy; cóż, po roku 1968 trudno było uniknąć takich dyskusji. Ale w rzeczywistości oddalaliśmy się od siebie. To Daniel traktował te sprawy poważnie. Zbyt poważnie. I oczywiście Roland.

- Kto to?

- Może już o nim wspominałam. Roland Besnard.

Pokręciłam głową.

- Starszy mężczyzna, który czasami przychodził do nas. Zainteresowaliśmy go sobą, chciał wiedzieć, jak wyobrażamy sobie przyszłość. Myślę, że po prostu lubił młodych ludzi. Wcześniej był nauczycielem w Angers. Przyjechał do Paryża w wakacje i został na stałe. Był jedynym wśród nas, który postrzegał tę sytuację jako coś więcej niż tylko widowisko. Mówił, że to dobre czasy, żeby być młodym. Myślę, że trochę nam zazdrościł, w bardzo sympatyczny zresztą sposób. On i Daniel czasami gdzieś razem chodzili. Nie wiem, o czym wtedy rozmawiali.

- W moich oczach wyglądało to całkiem inaczej. Wydawał mi się taki... radykalny.

- Tak, to było niepokojące. Sądziłam jednak, że ułatwię mu trochę życie, pomogę się ustatkować. Ale on nie chciał się ustatkować. Albo nie mógł. Zawsze był pryncypialny; jak-byśmy mieli rok 1789, czy raczej 1848. Myślę, że tak naprawdę potrzebował dla siebie jakiejś przyszłości, takiej, w której zyskałby należne sobie miejsce. Ja mu nie wystarczałam. Wiedzia-łam o tym. Ale, szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, co robić.

- Byłaś bardzo nieszczęśliwa?

- O tak. Ale tak naprawdę martwiłam się tym, że on jest nieszczęśliwy. I przypuszczam, że coś mu jednak dawałam. Chyba byłam dla niego oparciem.

- Betsy, malujesz obraz kogoś, kto nie był całkiem normalny.

- Właśnie to musiałam odkryć. Bo jeśli miałby być... tym dziwakiem, jakim zaczynał się stawać...

- Albo zawsze był...

Nie zwróciła uwagi na moje słowa.

- Musiałam sprawdzić, czy przez cały czas się myliłam. W każdym razie myślę, że mnie kochał.

- I co zrobiłaś?

- Odwiedziłam przeróżne lokale, w których się wcześniej spotykaliśmy. Zabrało mi to cały dzień. Potem, kiedy już niemal dałam za wygraną, dopisało mi szczęście, jeśli można to nazwać szczęściem. Na schodach stacji metra przy hotelu Odéon spotkałam Rolanda. Musiałam wyglądać trochę dziwnie. Wiedział, co się stało. Wieść się rozniosła i chyba było też coś w gazetach, chociaż ja celowo ich nie czytałam. Nie chciałam wiedzieć, co o nim piszą. Chciałam porozmawiać z kimś, kto go znał. To niespodziewane spotkanie Rolanda było więc prawdziwym zrzędzeniem losu. A on okazał się bardzo uprzejmy. Zabrał mnie do kawiarni i namówił na wypicie kawy. Potem opowiedział mi o sprawach, o których nic nie wiedziałam, o których Daniel nigdy mi nic nie powiedział. Tu tkwił problem. Rozumiesz, prawda?

Rozumiałam aż za dobrze. To, co jej powiedział, było żalosne, nawet dla tak wrogo nastawionej do Daniela osoby jak ja. Daniel de Saint-Jorre był postacią od początku do końca wymyśloną. W rzeczywistości nazywał się Petitjean. Saint-Jorre był jednym z kochanków jego matki, tym różniącym się od innych, że żał mu było małego Daniela i kupił mu kiedyś zabawkę - żaglówkę, którą chłopiec puszczał na stawie w Tuileries. Mały fantazjował, że ten mężczyzna jest jego ojcem, i przywłaszczył sobie jego nazwisko. Prawdziwy Saint-Jorre nie wiedział o tym, bo zniknął. Dokładnie zatarł za sobą wszelkie ślady i nigdy więcej go nie widziano. Można było przypuszczać, że Daniel był sierotą. Naprawdę jednak jego matka żyła i mieszkała w tym samym pokoju w Asnières, w którym go wychowywała, gdzie zarabiała na życie, jak umiała, bez wątplenia w ów najbanalniejszy sposób. Betsy, nie mając pojęcia, co było źródłem tendencyjnych poglądów Daniela, instynktownie przygarnęła go pod swoje skrzydła. Nie byli i nie mogli być sobie równi. Mimo że Betsy w dzieciństwie pozbawiona była wielu rzeczy, jej charakter opierał się na solidnych niczym skała fundamentach. On widział w tym siłę i jak wszyscy ludzie pozbawieni środków do życia szukał protektora i znalazł. Do pewnego stopnia i z pewnego punktu widzenia był równie naiwny jak ona. A sprawiedliwość społeczna, z rodzaju tych baśniowych, bo w taką wierzył, miała przywrócić mu należne miejsce w życiu, które Betsy mogłaby z nim dzielić, gdyby była mu jeszcze potrzebna.

Byłam tym głęboko wstrząśnięta; Betsy jeszcze bardziej.

- Kochałaś go? - chciałam wiedzieć.

Zdawałam sobie sprawę, że w moim życiu zaistniało parę niemiłych faktów, i chyba nawet byłam dumna, że jestem taką realistką. Nie bardzo rozumiałam, jak można ignorować tego typu fakty, a jednocześnie zachować prostotę uczuć. Może właśnie owa prostota uchroniła ją przed destrukcją, na którą są narażone nawet osoby najmniej samolubne. Wyglądała jak ktoś, kto przeszedł ciężkie próby, oczy miała szeroko otwarte, twarz zastygła, jakby opowiadając o tamtych wydarzeniach, przeżywała je na nowo.

- Kochałaś? - powtórzyłam.

- O tak - odparła zmęczonym głosem, a jej ramiona o lekko się rozluźniły. - Oczywiście, że go kochałam. Wcześniej nie było czasu na miłość; miałam tyle spraw na głowie i nikogo, kto by mi pomógł. W Paryżu pierwszy raz uświadomiłam sobie, że jestem młoda, że mam trochę pieniędzy i że mogę być tak niezależna, jak tylko zechcę. Należałam do specjalnej kategorii studentów, nie musiałam zdawać żadnych egzaminów. Świetnie się bawiłam. I tak poznałam tych ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłam. Tak poznałam Daniela. Ktoś go kiedyś przyprowadził. Widziałaś, jaki był piękny.

Skinęłam głową. To przynajmniej było zgodne z rzeczywistością.

- Natychmiast zamieszkaliśmy razem, w jego pokoiku przy rue Cler. I na początku byłam taka szczęśliwa. Było jak w *Cyganerii*.

- Która się źle kończy - przypomniałam jej.

- Tak, my też źle skończyliśmy. On umarł. Nie może być gorszego zakończenia.

Zamilkłyśmy obie.

- A przecież - odezwała się znowu - odczułam pewną ulgę. Bo wydawało mi się, że jest nieszczęśliwy przeze mnie. Obwinałam się. Tak że kiedy znowu zostałam sama, z resztką pieniędzy, a gospodarz nalegał, choć uprzejmie, żebym się wyprowadziła, w pewnej chwili w jakiś przerażający sposób pogodziłam się ze wszystkim, co się wydarzyło, jakbym wiedziała, że takiego szczęścia już nigdy nie doświadczę. Wtedy postanowiłam wrócić do domu.

- Nic dziwnego, że zachorowałaś. Na pewno już jesteś zdrowa?

- Muszę być. Muszę się przeprowadzić. Muszę się przyzwycząić żyć samotnie. I znaleźć jakąś pracę.

- Opowiedz mi o tym mieszkaniu, które kupiłaś.

- To najzwyklejsza w świecie kawalerka. - Westchnęła, potarła czoło. - Zaprojektowana dla kogoś bez korzeni. Trudno sobie wyobrazić, żeby toczyło się w niej normalne życie. To znaczy takie, jakie wiodą normalni ludzie.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziałam. - Ale wcale tak nie musi być. Zrobię, co będę mogła, żeby ci pomóc.

Na ten delikatny przejaw współczucia przestała się kontrolować i rozplakała się. I nawet płacząc, usiłowała mnie uspokajać. Co było znakiem, że jej poczucie przyzwoitości pozostało niezmiennie.

- Digby niedługo wraca - ostrzegłam ją. - Tam, w końcu korytarza, jest łazienka, gdybyś chciała skorzystać. Ja tymczasem zaparzę świeżą herbatę.

Czułam gniew ze względu na Betsy i na siebie samą. O Edmundzie wiedziałam tylko tyle, ile sam zechciał mi wyjawić; irytująco przypominało to sytuację Betsy - obie tak naprawdę nie znałyśmy mężczyzn, których kochałyśmy, bo ich prywatność była pilnie strzeżonym sekretem. Jak jakieś idiotki, a może po prostu jak zwykle kobiety, nawet w tym obszarze dałyśmy się zwieść pozorom i całkowicie błędnie przyjęłyśmy je za prawdę. Ale do prawdy nie dochodzi się tak łatwo, a już na pewno ona sama tak łatwo się nie ujawnia. Ja widziałam to jasno, z całą bezwzględnością, natomiast Betsy, tak niezwykle prostolinijna, padła ofiarą własnej ufności. Szkoda, że prawda została jej w końcu objawiona; smutek w twarzy, w szeroko otwartych oczach odzwierciedlał jej nową sytuację. Mówiła tak, jakby już nigdy nie miała odnaleźć drogi powrotnej do tej dawnej niewinnej ufności, tak dla niej charakterystycznej. Mimo to w jej tęsknym uśmiechu nie było nawet cienia wdowieństwa. Jakby wciąż jeszcze była oczarowana młodzieńczym połączeniem miłości i piękna, jakby wciąż jeszcze była wierna jakiemuś ideałowi, którego nie miała zamiaru porzucić. Daniel wyglądem niewątpliwie pasował do stereotypu legendarnego, młodego herosa. Wszelkie mroczne strony jego natury, które tak skutecznie maskował, przydawały jedynie intrygującej złożoności temu, co faktycznie było aberracją, której nikt, kto spotkał go pierwszy raz, nie dostrzegał.

Był w tym wszystkim jakiś okropny tragizm. Myślałam o małym chłopcu i o żagłówce, która zrównywała go z innymi dziećmi bawiącymi się pod opieką matek w spokojne popołudnia. Prawdę mówiąc, wyzwalenie się od dzieciństwa zajęło mu całe życie i niespecjalnie sobie z tym poradził, a może nawet sam zrezygnował, gdy w jakiejś chwili wyjątkowej przytomności umysłu zorientował się, że nie podoła temu zadaniu. Inaczej niż Betsy, która nie pogodziła się z tym, że okoliczności jej nie sprzyjały, która wyrażała swe pragnienie miłości i

przyjaźni czasem z nieuzasadnionym zapalem. Teraz nie było już dawnej gorliwości, zastąpiło ją coś innego - jeszcze nie dojrzałość, może zaledwie przeblask zrozumienia, że wszystkie jej wysiłki, jej przyzwolenia, a nawet to szczęście, jakiego zaznała na początku romansu, że wszystko to były różne aspekty rzeczywistości, złożoności, jakiej wcześniej nie brała pod uwagę, dlatego po prostu, że nie leżało w jej naturze spoglądanie dalej, poza tę prawdę, której poszukiwała i którą dotychczas udawało jej się odnajdować. Ta prawda w końcu okazała się trudna do przełknięcia, a fakt ten stanowił dla niej problem moralny. Widoczne to było w sposobie, w jaki pocierała czoło; tak przedstawiano filozofów na starożytnych posągach. Objawienie nie było tak naprawdę upragnione. Zresztą rzadko bywa.

Moja sytuacja była bardzo podobna. Ja też obdarzyłam zaufaniem nieodpowiedzialnego partnera. Digby, człowiek niezwykle szlachetny, przygotował jedynie drogę. Sądziłam, a nawet byłam przekonana, że to intensywność uczuć, a nie żadne pojęcie wartości, determinuje nasz wybór. Dlatego miłość to sprawa czystego solipsyzmu. Jeśli spotkają się dwie osoby o takiej właśnie postawie, to skutek łatwo przewidzieć. Nie ma tu miejsca na uczucie i nawet nie odczuwa się jego braku. Mnie ta wiedza zupełnie nie przeszkadzała, a teraz nie widziałam powodu, by się nad tym zastanawiać.

Kiedy Betsy wróciła z łazienki, wyglądała na opanowaną i odświeżoną, jakby sam fakt, że była w czyimś domu, działał na nią uspokajająco. Niektórzy ludzie radzą sobie z samotnością - też do takich należę - ale, jak zauważyłam, nie Betsy. Ona chciała być hołubiona. Idealnym rozwiązaniem byłaby dla niej rodzina, nawet czyjaś rodzina, w której znalazłaby dla siebie jakąś rolę i doskonale by ją odgrywała. Samej, w małym mieszkanku, nie mogło być jej dobrze. Wyraźnie ulżyło jej, że opowiedziała mi o wszystkim, że nie będzie już musiała do tego wracać, że ma to już za sobą, że ja najwyraźniej nie uwierzyłam, iż mogła unieszczęśliwić Daniela. Czy mogłaby to zrobić? Potrzeba umiejętności, nawet determinacji, żeby unieszczęśliwić mężczyznę, którego się tak nedorzecznie kocha. Betsy tej umiejętności niewątpliwie brakowało, chociaż do determinacji jak najbardziej była zdolna, o czym świadczyło jej dotychczasowe życie.

- Teraz najważniejszą sprawą - powiedziała stanowczo - jest mieszkanie. Opowiedz mi o nim.

- No cóż, jest małe, chociaż większe od tamtego przy rue Cler. Och, nie podoba mi się. Wątpię, czy kiedykolwiek je polubię.

- Możesz się przecież znowu przeprowadzić, jeśli będziesz chciała. Znaleźć coś porządniejszego.

Znów się uśmiechnęła, znów nieznacznie. Ten uśmiech był jedynym znakiem, że dotknęło ją poważne nieszczęście. Dawny, ten, który zapamiętałam, był szeroki, nieskrępowany i pasował do jej szczerzej natury.

- Nie widzę siebie w niczym porządniejszym, jak to ujęłaś.

- Będziesz miała pieniądze - przypomniałam, ale widać było, że pieniądze jej nie interesują. - I znajdziesz jakieś zajęcie, nowych przyjaciół. - Widziałam, że zupełnie jej to nie obchodzi. - Pomogę ci - obiecałam raz jeszcze.

- No tak, byłabym wdzięczna za parę rad. - Popatrzyła z aprobatą na bladozielone ściany; wyglądały dość miło, choć czasami wydawało mi się, że nie jest to najlepszy kolor.

- Tak ładnie wszystko urządziłaś.

- Domyślam się, że mebli masz dość. Ale oczywiście możesz się ich pozbyć, jeśli tam nie pasują.

- Tak, te wszystkie sprzęty. - Uśmiech zniknął. - Biurko ojca... nigdy się go nie pozbyłam. Mary nie chciała żadnych zmian.

- Zmień to wszystko teraz - radziłam. - Lepiej się poczujesz wśród nowych rzeczy.

Zerwałyśmy się obie na dźwięk otwieranych drzwi.

- Jestem - zawołał jak zwykle Digby, a ja poszłam do przedpokoju, żeby go przywitać.

- Zmęczony? - spytałam. To też należało do rytuału. - Jest u mnie przyjaciółka.

Posłusznie się wyprostował i przywołał uśmiech na twarz.

- Pamiętasz Betsy - powiedziałam. - Była na naszym ślubie.

- Betsy de Saint-Jorre. - Wyciągnęła do niego rękę. Przywłaszczyła sobie zarówno arystokratyczne nazwisko, jak i maniery kobiety zamężnej. Pierwszy raz w życiu coś udawała, a ja uważałam, że ma do tego pełne prawo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Głos Edmunda w słuchawce zabrzmiał obco i poważnie, jak to zwykle bywa, kiedy słyszymy kogoś po dłuższej przerwie. Nie widziałam go od sześciu tygodni i czasami podejrzewałam, że wyjechał na dłużej, niż zapowiadał albo, co gorsza, zniknął gdzieś i nie udzieliwszy żadnych wyjaśnień, pozostawił mnie własnym domysłem. Układ, który mi narzucił, sprowadzał się do tego, że zachowywaliśmy się jak dwoje nieznajomych, którzy spotykają się od czasu do czasu w określonym celu, ale poza tym nie ingerują nawzajem w swoje życie. Żeby dotrzymać warunków tego układu, musiałam sięgnąć do najgłębszych pokładów mojego z trudem wywalczonego pragmatyzmu, co dotychczas się sprawdzało. Cała nasza zażyłość trzymana była w ryzach, ograniczona do mieszkania przy Britten Street, i nigdy nie odwoływaliśmy się do niej w szerszym kontekście. Ta zmowa milczenia była dla mnie z początku podniecająca. Teraz, kiedy jesienne chłody i wcześniej zapadający zmrok wymusiły na mnie zmianę zwyczajów, zatęskniłam do tego zespolenia, które dawało poczucie przynależności i możliwość porozumiewania się półsłówkami, bez zbędnych wyjaśnień. Ta nasza wymuszona neutralność była czymś, czego przestrzega się w kontaktach z nieznajomymi, czymś, co nie daje pokrzepienia, jakie niesie prawdziwa wiedza o drugim człowieku.

- Wszystko w porządku? - spytałam świadoma, że mój głos zdradza niepożądane przejęcie.

- Umarła moja matka. Musieliśmy pojechać do Szkocji na pogrzeb.

- Och, tak mi przykro. - Tym razem zbyt serdecznie. Ale chyba śmierć matki to tragedia? Czulałam, że może to być tragedia dla innych, chociaż nieustająca napastliwość moich rodziców powodowała, że każdą ich nieobecność odczuwałam jak błogosławieństwo i to samo z pewnością poczuję po ich śmierci. Obowiązki rodzicielskie już dawno przejął od nich mój mąż i pod jego opieką czulałam się bezpiecznie. Domyślałam się jednak, że dla mężczyzny, który miał tyle tupetu, że mimo założenia własnej rodziny zachował sobie swobodę robienia tego, na co miał ochotę, więzy takie muszą być nieuchronnie silniejsze. Prawdę mówiąc, miło mi było myśleć, że Edmund należy do pewnej szczególnej kasty, nawet nie klasy, i że dysponuje wszystkimi przywilejami, które uzyskał wraz z urodzeniem, a z których nigdy nie musiał rezygnować. Jego pewność siebie wynikała nie tyle z beztróskiego zaspokajania pragnień natury cielesnej, ile z przekonania, że spełnia wszystkie najwyższe normy życia, że urósł do rangi pewnego idealnego wzorca, w który nigdy, ani przez moment nie zwątpił. Ci, których dotyczyło jego zachowanie,

nigdy go nie kwestionowali, dlatego, że nie było czego kwestionować, albo raczej dlatego, że nie wypadało tego robić.

W głębi ducha myślałam, że takie zachowanie może wywoływać cierpienie i gorycz, Edmund jednak wydawał się wolny od podobnych dylematów. Zapewne po części ta umiejętność dogadzania sobie była przyrodzonym darem. Sam udzielił sobie kiedyś pozwolenia na taki sposób bycia, znał bowiem swoją rolę w społeczeństwie i należycie wypełniał swoją powinność; osiągnął wszystko, czym powinien się wykazać prawdziwy mężczyzna: miał piękny dom, udane dzieci, szanowaną i dającą dużą satysfakcję pracę, znaczny majątek, a do tego kwitnące zdrowie, jakim rzadko mogą się pochwalić ci, których trapią niepokoje czy nieszczęścia. Jego umiejętność utrzymywania stałej temperatury ciała przy każdej pogodzie wydawała mi się częścią owego przyrodzonego daru; ja sama, ledwo kończyło się lato, już zaczynałam się trząść z zimna, a gdybym tylko sobie na to pozwoliła, popadłabym w depresję. Edmunda nie dotykały ani kaprysy pogody, ani melancholia, która pojawia się pod koniec roku, wraz z Bożym Narodzeniem. Wydawał się po prostu nieczuły na wszelkie sygnały wysyłane przez jego nerwy, dzięki czemu utrzymywał stan równowagi, którego wiele osób, włącznie ze mną, mogło mu pozazdrościć.

- Przykro mi, że masz takie zmartwienia - powiedziałam niezręcznie, świadoma, że brzmi to dość staroświecko. - Na pewno będzie ci jej bardzo brakować.

- Cóż, była już bardzo stara. Umarła we śnie. Można powiedzieć, że to najlepsze, co mogło się zdarzyć. Niedługo znów tam pojedziemy, żeby obejrzeć dom, zobaczyć, co trzeba sprzedać. Choć sam dom pewnie zatrzymamy. - Zamilkł na chwilę. - Dzieci były do niej bardzo przywiązane.

- A ty? Jak ty się miewasz?

- Ja? W porządku. - Znów chwila milczenia. - Jesteś wolna?

- Tak, oczywiście. - To też zabrzmiało niewłaściwie. Byłam zbyt jednoznaczna, gdy tymczasem z jego komentarzy zawsze wynikało, że docenia i podziwia pewną przebiegłość, pewien rodzaj zręczności. Podejrzywałam, że zdecydowanie woli kobiety żyjące tak jak on, z których strony nie musi się obawiać sarkazmu, krytyki, a już na pewno żadnych wyrzutów. Na tym między innymi polegała ta umowa - na wyraźnym oddzieleniu nowicjuszy od wtajemniczonych. Nie byłam pewna, na czym polega test, po którym przechodzi się do grona wtajemniczonych, bo wydawało mi się, że żarliwość może godnie zastąpić doświadczenie. Teraz po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak niewielkie mam doświadczenia. Moich partnerów z okresu

paryskiego wspominałam z pewnym zakłopotaniem albo w ogóle ich nie pamiętałam. Dlatego właśnie, jak Emma Bovary, której historia ma tak wiele wspólnego z życiem większości kobiet, skwapliwie wykrzyknęłam: „J'ai un amant! J'ai un amant!”, kiedy sama doświadczyłam tego rytuału przejścia od zwykłego przyzwolenia do prawdziwej radości. Założenie, że za tę przyjemność przyjdzie kiedyś zapłacić, było przesądem sięgającym korzeniami mroków średniowiecza. Tylko czy aby na pewno? To prawda, że kobiety mojego pokolenia czerpały nareszcie zyski ze swobód lat sześćdziesiątych i jeszcze nie spotkała ich za to żadna kara. Człowiek skłania się ku myśleniu w kategoriach zasłużonej nagrody i kary, w każdym razie ja miałam ten zwyczaj. Dobrze wiedziałam, że swoim zachowaniem zasługuję na nagane, przecież wystarczyło, że przypominałam sobie samotność, jaka doskwierała mi w Paryżu (a również potem), by się upewnić, że mam prawo zaznać przyjemności. A gdyby okazało się, że tak nie jest (miałam pewne wątpliwości), to gotowa byłam zapłacić wymaganą cenę. O tej cenie czytałam wielokrotnie, wiedzę o niej wpajano mi natarczywie, nie mogłam więc jej zignorować. Edmund wywołał jednak u mnie poczucie, że będę miała dość szczęścia, by uniknąć jakiegokolwiek kary. Mówiąc krótko, przekazał mi nieco swojej frapującej wolności od wyrzutów sumienia, a ja przyjął ją jako następny dowód na to, że dojrzałam w sposób, jaki przedtem nie był możliwy.

Jeżeli czegoś żałowałam, to tego, że tak mało przebywaliśmy ze sobą i tak niewiele rozmawialiśmy. Miałam ochotę zadać mu pytania, nie tylko o żonę, o dzieci, ale i o jego przodków, dzieciństwo, o życiowe priorytety. Chociaż zniewoliła mnie zewnętrżność tego mężczyzny, to tylko jego wnętrze zaspokoiłoby moją ciekawość. Śmierć matki mogłaby być pretekstem do zadania wielu nurtujących mnie pytań, wiedziałam jednak, że nie powinnam próbować zmieniać przydzielonego mi w galerii jego znajomych miejsca. Myślę, że gdybym pozwoliła sobie na uczucie choćby zbliżone do zazdrości, skazałabym się na udrękę. Nie wolno mi było ani na chwilę wypaść z roli, choć zdawałam sobie sprawę z nierówności w naszym związku. To jedna z wielu niesprawiedliwości, jakie spotykają kobiety ze strony mężczyzn, szczególnie odczuwana przez kobiety mojego pokolenia, którym nareszcie wolno było swobodnie wyrażać gniew. Nie zamierzałam pozwolić sobie na oskarżenia czy choćby aluzje; instynkt, a może lęk, podpowiadał, żebym stosowała jak najsztelniejsze strategie. Subtelna strategia może się jednak okazać ciężkim brzemieniem. Jedynie zaspokojenie pożądania, przeświadczenie o wspólnie przeżywanej przyjemności łagodzi podejrzenia i niezadowolenie, które wkradają się nieuchronnie, gdy nie ma możliwości spotkań. A czasami te możliwości pojawiają się zbyt rzadko. Z gor-

liwości, żeby mieć więcej wolnego czasu, obowiązki domowe wykonywałam w mgnieniu oka. Pragnęłam, by Edmund postępował tak samo, chociaż wiedziałam, że nie wolno mi tego głośno powiedzieć. Do tej pory robił wszystko, na co miał ochotę, bez śladu wyrzutów sumienia. To właśnie ów brak wyrzutów sumienia w jakiś przewrotny sposób czynił go niezwykle pociągającym.

Nasze spotkanie trwało tym razem krócej niż zazwyczaj. Kiedy przepełniona świeżo odzyskaną energią patrzyłam, jak się ubiera, zauważyłam, że jest czymś zaabsorbowany. Pytania w rodzaju: „Czy na pewno nic ci nie jest?” były - miałam dość rozumu, żeby to wiedzieć - zarówno nietaktowne, jak nieznośne, podobnie jak gorliwe: „Czy wszystko w porządku?”, kierowane do zwykłych znajomych.

- Masz dużo pracy? - spróbowałam, żałując nagle, że moim jedynym stałym zajęciem jest dbanie o Digby'ego. Marzyłam o jakimś biurze, o przedsięwzięciu, które by mnie wciągnęło i zajmowało moje myśli przez cały dzień; darzyłam szacunkiem dziewczęta idące do pracy, teczka w jednej ręce, druga uniesiona, żeby przywołać taksówkę. Widziałam siebie w roli skromnej maszynistki, lojalnej sekretarki, w jakiegokolwiek zresztą roli, byle wypełniła mój dzień i unicestwiła te długie godziny wyczekiwania. Na pewno byłabym bardziej zrównoważona, rozsądniejsza, gdybym musiała pisać roczne sprawozdania czy - coś bardziej kuszącego - brać udział w naradach. To z pewnością złagodziłoby poczucie wyobcowania i osamotnienia, które niezmiennie towarzyszyły mi w małżeństwie, a teraz zagrażały mojemu romansowi.

- Owszem, bardzo dużo - odparł. - I chyba się wyprowadzimy.

- Z tego pięknego domu?

- Co? A tak, byłeś tam raz czy dwa, prawda? Cóż, jest za duży, teraz, kiedy nie ma dzieci. No i z ulicy dochodzi taki hałas. To doprowadza do rozpaczy moją żonę.

Moją żonę. Nie Constance. Poważny błąd.

- Dokąd się przeniesiecie? - spytałam lekko.

- Zatrudniłem kogoś, kto znajdzie coś odpowiedniego. Myślę, że pozostaniemy w tej samej okolicy. Może trochę dalej od rzeki, bliżej Sloane Square. Naprawdę jeszcze nie wiem. Słuchaj, muszę już lecieć. Niedługo znów się zobaczymy. A przynajmniej zadzwonię do ciebie. W porządku?

- Jasne - powiedziała z uśmiechem. Byłam zbyt przepełniona radością, że znów go zobaczę, by w pełni uświadomić sobie ogarniający mnie smutek, który wynikał raczej z nie-

pokojącej perspektywy utraty kilku punktów odniesienia niż z poczucia samej zmiany. Jeśli o mnie chodzi, to atmosfera związana z tą przeprowadzką mogła pomnożyć ewentualne trudności, ale również zmusić mnie do radzenia sobie z nimi. Opierałam się na całkowicie sztucznej koncepcji: lubiłam wiedzieć, albo wmawiałam sobie, że wiem, gdzie przez cały czas przebywa Edmund, nawet jeśli było to czyste urojenie. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że on w ogóle może funkcjonować w oderwaniu ode mnie, że może się cieszyć swobodą, która nie jest mi dana. Nawet fakt, że zatrudnił „kogoś, kto znajdzie coś odpowiedniego”, podkreślał tę atmosferę zwierzchnictwa, jaką był otoczony, jak gdyby było czymś zupełnie naturalnym, że różni agenci wykonują jego polecenia. Kiedy porównywałam swoją oszczędność z jego rozrzutnością, czułam się naprawdę uboga. Szczerze podziwiałam swojego męża, kiedy zapominał o oszczędności i starał się dostarczać mi rozrywek, zabierając na kosztowne wakacje. Odwdzięczałam mu się, prowadząc dom najlepiej, jak potrafiłam, wykorzystując umiejętności, które wcześniej udoskonaliłam. Teraz miałam poczucie, że te umiejętności jedynie przypieczętowały moją przynależność do klasy średniej; nie byłam dość szykowna, by zapewnić sobie trwałe zainteresowanie mężczyzny przyzwyczajonego do wspanialszego towarzystwa. Postanowiłam kupić coś nowego do ubrania; zastanawiałam się, dlaczego nie zrobiłam tego wcześniej, podczas długich letnich wakacji. Zazwyczaj nie przywiązywałam szczególnej uwagi do takich spraw. Jeśli w ogóle mogłam się okazać atrakcyjna, to dlatego, że mój całkowicie neutralny wygląd wzbudzał pewne zaciekawienie. Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam być bardziej wyrachowana. Jednak roztrząsanie takich kwestii w związku z romansem wydawało mi się nie na miejscu, porzuciłam więc tę myśl, ledwie zdążyła nabrać kształtów. Prawdę mówiąc, ta myśl uformowała się dopiero w połowie i dlatego warta była dalszej analizy. Postanowiłam odłożyć ją do czasu, kiedy będę miała mniej wątpliwości, nie będę tak rozdarta jak teraz. To właśnie jest jedyny możliwy sposób postępowania w sytuacji, kiedy ta druga osoba cieszy się oczywistymi prawami. Mogłam ich zazdrościć, nawet mi imponowały, ale jednocześnie czułam się pomniejszona. To tak jakby moje prawa zostały okrojone, by zrobić miejsce dla tych innych, bardziej naturalnych żądań. Chociaż nie, przecież żądania kształtowały się świadomie. To były hipotezy, tym bardziej frapujące, że całkowicie instynktowne, niemal dar natury. Albo niebios.

Nie miałam ochoty snuć się dłużej po mieszkaniu Edmunda, a na powrót do domu było jeszcze za wcześnie. Postanowiłam odwiedzić Betsy, zobaczyć, jak sobie radzi w nowym domu. Zobaczyłam ją pośród przytłaczających mebli, które były niezbędne w latach trzydzie-

stych: ogromna oszklona biblioteka, komplet stolików, typowa dla tamtych lat lampa z matowym, pergaminowym abażurem. Byłam pewna, że w sypialni natknę się na łóżko z rzeźbionym, orzechowym wezglowiem i toaletkę z odchylanym lustrem. Nie myliłam się. Kuchnia przynajmniej była wolna od związków z przeszłością, natomiast zakupy - jabłka, ser, kawa ziarnista - świadczyły o tym, że mamy tu kobietę z niewielkim apetytem, której nawet nie bardzo chce się udawać, że jest inaczej. Przez okno, jeszcze bez firanek, wpadało światło ulicznej latarni. Betsy stwierdziła, że aż rzuca się w oczy, że to mieszkanie przeznaczone jest dla jednej osoby, i na dodatek tchnie samotnością, determinacją i zdatnością.

- Musisz się pozbyć tych sprzętów - oświadczyłam stanowczo, z przekonaniem, którego w ogóle nie czułam. Mój stan lekkiej paranoi zaczął ustępować na widok Betsy: sieroty w otoczeniu sierocych mebli, emanującej poczuciem straty. Człowiek ujawnia się na wiele różnych nieświadomych sposobów; inni bacznie takich sygnałów wyglądają. Zamyślenie na twarzy, niepewny krok, nieobecny uśmiech - wszystko to zdradza uczucia, którymi niekoniecznie chcielibyśmy dzielić się z innymi. Stan, który może robić wrażenie zaabsorbowania, jest natychmiast rozszyfrowywany przez tych, którzy wiedzą, czego szukać. A oczy Betsy tak wyraźnie spoglądały w przeszłość, że to szpetne otoczenie wydawało się niemal odpowiednie do jej sytuacji. Jak będzie żyła? I jak ustosunkuje się teraz do tego, co ją spotkało? Wydało mi się szczytem bezsensu tak dać się odsunąć na boczny tor. W naszych czasach kobieta nie jest bezbronna; może pracować, zarabiać pieniądze, otaczać się podobnie myślącymi przyjaciółmi, dołączać do protestujących, nawet protestować w pojedynkę. Jeśli jednak w jej życiu nie ma miłości, uważa się za wyjątek, wybryk natury.

Wiedziałam, przynajmniej tak mi się zdawało, jaka przyszłość czeka Betsy. Zostanie jedną z tych bezinteresownych ochotniczek, które poświęcają się innym - miała przecież więcej wspólnego z osobami pokrzywdzonymi przez los niż z ludźmi ze swojego środowiska. Odsunie się od wszystkich, poszuka ucieczki w książkach, ostatecznie tak przywyknie do samotności, że stanie się niemile widzianym gościem, który nie umie się zachować w towarzystwie, a wkrótce w ogóle przestanie gdziekolwiek bywać. Posiadała co prawda odwagę osoby niezłomnej, ale tego typu niezłomność jest żalonym stanem - w porównaniu z tym mogłam się uważać za szczęściarę. Była dostatecznie wnikliwą obserwatorką, by zauważyć różnice między swoim życiem a moim, a jednocześnie miała zbyt dobre serce, by odczuwać zawiść. Czego zresztą miałyby mi zazdrościć, gdyby poznała prawdę? Przecież nie tego, że miałam kochanka - to z pewnością by ją zaszokowało. Jej marzenia o miłości, nieważne, jak bardzo nierealne, pod wieloma

względami odzwierciedlały jej prawdziwą naturę, która rwała się do osiągnięcia tego, co niemożliwe. Na pewno zdawała sobie sprawę, że to wszystko mrzonki, a jednak nie porzuciła ich, chociaż tak byłoby i roztropniej, i praktyczniej. Takie zachowanie coraz wyraźniej odgradzało ją od rzeczywistości; to, że nie wyniosła nic ze swojej przygody, nie było dla niej tak oczywiste, jak byłoby oczywiste dla innych. Miałam nadzieję, że będzie dochodzić do tej wiedzy powoli i jak najłagodniej. A przecież w tym jej opuszczeniu było jakieś osobliwe piękno. Zachowała swoją prawość, nie utraciła niczego z pierwotnej niewinności, nie popełniła żadnego błędu. W porównaniu z tym moje postępowanie wydawało się nędzne, szkodliwe, ale przynajmniej dorosłe, co nawet Betsy musiałyby przyznać, choć niekoniecznie zrozumieć.

Oczywiście nic jej nie powiedziałam. Fakt, że to pogłębiało moje osamotnienie, odsuwało jeszcze dalej od tego, kim obie kiedyś byłyśmy, pozostawał wątkiem do moich osobistych przemyśleń. Nie żałowałam tego, co się stało, ale wielokrotnie przeszywał mnie dreszcz niepokoju, choćby tego wieczoru. Z perspektywy czasu widziałam postępowanie Edmunda jako imponujące, ale jednocześnie skażone, jakby on był przedstawicielem rasy zdobywców, a ja podbitych. To było podniecające, chociaż wiedziałam, że powinno budzić moje wątpliwości. Zresztą i tak nie miałam najmniejszego zamiaru rezygnować z tego, co mi się trafiło. Edmund pozwolił mi odkryć moje możliwości, moją zdolność do samowoli, a tym samym pomógł mi poznać samą siebie, dzięki czemu nabrałam takiej witalności, a nawet odwagi, jakie wcześniej były dla mnie nieosiągalne.

- Powinnyśmy pójść do Petera Jonesa i popatrzeć, co tam mają - powiedziałam. - Na pewno znajdziemy coś, co ci się spodoba. Teraz możesz sobie na to pozwolić, możesz sobie sprawić przyjemność. Pomogę ci. Pójdziemy tam w przyszłym tygodniu, zjemy razem lunch. Jak prawdziwe damy. - Uśmiechnęłyśmy się obie, jakbyśmy wyobraziły sobie te damy, którymi nie było nam dane się stać, o czym zresztą dobrze wiedziałyśmy. - I jedz więcej - zaapelowałam. - Jesteś za szczupła. Szkoda by było zmarnować taką urodę.

Odczułam ulgę, kiedy ponownie znalazłam się na ulicy. Wieczór był cudowny, kojący i ciepły; mgły snuły się w zapadającym zmroku. Mieliśmy naprawdę piękny październik: rześkie poranki, przytłumiony poblask słońca po południu, ostra woń liści. Zignorowałam więc oznaki nadchodzącej zimy i krótszych dni, nie myślałam o nieuchronności mojego osamotnienia. Nie miałam ochoty wracać do domu i przynajmniej ten jeden raz mogłam rzetelnie usprawiedliwić moją nieobecność: byłam z Betsy. Chciałam zostać na świeżym powietrzu, odbyć długi spacer, tak jak na początku małżeństwa, nim instynkt ucieczki doprowadził mnie do zaskakującego

zachowania, którego zapowiedź już wcześniej pulsowała w mojej krwi i nerwach. Byłam zniecierpliwiona samą sobą, tą skłonnością do rozpamiętywania niedawnej przyjemności, jakby była niezwykłym darem niedostępnym innym kobietom. Moje myśli były jednak dość prostaczkie: mogę mieć to i jeszcze więcej, jeśli tylko zechcę. Pobyt w Paryżu był tą jedyną okazją do wyzwolenia się i żałowałam, że ją zmarnowałam, że nie żyłam tam pełnią życia. Podobnie jak w przypadku Betsy, miłość przyszła do mnie późno i wiedziałam, że większa praktyka w tej dziedzinie lepiej by mi posłużyła. Kiedyś dano mi błędne wskazówki, wpojono, że małżeństwo jest jedynym rozwiązaniem. I niewątpliwie dla mnie było tym jedynym rozwiązaniem, bo tak naprawdę wcale nie zależało mi na tego rodzaju niezależności, która częściej bywa wymuszona niż pożądana. Przecież Betsy była zupełnie niezależna, a mimo to wiedziałam, że stałaby się tego typu żoną, która obecnie wychodzi z mody. Obie tak sobie wyobrażałyśmy nasze role, kiedy byłyśmy dziewczętami. Ale już dawno przestałyśmy być dziewczętami i teraz rozumiałam ów żal, pobrzmiewający w pełnych uroku piosenkach, które usłyszałam w jakiejś osobliwej paryskiej kawiarence czy z otwartego okna czyjś mieszkania. *Le Temps de Cerises* to kraina utraconego szczęścia, a my niezależnie od naszej sytuacji uświadamiamy sobie, że to, co minęło, nie wróci, czy jest to miłość, czy jedynie wyobrażenie miłości, które się nie urzeczywistniło.

Wróciłam do pustego mieszkania, co mnie zdziwiło, bo było już prawie wpół do ósmej. Digby rzadko się spóźniał. Był człowiekiem o stałych zwyczajach i często powtarzał, że ustalony porządek dnia jest podstawą. Zajrzałam do jego terminarza na biurku, żeby sprawdzić, czy nie zapomniałam o jakimś zebraniu, ale nie było w nim żadnych notatek. Wszystkie strony były puste. Digby co roku dostawał taki terminarz w prezencie od swojego kolegi Kanadyjczyka. Miał stałe miejsce na biurku obok innych przedmiotów, takich jak staromodne wieczne pióro, nóż do papieru i aparat telefoniczny. Jego gabinet wydawał się taki opustoszały, taki nieprzenikniony, że miałam nawet ochotę zmienić jego przeznaczenie, chociaż na dodatkową sypialnię był za mały, a Digby od czasu do czasu pisał tam jakieś listy. Nie miałam dostępu do życia, jakie wiódł w tym pokoju; gabinet istniał, zanim Digby mnie poznał, bez wątpienia kryły się w nim jakieś tajemnice, których lepiej było nie ruszać. I właśnie dlatego ten pokój zawsze napał mnie smutkiem. Niczym się nie wyróżniał, umeblowany był zwyczajnie i najlepsze wrażenie robił skąpany porannym słońcem. A przecież był zupełnie pusty, jak nie zapisany terminarz.

Poszłam do kuchni i przygotowałam sobie filiżankę herbaty. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Poczułam zmęczenie i pomyślałam, że dobrze byłoby wziąć kąpiel, zanim Digby wróci, ale jednocześnie nie miałam ochoty ruszyć się z miejsca. Dzwonek do drzwi po-

derwał mnie na równe nogi. Z zewnątrz dochodziły jakieś dziwne odgłosy; kiedy otworzyłam drzwi, najpierw ujrzałam panią Crook, która stała w swoich drzwiach z twarzą zastygłą w przerażeniu. Potem dopiero zobaczyłam, co było tego przyczyną: Digby opierał się o ścianę, podtrzymywany przez swoją sekretarkę, Jane Thompson, jedna ręka zwisała mu bezwładnie, a drugą uczeplił się jej ramienia. Kurczowo zaciskał dłoń na jej szarozielonym żakiecie, jakby rozpaczliwie walcząc o punkt oparcia.

- Źle się poczuł w biurze - wyjaśniła panna Thompson. - Z początku wyglądało to na jakiś atak, ale doszedł do siebie. Powiedział mi nawet, żebym się nie martwiła. Na szczęście akurat ktoś był u niego w gabinecie, w przeciwnym razie mogłabym tam nie wejść aż do końca dnia. Zrobiłam herbatę i zaniiosłam mu. Wtedy zobaczyłam, co się stało z jego twarzą. I wydawało mi się, że nie słyszy na jedno ucho. Chciałam zadzwonić po pogotowie, ale mi nie pozwolił. Wtedy mógł jeszcze mówić, powiedział, że chce wrócić do domu. Poczekalam więc pół godziny i zadzwoniłam po taksówkę. Z moim ojcem było tak samo. Pewnie wezwie pani waszego lekarza.

Zaprowadziłyśmy go do salonu i posadziłyśmy w fotelu. Jego twarz wyglądała jak złożona z dwóch różnych połówek, usta wykrzywione, jedno oko przymknięte. Wszyscy wiedzieliśmy, co się stało. Digby wiedział to na pewno. A przecież nikt nie zamierzał nazwać rzeczy po imieniu, żadne z nas trojga.

- Gdyby tylko mogła mi pani pomóc zaprowadzić go do sypialni - powiedziałam. - Potem dam sobie radę. Jestem pani bardzo wdzięczna. Myślę, że tego właśnie by sobie życzył.

Nie wezwałam lekarza. Dobrze wiedziałam, co się dzieje. Chciałam go zatrzymać przy sobie.

Ułożyłyśmy go na łóżku. Był to dla panny Thompson sygnał do odejścia. Ta uczynność obcych ludzi, pomyślałam. Ściągnęłam z niego ubranie, owinęłam go w szlafrok i przykryłam kołdrą. Dużo później, w nocy, rozebrałam się i położyłam obok. Myślę, że zdawał sobie sprawę z mojej obecności, choć wątpię, czy na pewno wiedział, kim jestem. Ujęłam jego rękę, ale to była ta nieruchoma ręka i wyslizgnęła się z mojej dłoni. Zasnął, chrapliwy oddech świadczył o tym, że żyje. Po jakimś czasie oddech się uspokoił, wydawało mi się, że śpi zupełnie normalnie. Kiedy zrobiło się jasno, obejrzałam jego twarz, żeby sprawdzić, czy zaszły w niej jakieś dalsze zmiany. Zniekształcone rysy zaczęły się wygładzać i twarz przybrała bardziej znajomy wygląd. Przez chwilę czułam przypływ nadziei, kiedy jednak wymówiłam jego imię, nie re-

agował. W ciągu dnia powtarzałam jego imię wielokrotnie, bez rezultatu. Wiedziałam, co mam robić.

Umyłam mu twarz, uczesałam włosy, usiadłam przy łóżku. W którejś chwili musiałam wyłączyć telefon, ale nie pamiętałam kiedy. Ponownie ujęłam jego ciężką rękę. Nie odzywałam się, bo po co, skoro on już nie był w stanie mówić. Dzień mijał bez mojego udziału. Zauważyłam tylko, że jest ładny, wręcz piękny, podobny do poprzedniego, a ja bardzo chciałam, żeby się już skończył. Wydawało mi się, że noc jest bardziej stosowna do takiego czuwania. I tak też było. Ponownie położyłam się obok niego. Powtarzałam ten rytuał jeszcze przez dwa dni i dwie noce. Rano próbowałam wsunąć mu łyżeczką odrobinę jogurtu w wykrzywione usta, ale spłynął tylko po brodzie, a we mnie obudził się bunt w jego imieniu. Trzeciego dnia zrobiło mi się słabo i poszłam do kuchni zaparzyć herbaty. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że nie żyje. Poczulałam smutek w najczystszej postaci, niczym nie skażony i tak oderwany od rzeczywistości, jakbym zastygła z Digbym w tym jego nowym stanie i jakby ten smutek miał mi towarzyszyć już zawsze, każdego dnia, przez resztę mojego życia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następne dni upływały tak, jakbym sama walczyła ze śmiercią. Powinnam była napisać jakieś listy, ale pióro błędziło po kartkach papieru, jakby nieposłuszne moim zamiarom. Wiedziałam w tym jakiś omen, początek rozpadu na większą skalę, który najwyraźniej dawał o sobie znać. Z lustra spoglądała na mnie kobieta o zgaszonym wzroku i zaciśniętych ustach. Odczuwałam brak snu, nie mogłam się jednak zmusić, żeby pójść do sypialni. Wcześniej ściągnęłam powleczenia, ale wciąż nie założyłam świeżych. Noce spędzałam w fotelu i myślałam, że tak zostanie, póki nie zacznę funkcjonować normalnie. Ufałam, że naturalny porządek rzeczy przywróci mi instynkt samozachowawczy i poczuję głód. Nie miałam pojęcia, kiedy to nastąpi.

A przecież jednocześnie zachowałam się racjonalnie, przynajmniej w miarę racjonalnie; odetchnęłam z ulgą, kiedy pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego - cisi i taktowni - wyszli z mieszkania, odmówiłam przyjęcia środka uspokajającego, który proponował mi lekarz. Panna Thompson, również niezwykle taktowna, obiecała skontaktować się z partnerami w interesach Digby'ego, kiedy tylko pozna datę pogrzebu. Trudniej było z sąsiadami, ze znajomymi, którzy uważali za swój obowiązek dzielić się doznany wstrząsem i wyrażać żal, i to w taki sposób, jakby robili to w moim imieniu. Prawdopodobnie byli zakłopotani tym, że nie okazuję

żadnych emocji, i chcieli swoim zachowaniem zrównoważyć moje. Pani Crook szczególnie gorliwie starała się dotrzymywać mi towarzystwa - teraz obie byłyśmy wdowami. Raz, uwięziona we własnym mieszkaniu, zmuszona byłam wysłuchiwać jej wspomnień przez całe popołudnie. Kiedy tylko poczułam, że już wypada, udałam, że jestem wyczerpana i muszę odpocząć. Odprowadziłam ją pod drzwi jej mieszkania, umyłam filiżanki, zjadłam banana i przygotowałam się do najważniejszego wydarzenia dnia, do spaceru. Spacerować mogłam jedynie w nocy albo wczesnym rankiem, kiedy było oczywiste, że nikogo nie spotkam i zachowam anonimowość.

Odkryłam to pierwszej nocy po śmierci Digby'ego. Możliwe, że odczuwałam dosłowne, fizycznie pragnienie odetchnięcia świeżym powietrzem, tak naprawdę jednak szukałam jakiejś uludy swobody, wolności od tego ogromu czekającej mnie pracy, nie tyle przy uczeniu się, jak żyć bez Digby'ego, bo wiedziałam, że z tym sobie poradzę, ile przy układaniu sobie nowego życia, w którym nie będzie ograniczeń ani konieczności poświęcania mu czasu i uwagi, nie będzie żadnych obowiązków, od których musiałabym szukać ucieczki. Nad tymi sprawami łatwiej się było zastanawiać po ciemku niż przy świetle dnia, a poza tym nie byłam już zmęczona. Moje spacerowanie było długie, ale niezbyt urozmaicone. Jednej nocy szłam cały czas prosto Old Brompton Road do Knightsbridge, potem przez Hyde Park Corner, wzdłuż Piccadilly i St. James's Street, a wracałam przez Mall, Ebury Street, Pimlico Road, aż do Royal Hospital Road, skąd wzięłam taksówkę do Melton Court. Innym razem wędrowałam wzdłuż rzeki, bardzo uważając, by nie znaleźć się w pobliżu domu Edmunda. Nazwisko Fairlie umieściłam na liście, którą dałam pannie Thompson; mieli zostać poinformowani wraz z innymi. Nie miałam najmniejszej ochoty ich widzieć, nie miałam ochoty oglądać kogokolwiek. Kiedy zadzwoniła Betsy w sprawie naszego lunchu, powiedziałam jej krótko o tym, co się wydarzyło, i z wdzięcznością wysłuchiwałam o jej smutku wyrażonym łamiącym się głosem, choć w mojej reakcji na jej słowa smutku było niewiele. Bo nie o mój smutek tutaj chodziło. Tylu ludzi zapewniłam, iż sama dam sobie radę, że w końcu starałam się być twardsza, niż oczekiwano. Moje oczekiwania były zaś równie nieokreślone jak te osobliwe, kontemplacyjne wędrówki, podczas których co chwilę wynurzałam się z mroku w światło rzucane przez kolejną latarnię, niemal nie zauważając obecności innych wędrowców, podobnie jak ja zatopionych w myślach i podobnie zadowolonych, że są wśród obcych.

Ogarniało mnie wtedy nie tyle uczucie żalu, ile wyobcowania. Ten czas był okresem przejściowym, okresem wchodzenia w nowe życie, w którym nie otrzymam już żadnych

wskazówek. Miałam wymyślić życie, które inni postrzegaliby jako normalne, ale które w rzeczywistości byłoby krańcowo odmienne. Jeśli myślałam o Edmundzie, co mi się zdarzało, to dlatego, że wiedziałam, iż seks to antidotum przeciw śmierci, a także dlatego, że teraz, kiedy sama zostałam uwolniona od obowiązków domowych, zaczęłam sobie uświadamiać, że przecież inni je mają. Wczesnym rankiem, tuż przed świtem, zaglądałam w okna kuchni mieszczących się w suterrenach domów, widziałam stoły przykryte obrusami w kratkę, naszykowane do śniadania, albo też natykałam się na rolety i żaluzje, które broniły dostępu mnie i takim jak ja. Nie byłam jeszcze gotowa zmierzyć się z faktem, że Edmundowi w jego domu przygotowują posiłki równie starannie jak ja przygotowywałam swojemu mężowi, że jego życie codzienne jest zupełnie normalne, być może nawet bardziej normalnie, niż można by sądzić wyłącznie po jego zachciankach. Rzucając ukradkowe spojrzenia w okna innych ludzi, czasami symbolicznie odgradzane zasłonami, nie mogłam nie zauważyć solidarności łączącej tych, którzy nie musieli jeszcze radzić sobie z takim osamotnieniem jak ja.

Teraz zobaczyłam Edmunda w innym świetle, jako przykładnego męża i ojca, by użyć tego uroczego, staroświeckiego określenia, człowieka opierającego się na tych wszystkich układach, które muszą trwać niezachwianie, by życie toczyło się normalnie. Znajomość reguł oraz świadomość, że się ich przestrzega, kiedy należy, dawała poczucie bezpieczeństwa, od którego można zapragnąć uciec. I ja właśnie okazałam się taką ucieczką i dobrze wiedziałam, że to nie będzie trwać wiecznie. Może byłam przesadną pesymistką, a może byłam pod wrażeniem myśli, że wszystko ma swój koniec, ale teraz dopiero zobaczyłam wyraźnie, że taki romanś musi być odarty z wszelkich emocji, jeśli ma pozostać przyjemnością. Stąd właśnie ów brak zrozumienia, brak zainteresowania, brak rozmów, które sobie wymyślałam, ale do których nigdy w mieszkaniu przy Britten Street nie doszło. Ani tam, ani w żadnym innym miejscu, zażyłość bowiem zarezerwowana jest dla domu rodzinnego. W ten sposób zachowuje się swoistą lojalność - mężczyzna taki jak Edmund może być przekonany, że postępuje właściwie, bo przecież prawdziwa niewierność wiązałaby się z głębszymi uczuciami. Jeśli zaś jedyne uczucie, jakiego się doświadcza, nie wykracza poza cielesność, to nie ma występku. Podczas jednego z porannych spacerów przyszło mi do głowy, że nic tak skutecznie nie zabezpiecza ludzi pokroju Edmunda przed wyrzutami sumienia czy ewentualnymi zarzutami innych, jak powszechny szacunek, jakim się cieszą.

Dostrzegałam w tym kolejną niesprawiedliwość - natury czysto społecznej - bo to moja, a nie jego sytuacja była nieznośna. Teraz, kiedy zabrakło osłony w postaci męża, będę widoczna

jak na dłoni. Jak to zwykle bywa w przypadku osób samotnych, stanę się obiektem bacznej obserwacji dla tych samych ludzi, którzy tak niedawno wyrażali mi współczucie. Nie myślałam już o tym, żeby przepaść bez śladu w Paryżu; przerażała mnie myśl o jeszcze większym osamotnieniu. Jediną ochroną mógłby być inny mężczyzna, nie ten, ku któremu aż zbyt naturalnie kierowały się moje myśli, ale ktoś spokojny, godny szacunku, ceniony - szczerze mówiąc, taki jak mój mąż. Znowu należałabym do towarzystwa, które przyjęłoby mnie ciepło, pod warunkiem że w grę nie wchodziłyby żadne namiętności. Moje pragnienia w ogóle by się nie liczyły. Przyjęto by mnie do grona starych znajomych, gdybym wykazała tę dobroczynną przeciętność - wakacje, przyjęcia - która jest domeną osób utrzymywanych i chronionych, takich, którym nie zadaje się pytań. Gdybym natomiast okazała się mało towarzyska, odrzucono by mnie i na zawsze usunięto poza nawias. Zostawiona sama sobie nie mogłabym się skryć za żadną maską. Mężczyźni woleliby się trzymać ode mnie z daleka, ponieważ każdy kontakt ze mną byłby dwuznaczny. Nawet Edmund czułby się ze mną niezręcznie; obawiałby się, że naruszę jego prywatność, jakbym teraz mogła mieć większe wymagania. Wreszcie zrozumiałam, że nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Nic nas z sobą nie łączyło; poza tym, co działo się w mieszkaniu przy Britten Street, żadna prawdziwa zażyłość. Od ludzi, z którymi on był zżyty, nie mogłam niczego oczekiwać; Constance nie cierpiała mnie już wtedy, kiedy nie było jeszcze ku temu żadnych powodów, a ja zawsze trochę się jej bałam, nie bardzo zresztą wiedząc dlaczego. Teraz odgrażał mnie od niej dobry obyczaj, a może grzeczność. Zresztą nie tęskniłam do towarzystwa kobiet; potrzebowałam czegoś mocniejszego, bardziej cynicznego, brutalniejszego. Tylko twarde stąpanie po ziemi pozwalało mi nie zwracać uwagi na te szczegóły z życia innych, na jakie natykałam się podczas tej błąkaniny o świcie: stół nakryty dla dwojga, wazon z kwiatami na parapecie, porzucona obok fotela dziecięca zabawka.

- Jak będziesz teraz żyć? - pytała matka, dzwoniąc z Hiszpanii. Uzgodniłyśmy, że nie przyjedzie na pogrzeb, tylko jakiś czas później, z „prawdziwą wizytą”, jak to ujęła. - Oczywiście, masz to mieszkanie - ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. - I dość pieniędzy, jak przypuszczam. Dużo Digby zostawił?

- Nie mam pojęcia. - Była to prawda. - Nie widziałam się jeszcze z prawnikiem. To chyba robi się po pogrzebie.

- Nie będzie ci łatwo - oznajmiła matka. - Nawet z pieniędzmi, choć to pomaga. Kiedy rozstaliśmy się z ojcem, poczułam swego rodzaju ulgę. A jak wiesz, nie była to nagła decyzja. Przez te wszystkie lata raz było dobrze, raz źle. I nie byliśmy szczęśliwi. A ty byłaś szczęśliwa?

- Znów nie poczekała na odpowiedź. - Przypuszczam, że tak. Zawsze się przecież o ciebie troszczyliśmy. Miałaś cudowne życie.

- Tak, miałam szczęście.

- Poczucie ulgi minęło, a pojawiło się poczucie zagrożenia. Dlatego tak często wyjeżdżałam. To wymagało odwagi, wierz mi, ale jednak się na to zdobyłam. Spotkałam nowych ludzi, choć tak naprawdę nigdy ich nie poznałam. I tak spotkałam Judy, tę dziewczynę, z którą mieszkam. Nazywam ją dziewczyną, ale w rzeczywistości obie jesteśmy starymi kobietami. Kiedy patrzę na nią, widzę siebie i nie podoba mi się to. Och, żyjemy dość zgodnie, chociaż nie mogę pozbyć się wrażenia, że kobiety nie powinny ze sobą mieszkać. Ale co mam zrobić? Sama sobie nie radzę; muszę mieć towarzystwo. Ty jesteś inna. Zawsze ci wystarczało własne towarzystwo, nawet kiedy byłaś małą dziewczynką. Oczywiście teraz to odczujesz. Na twoim miejscu wyszłabym ponownie za mąż, jeśli trafi się okazja. Nawet w tych naszych, wyzwolonych czasach mężatki cieszą się większym poważaniem. Zawsze też możesz przyjąć sublokatora.

W pierwszej chwili sądziłam, że ma na myśli kochanka, szybko jednak uświadomiłam sobie, że miłość nie leży w jej naturze - ani miłość do siebie samej, ani do kogoś innego. To pozwoliło mi zrozumieć, jakiej dezintegracji uległo moje życie rodzinne. Nie pragnęłam powrotu rodziców - lękałam się wręcz, że matka będzie chciała zamieszkać ze mną - ale chętnie zamieszkałabym z czyjąś rodziną. Nie znałam jednak rodziny, która by mnie mogła przyjąć. I nie miałam najmniejszego zamiaru brać do siebie matki. Od ojca dostałam list i kiedyś będę musiała mu odpisać. Jego też nie miałam ochoty oglądać. Tak jak jego obecna żona nie miała ochoty oglądać mnie. Najwyraźniej niezadowolenie mojej matki przeszło teraz na nią. Albo ojciec miał wyjątkowy talent do poślubiania nieodpowiednich kobiet. Czułam, że dzieli nas przepaść. Natomiast zupełnie bezwiednie dostrzegłam narastający egocentryzm matki. Zdecydowanie chętniej rozmawiała o własnym losie niż o moim. Odebrałam to jako symbol mojego nowego, obniżonego statusu. A może po prostu poddawała się przygnębieniu wynikającemu z zaawansowanego wieku, co przecież mnie samej jeszcze nie dotyczyło.

- Dbaj o siebie - usłyszałam. - Nie zaniedbuj wyglądu. Pamiętaj o zębach. Nikt nie może powiedzieć, że ja się zapuściłam. Nie ma tu oczywiście nikogo, kto by to zauważył. Ale ja mam swoją dumę, czy to, co z niej pozostało. Trzeba dokładać wszelkich starań i w ogóle. Całuję i do zobaczenia.

To było we środę. Musiałam jakoś dotrzeć do piątku, do dnia pogrzebu. Nigdy przedtem nie byłam na pogrzebie: byłam jeszcze na tyle młoda, że nie zdążyłam zetknąć się ze śmiercią. Domyślałam się, że po krótkiej ceremonii ludzie przyjdą do mnie, a ja będę przyjmować wyrazy współczucia i wyrażać swoją wdzięczność, co ostatecznie przypieczętuje śmierć Digby'ego. W lustrze zobaczyłam, że jestem wymizerowana i zaniedbana - rezultat nie tylko mojego włóczęgostwa, ale także najnowszej obsesji. Wstydziałam się swojego postępowania, jakbym oprzytomniała po dłuższym szaleństwie. Wiedziałam, że zachowałam się źle i w sposób zupełnie dla siebie nietypowy. Bo przecież chyba nie byłam z gruntu zła? Przyjęłam to, co mi dano; teraz zrozumiałam, że otrzymałam coś niewystarczającego, bezwartościowego, a przynajmniej niewiele znaczącego, w co na dodatek sama zbyt dużo zainwestowałam.

Wstydziałam się również za Edmunda, któremu było to zupełnie niepotrzebne. Argumenty, jakie sobie wymyśliłam, żeby usprawiedliwić jego postępowanie, były bezsensowne, bo przecież nie miałam pojęcia, co on tak naprawdę czuje. Jego początkowy zapał, wynikający z wyrachowania, wyczerpał się, a moja nadgorliwość chwilowo wygasła. Wspominałam swoje zachowanie z przerażeniem; takim samym przerażeniem napawał mnie mój nowy zwyczaj nocnych eskapad. Dotyczyło to zaledwie kilku ostatnich nocy, podczas których nic szczególnego się nie działo, a jednak kładły się one na mnie cieniem i wydawało mi się, że wyznaczą mój sposób postępowania na resztę życia. W tym krótkim okresie jasności umysłu doszłam do wniosku, że muszę zmienić sposób postępowania dla własnego bezpieczeństwa, a nawet dla zachowania zdrowych zmysłów. Będę musiała przestrzegać reguł, szanować normy towarzyskie, a nie tych, którzy je lekceważą. W regułach widziałam zabezpieczenia. Jeśli ich się przestrzega, można liczyć na pomoc. Rozumiałam, że nawet Edmund powinien przestrzegać reguł, że jest szczęściarzem, który nigdy nie zwątpił w swoje szczęście. Nie musiałam traktować ulgowo ani Edmunda, ani siebie. Myślałam w kategoriach grzechu - pojęcia, którego wcześniej w ogóle nie rozważałam. Brak umiaru z naszej strony był zapewne słabością, a nie, jak kiedyś uważałam, siłą. Uświadomiłam sobie istnienie odległego jeszcze uczucia pogardy. Poszłam do sypialni, powlekłam pościel, zabrałam z nocnego stolika okulary Digby'ego i zniosłam do jego gabinetu. Teraz tam było jego miejsce. Nie będzie mnie już nękał, ale to on nauczył mnie, czym jest dobro, i to właśnie, miałam nadzieję, pozostanie spuścizną po nim. Nie zapomnę o jego szczodrości i to na pewno będzie mnie w przyszłości chronić.

Posprzątałam mieszkanie, przygotowałam je na przyjęcie gości, sprawdziłam, czy jest dość kawy, sherry, pomyślałam też o przekąskach. Co można podać na stypie? Postanowiłam

pójść na zakupy, wyjść na ulicę o normalnej porze, zachowywać się jak typowa kobieta z mojej klasy i mojego pokroju, dojrzała na tyle, żeby dostosować się do określonych wzorców. Byłam szczuplejsza i bledsza, co dziwne, jeśli wziąć pod uwagę te wszystkie godziny spędzone na świeżym powietrzu. Jednak powietrze tamtych nocy wydawało się morowe w porównaniu z rozświetlonym powietrzem tego nowego dnia. Dobroczynne słońce ukazało w zupełnie innej perspektywie ten nowy ład, który zamierzałam zaprowadzić w swoim życiu. Jedną nieproszoną myśl kołatała mi się po głowie: Edmund może pojawić się na pogrzebie, a nawet przyjść potem razem z innymi do mojego mieszkania. Był powiązany z interesem, jaki prowadził Digby, który teraz, jak przypuszczałam, trzeba będzie sprzedać. Znał zakres inwestycji Digby'ego, zarządzał jego portfelem, jeśli właśnie czymś takim zajmują się maklerzy giełdowi. Przypuszczałam, że finansowo będzie mi się zupełnie dobrze powodzić; jeszcze jedna spuścizna po Digbym. Wszystkim tym może się zająć prawnik. W każdym razie nie chciałam, by widziano mnie w tym stanie przygnębienia. Umówiłam się z fryzjerem, wzięłam klucze i z uczuciem niemal ciekawości wyszłam w rzeczywistość zwyczajnego dnia.

Jesień była promienna, usposabiała do życzliwości, a już na pewno przywoływała życzliwe uśmiechy na twarze ludzi. Poranne mgły, które spowijały mnie w poprzednie ranki, rozplynęły się; o tej porze słońce już dawało trochę ciepła. Wszystko wokół mieniło się bogactwem kolorów, drzewa, dalekie i astry na narożnym straganie, a mimo to w powietrzu wyczuwało się zapowiedź nadchodzącej zimy. Tak wyglądała teraz okolica mojego domu i nie powinnam się poza nią ruszać. Kręciło mi się w głowie, chyba z głodu, ale nie zatrzymałam się przy kawie, szczerze mówiąc, nie byłam jeszcze na to gotowa. Poczułam przyływ jakiejś szczególnej skromności, teraz pomysł powrotu do Paryża napawał mnie niepokojem, niemal trwogą. Takie przygody przystoją bardzo młodym, mój romans pasował natomiast do osób wkraczających w wiek średni. Nie byłam już dziewczyną i niewątpliwie nadejdzie dzień, kiedy będę się cieszyć, że nie muszę się już oddawać wyczerpującym praktykom w rodzaju tych z Britten Street. Wydawało mi się, że utraciłam dwie osoby, nie tylko Digby'ego, ale również Edmunda, bo przykład, jaki dawał jeden z nich, musiał wpłynąć na moją opinię o drugim. Digby zawsze przestrzegał reguł i uznałam to za cnotę. Prawość i rzetelność - przymioty, w których sens kiedyś wątpiłam - podniosłam teraz w myślach do najwyższej rangi. Dawniej uważałam, że to pogańscy bogowie nade mną czuwają: powinnam była pamiętać o ich beztrosce i braku odpowiedzialności. Choć jeszcze nie związałam się z żadną inną mitologią, odczuwałam potrzebę przemyślenia na nowo mojego nastawienia, które doprowadziło do tego, że poczułam się godna

tych beztroskich i nieodpowiedzialnych bóstw. Byłam istotą ludzką, omylną i niedoskonałą, mimo to nie zamierzałam odbywać pokuty. Zbyt żywa była we mnie pamięć o moim wyzwoleniu, by ją zlekceważyć. Pamięć może zblednąć, możliwe, że już zbladła, ale nie może zaniknąć. Pojęcia dobroci i wolności są trudne do pogodzenia. Zagadki tej nigdy nie rozwiązano. Przynajmniej ja nie byłam w stanie jej rozwiązać. A przecież, co dziwne, zarówno jedno, jak i drugie wymagało lojalności, poczucia obowiązku. Trudno sobie wyobrazić, jak można by taki obowiązek spełnić.

Kobiety u fryzjera witały mnie gestem i uśmiechem, jakby ponownie włączały mnie w krąg ludzi prawych. Sylvia, recepcjonistka, wyszła zza biurka i chwyciła moją rękę.

- Tak mi przykro - wyszeptała.

Słowa te, z ust w istocie obcej osoby, zrobiły na mnie takie wrażenie, że łzy wypełniły mi oczy, pierwszy raz od śmierci Digby'ego.

- Przyniosę pani filiżankę kawy - powiedziała. - Wiem, że pani lubi.

Była kobietą mniej więcej w moim wieku, niezamężną, sądząc po braku obrączki, a przecież w porównaniu ze mną wydawała się osobą dojrzałą, bez reszty oddaną swojej asekualnej profesji, bo żaden mężczyzna nigdy tu nie przychodził, chyba że po żonę. Nie miałam zamiaru dać się wciągnąć w kobiece gierki, jakich często byłam tutaj świadkiem, w to rozprawianie o drobnych dolegliwościach czy opowiadanie o niefortunnych a śmiesznych zdarzeniach, które wyraźnie przynosiło im pokrzepienie. Do tego zakładu nie przychodzili młodzi, ale ja lubiłam go, dlatego że mieścił się niedaleko i że Alex, który mnie czesał, był taki spokojny i pełen szacunku. Normalnie jego zachowanie bywało męczące; teraz działało na mnie kojąco jak balsam.

- Nawet jeśli się człowiek spodziewa, to jednak zawsze jest wstrząs - oświadczył, zaczepiając mi włosy do tyłu.

- Nie spodziewałam się. Myślałam, że był zupełnie zdrowy.

Było to takie smutne, że znów poczułam, jak łzy nabiegają mi do oczu. Taktownie postawiono obok mnie szklankę wody.

- Po prostu jestem zmęczona - próbowałam się tłumaczyć. Rzeczywiście zaczęłam odczuwać skutki trudów ostatnich kilku dni. Myśl, że będę znowu spać we własnym łóżku, przyniosła pewne pocieszenie. Ta nadchodząca, długa noc, którą spędzę bezpiecznie w domu, symbolizowała powrót do normalności. Nie mogłam uwierzyć, że tak niewiele czułam podczas tamtych wędrówek w ciemnościach. Teraz, kiedy groził mi nawrót żalu oraz to mniej prawo-

wite poczucie straty, lepiej było skryć się w domu i poczekać, aż ukształtuje się mój nowy charakter, ten, który sama sobie narzucę.

Ci ludzie swoją życzliwością pomogli mi powrócić do tego dziennego świata. Pomyślałam z niesmakiem, z konsternacją nawet, o niedawnych nocach i wczesnych godzinach przed świtem, kiedy widziałam siebie jak jakiegoś wygnańca czy postać z tych filmów, które chłonełam podczas tamtego samotnego pobytu w Paryżu. I o tych wyobrażonych scenach z życia ludzi, których podglądałam... Te ulice, tak przystępne w świetle dnia, po których poruszałam się niemal swobodnie, przemówiły do mnie swoją neutralnością; nie czyhało tam żadne niebezpieczeństwo, zniknęło poczucie wygnania, pojawiła się natomiast fascynująca zwyczajność, w której będę próbować się zanurzyć. Teraz należy sobie wymyślić takie życie, w jakim nie będzie miejsca na tęsknotę za przeszłością, bo ona wreszcie definitywnie odeszła. Niemal zupełnie obojętnie wchodziłam do sklepów, kupowałam różne produkty, które wydawały mi się stosowne do podania na takim nienaturalnym przyjęciu, jakim jest spotkanie po pogrzebie. Zrobię małe kanapki, takie jakie matka podawała gościom z okazji popołudniowego brydza. Nigdy nie wracałam myślą do tamtych dawnych czasów, co jak przypuszczam, jest zwyczajem większości ludzi; były tak przykre, że chętnie zamieniłam je na to wszystko, co przyszło potem, choć to również nie dało mi większej przyjemności. Teraz będę spędzać czas we własnym mieszkaniu, wreszcie przyjemnie, przyjemnie jedynie w tym sensie, że nie będzie niczego, co mogłoby zakłócić mój spokój.

Bo przecież to najgorsze już się wydarzyło, a może nie? Poza niemalże upragnioną niejasną przyszłością nie przewidywałam niczego, co miałoby przywrócić wspomnienie nocnych włóczęg. O tamtym drugim życiu, tym, które zagrażało mojemu prawdziwemu życiu, mniej myślałam. Pokrzepiała mnie myśl, że Digby niczego nie wiedział i że w tych ostatnich chwilach byłam przy nim. Dzięki temu została zachowana krztyna przyzwoitości. Do tej krztyny, nieważne, jak małej, przyłgnęłam z całej siły. Będzie mi musiała dodawać otuchy w dniach, które nadejdą.

Słońce oblewało łagodnym blaskiem skromne fotele, stoliki, lampy w moim mieszkaniu. Patrzyłam na nie zupełnie innymi oczami. Usiadłam i zastanawiałam się, czym wypełnić resztę dnia. Mogłam naturalnie czytać, jednak uzmysłowiłam sobie, z kolejnym poczuciem straty, że nie mam już ochoty, a co gorsza, prawdopodobnie już nie będę potrzebować tamtych romanсів, które tak zajmowały mnie w przeszłości. Bo chyba to były romanse? Ja definiowałam romanse jako opowieść, która dąży do satysfakcjonującego końca. Właśnie taki, a nie szczęśliwy

koniec, czyni literaturę frapującą. Jej bohaterowie i bohaterki, nawet ci najmniej oświeceni, którzy dostawali się w burze i nawałnice, zawsze wychodzili z niebezpieczeństw obronną ręką. Te dziewiętnastowieczne powieści, które kochałam, nadawały poczuciu ładu i sprawiedliwości oczywisty moralny sens. *Jane Eyre*, *David Copperfield* przetrwali okres próby i nawet jeśli ten czas był dla nich bardzo ciężki, autorzy uznali za stosowne wynagrodzić ich za to. Zagłębiając się w treść książki, można było równie naturalnie i zasłużenie jak bohaterowie cieszyć się nagrodą. Teraz te zakończenia wydawały mi się czystą fantazją, w rzeczywistości bowiem ludzkie sprawy nie mają końca, szczególnie sprawy sercowe. Nasze smętne tęsknoty mogą się nie spełnić i zazwyczaj się nie spełniają, a jeśli ma się dużo szczęścia, to pozostają utajone, ale wciąż istnieją. Można zatem wracać raz za razem do wspomnień albo wymyślać inne zakończenia, z których dumny byłby moralista czy powieściopisarz. Mnie jednak wykluczono z takiej sekwencji zdarzeń i teraz musiałam żyć z wątpliwościami. Nie chciałam czytać powieści, które by mi to uświadamiały. Obawiałam się, że już nigdy nie będę w stanie czytać, a przynajmniej nie do czasu, kiedy podsumuję swoje życie z uczuciem ulgi, że nie wyrządziłam nikomu prawdziwej krzywdy. To może się okazać najbardziej znaczącą stratą. Odstawiłam książki na półki. Ostatnią odrzuconą w ten sposób była *Pani Bovary*.

Jeśli czułam się nieszczęśliwa w przeddzień pogrzebu, to objawami tego stanu, co zresztą bez trudu rozpoznałam, były lęk, przede wszystkim lęk, i uczucie zbliżone do dziecinnej rozpacz. Bóle głowy, mdłości mogłam pokonać, bo ich przyczyna była taka oczywista. Największą trwogą napawała mnie sama ceremonia, podczas której będę musiała się wykazać wytrwałością, a tej już mi brakowało. Pomyślałam, tak jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego, że lekka niedyspozycja pozwoliłaby się wykręcić od tych okropnych obowiązków, że można by zadbać o siebie, wziąć leki, zrezygnować z wszelkiej inicjatywy, nawet zasnąć. W końcu położyłam się i rzeczywiście zasnęłam. Obudziłam się przerażona w dwójnasób, jakby dopiero teraz strach ujawnił się w pełni. Przy moich dotychczasowych mizernych dokonaniach czekające mnie zadanie wydawało się niewykonalne. Wysiłkiem woli zmusiłam się do wyobrażenia sobie chwili, kiedy już będzie po wszystkim, i z iskrą nadziei pomyślałam, że być może przyjdzie jeszcze czas na wykorzystanie energii, której jakiś ślad musiał przecież we mnie pozostać, a może nawet znajdzie się miejsce na radość. Nie postrzegałam tego jako braku lojalności. Ja też będę musiała umrzeć, ale teraz moim obowiązkiem było żyć dalej, tak długo, jak się da, w takich okolicznościach, jakie bogowie zechcieli dla mnie stworzyć. Mówiłam sobie, że ci bogowie nie są zazdrośni jak tamten groźny Bóg Starego Testamentu. Owszem, byli obojętni, cza-

sem wręcz złośliwi, ich troski stanowiły jednak odzwierciedlenie naszych trosk. Z takim układem można się było pogodzić, nawet jeśli mogłoby się to okazać trudne.

Tak się złożyło, że pogrzeb minął niemal bez udziału mojej świadomości. Czułam rękę Betsy pod łokciem; byłam taka słaba, że musiałam przymknąć oczy, i gdyby nie Betsy, pewnie bym upadła. Odzyskałam siły natychmiast, gdy otwarto drzwi małej kaplicy i jej wnętrze zalało światło dnia. Potem cieszyłam się, że przyszło do mnie trzydzieści osób, z których znałam tylko kilkoro. Dziękowałam wszystkim wylewnie, zachęcałam do jedzenia, do picia. Nie miałam ochoty znów zostać sama. Zobaczyłam stojącego w rogu pokoju Edmunda, widziałam, jak odsunął się od ściany, kiedy podeszła do niego Betsy z półmiskiem kanapek z wędzonym łososem. Zobaczyłam, jak jego zwykły, uprzejmy uśmiech zamienia się w serdeczny, pełen zachwytu. Zobaczyłam też, jak oczy Betsy się rozszerzają, a delikatny rumieniec oblewa jej policzki. Moją uwagę zajęli wychodzący goście. Kiedy ponownie poszukałam wzrokiem tych dwoje, było już za późno. Wyszli.

Nazajutrz poszłam na Britten Street, weszłam do mieszkania i położyłam na stole swój klucz od drzwi. W ten sposób uniknęliśmy konieczności jakichkolwiek wyjaśnień.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dotarłaś do domu bez kłopotów? - spytałam tak obojętnym tonem, na jaki tylko mogłam się zdobyć.

- O tak. Podwiózł mnie ten sympatyczny pan Fairlie.

Nie musiałam pytać o nic więcej. Bo przecież już wiedziałam, co powie. Poza tym jakoś trudno mi było podtrzymać tę rozmowę. Czułam się też dziwnie rozkojarzona, jakby w powietrzu było za mało tlenu. Siedziałam w mieszkaniu Betsy, ale nawet nie pamiętałam, jak się tam znalazłam. Zaprosiła mnie na kawę, więc przyszedłam, chociaż kusiło mnie, żeby odrzucić to zaproszenie. Właściwie nie miałam żadnego powodu, żeby się tak zachować. Tak naprawdę chciałam zostać w domu, a najlepiej w łóżku. Pragnęłam, żeby otuliła mnie nadchodząca zima, tak by nikt mnie nie widział. Odruchowo chciałam schować się przed światem.

- Jest bardzo miły, prawda? - powiedziała Betsy. - Łatwo się z nim rozmawia.

Mnie nigdy nie było łatwo z nim rozmawiać. Już prędzej słuchać albo raczej odgadywać to, czego nie mówił, a co dotyczyło spraw, których byłam ciekawa i które sama musiałam sobie dopowiadać, jak te szczegóły na temat jego życia rodzinnego. Teraz w moich myślach automa-

tycznie pojawiły się tamte kuchnie w suterrenach, tamte wyobrażone przeze mnie sceny z życia innych, ubarwione szczegółami, które znajdowałam w książkach i które zapadły we mnie głębiej niż pamięć o tych codziennych wysiłkach, po części zresztą udanych, stworzenia domowej atmosfery sobie i Digby'emu. Życie tamtych ludzi wydawało się bardziej spełnione niż moje, jakby biegło w zupełnie innym wymiarze, do którego nie miałam bezpośredniego dostępu.

- O czym rozmawialiście? - rzuciłam od niechcienia.

- Cóż, pytał mnie, skąd cię znam, więc mu powiedziałam, że chodziłyśmy razem do szkoły. Potem spytał, co robiłam po skończeniu szkoły, i tak zeszliśmy na temat Paryża.

- Powiedziałaś mu o Danielu?

- Ależ nie, nie powiedziałam. - Wyglądała na zaskoczoną. - Uważasz, że powinnam?

- Skąd. Oczywiście, że nie.

- Chodzi o to, że cała ta historia wydaje się teraz trochę nierealna. Jakby wydarzyła się bardzo dawno temu. Jakbyśmy oboje byli dziećmi. Źle się z tym czułam. I nie bardzo rozumiem, jak mogłam się wmanewrować w tego rodzaju... przygodę. Tak naprawdę nie jestem romantyczką. Chyba zawsze chciałam się ustatkować. Czasami mam ochotę przedyskutować to z mężczyzną. No wiesz, poznać męski punkt widzenia.

W tamtej chwili nie wyczuwałam żadnego zagrożenia ze strony Betsy. Ktoś tak naiwny, tak szczery nie mógł przecież pociągać mężczyzny takiego jak Edmund, który po mistrzowsku umiał studzić pragnienie pełnej otwartości. Na pewno między nią a Danielem istniało prawdziwe uczucie, ale było to rzeczywiście uczucie dwojga nastolatków, nawet dzieci. W tym sensie było ono szczere, ale tylko w tym sensie.

- Spytał mnie o plany - ciągnęła pogodnie. - Powiedziałam, że szukam jakiegoś zajęcia na pół etatu, nawet jako wolontariuszka, a on odparł, że chyba będzie mógł mi pomóc. Najwyraźniej jego żona szuka asystentki.

Jak wiele kobiet jej pokroju Constance Fairlie poświęcała nieco czasu na działalność dobroczynną, związała się z jakąś arystokratyczną organizacją religijną, co było w jej przypadku dość zaskakujące, i zajmowała pomocą dla bezdomnych. Wspominano o tym podczas kolacji, na których bywałam z Digbym, i wówczas wzbudzała we mnie szacunek. Jej zadaniem w tym przedsięwzięciu, jak się przekonałam, było wyciąganie pieniędzy od zamożnych przyjaciół; wydawała więc lub wspierała finansowo różnego rodzaju przyjęcia, podczas których jakaś znacząca osoba wygłaszała krótkie przemówienie. Ta skuteczna i zarazem nie wymagająca większego wysiłku metoda czynienia dobra doskonale pasowała do Constance, która stawiała

na pierwszym miejscu sprawy dziwne i dla mnie niepojęte. Mogłam zrozumieć, że jej zjadliwy humor, być może współgrający z przekonaniami religijnymi, dodawał skuteczności w tej dziedzinie. Wątpię, by kiedykolwiek znalazła się w pobliżu swoich bezdomnych podopiecznych; to zadanie zostawiała innym. Natomiast w roli obytej w świecie filantropki na pewno się sprawdziła. Miała niezbędną do takiej działalności pozycję i związane z nią atrybuty: elegancki dom, odpowiedni na tego typu zgromadzenia, oraz towarzyskiego męża, który przy okazji pożytecznej pracy żony zyskiwał jeszcze na prestiżu.

- Co miałybyś robić? - spytałam Betsy.

- Nie mam pojęcia. Ale miło byłoby pracować w prywatnym domu. To znaczy ona kieruje tym wszystkim z domu. Nie musiałabym chodzić do biura czy gdziekolwiek. Oczywiście byłabym wolontariuszką. I wyrwałabym się z tego mieszkania. - Skrzywiła się. - Bo to jest takie mieszkanie, z którego człowiek chce się wyrwać, prawda? To właśnie powiedziałam Edmundowi, panu Fairlie. - Zarumieniła się lekko. - Powiedział, że mam się do niego zwracać po imieniu.

- Czemu nie? - rzuciłam. - I kiedy zaczynasz tę pracę?

- Cóż, dopiero za jakiś czas, bo oni zamierzają się przeprowadzić. Szukają domu, czegoś nieco mniejszego, jak rozumiem. Więc powiedział, że da mi znać. Dałam mu numer telefonu.

Pozostało mi tylko podziwiać sposób, w jaki to przeprowadzono. Już w tym momencie przeczuwałam, czego przyjdzie mi być świadkiem, bo nie miałam wątpliwości, że Betsy wnieśie do domostwa Fairliech cały swój zapał, niezłomną lojalność, która uczyni z niej idealną partnerkę, zresztą nie pierwszy raz. Wiedziałam również, że i Edmund, i Constance okażą się mistrzami w studzeniu tego zapału, a raczej tych jego elementów, które dla nich będą nieużyteczne. Wiedziałam, jak myślą tacy ludzie: sprawujemy kontrolę i w żadnym razie nie zamierzamy z tego zrezygnować. Rozumiałam to, bo sama próbowałam taka być i przez jakiś czas to mi się udawało. Nigdy jednak tak dobrze jak Edmundowi, który zawsze potrafił narzucić mi swoją wolę. Jeśli zaś chodzi o Constance, którą mało znałam, a której okrucieństwo zdawało się wynikać z ogromnej pewności siebie, to doszłam do wniosku, że może pod tym względem przewyższać własnego męża. Czy przez lata nie nabyła dość wprawy w zniechęcaniu innych kobiet, które pociągał jej atrakcyjny małżonek, i czy nie była mistrzynią w tej właśnie dziedzinie - w studzeniu niewłaściwie skierowanego entuzjazmu jedną lekko rzuconą, jadowitą uwagą? Edmund z pewnością mógł na niej polegać, że zrobi to za niego. Taka zmowa pomiędzy partnerami, w istocie współnikami, mogła z zewnątrz wydawać się odrażająca albo godna za-

zdrości, zależnie od tego, z jakiej pozycji się na nią patrzyło. Słabo mi się robiło na myśl o klęskach spowodowanych zadanymi ciosami. Chyba instynkt samozachowawczy podpowiedział mi, że bym się wyplątała z tego układu, zanim spotka mnie podobna klęska, którą w jakiś czysto teoretyczny sposób przeczuwałam. Edmund chronił się za swoją odpornością na wyrzuty sumienia - chociaż to byłoby za proste: on był całkowicie odporny na uczucie żalu. On i Constance byli potworami w tym sensie, że odczuwali jedynie podstawowe emocje, ograniczone do zaspokajania pragnień i ochrony siebie samych. Rozumiałam, dlaczego Constance mogła pociągać religia. Z biegiem lat uświadomiła sobie własną oziębłość, próbowała się od niej wyzwolić, tak jakby prawdziwe ciepło było darem kogoś innego, czy może Kogoś Innego. Pozbyła się swojego brzemienia, uczyniwszy je sprawą tego Innego, i żwawo wróciła do swoich rozlicznych obowiązków - jednym z nich było utrzymywanie małżeńskiej równowagi, na sposób zrozumiwały dla nich obojga.

Nie miałam najmniejszej ochoty patrzeć, jak Betsy podąża drogą, którą jej wyznaczają, ani nie zamierzałam odgrywać w tym żadnej roli. Lepiej już wieść nudną egzystencję i wyrzucić z pamięci tamto uzależnienie. Znając jednak Edmunda i jego naganne postępowanie, mogłam być spokojna. Był zbyt doświadczony, by angażować się w związek z kobietą pokroju Betsy. Prawdopodobnie w ogóle nie znał kobiet takich jak ona i uważał, że wszystkie potrafią o siebie zadbać, jak głośno deklarowały feministki z tamtych lat. Takie właśnie kobiety były w jego typie, widział w nich równorzędne partnerki w tej wojnie płci. Może kiedy był młody i o tych sprawach nie mówiło się tak jasno, uznał, że seks i miłość to jedno, w każdym razie w swoje dorosłe życie wniósł niewiele uczuć. Kobieta taka jak Betsy, z jej pragnieniem, by stać się częścią rodziny, wydawałaby mu się po prostu dziwaczna.

Czyż kobiety w latach osiemdziesiątych nie goniły za własnymi sprawami, z wielką gorliwością wprowadzając w życie plany zawłaszczenia obszarów wcześniej zarezerwowanych dla mężczyzn? Czy nie było czegoś napoleońskiego w tej nowej kobiecie, czegoś podniecającego i prowokującego jednocześnie? Taka Betsy, której jedynym pragnieniem było złożyć swoje życie u stóp mężczyzny, musiałaby być postrzegana jako przeżytek, wręcz wybryk natury zarówno przez Edmunda, jak i każdego innego mężczyznę gotowego wybrać wojnę, a nie miłość.

Musiałam jednak przyznać, że otacza ją pewna aura. I chociaż ja wiedziałam, że jest to aura dobroci, to inni mogli w niej widzieć pożądanie, namiętność jedynie w tym najbardziej elementarnym sensie, podczas gdy w rzeczywistości miała nieograniczony zasięg. Ten wyraz współczucia widoczny w szeroko otwartych oczach, ta potrzeba, by posunąć się za daleko, ten

brak umiaru, którego nie znosiłam w przeszłości, kiedy jej nadgorliwość była taka męcząca, wszystko to zostało nieco złagodzone przez paryskie doświadczenia. Teraz nie przytłaczała już innych swoim entuzjazmem, wreszcie potrafiła słuchać i wypowiadać się, jak każdy rozsądny dorosły. Mimo to wciąż mogła przedrzeć się na zewnątrz, wyrwać z niej ta dziewczyna, która wygłaszała tragiczne monologi, jakby tylko one mogły wyrazić znaczenie i siłę jej tęsknot. Jaka tajemniczą stratę musiała ponieść, zanim ją poznałam, być może nawet zanim ona poznała samą siebie? To, co wiedziałam, choć mówiło wiele, było niewystarczające: skompromitowany ojciec, ciotka stara panna, której wyrzeczenia widoczne były w bladych wargach i skromnym ubiorze, z politowaniem wyszydzanym przez moją matkę... Postać kluczowa - matka Betsy - nie istniała. Nigdy o niej nie opowiadała, albo dlatego, że było to dla niej zbyt bolesne, albo dlatego, że w jej domu spuszczone na tę sprawę zasłone. Sądziłam, że raczej to drugie. Tak oto brak wyjaśnienia okoliczności zniknięcia ważnego członka rodziny pozostał na zawsze niezręcznością, niemal towarzyskim uchybieniem, i tylko dzięki lojalności Betsy ta szczątkowa rodzina przypominała rodzinę z prawdziwego zdarzenia. Możliwe jednak, że w matce była jakaś skaza, że naznaczona była jakimś piętnem, przez co umarła tak młodo, w rezultacie tajemniczych „kompliakcji”, które Betsy wspominała mgliście i z pewnym zażenowaniem. Być może matka została z jakiegoś powodu usunięta z pamięci i z serc; a może - cóż za okropne przypuszczenie - ona też była ofiarą diagnostycznej niekompetencji własnego męża. Nie znałam żadnych szczegółów, ale na pewno było to istotne. Betsy pragnęła należeć do prawdziwej rodziny, to była jej podstawowa potrzeba. Skrywała ją pod maską beztroski, dokładając starań, by ulżyć ciotce, i z niecierpliwością myśląc o swojej przyszłości wypełnionej pracą i trudem, nie licząc na niczyje wsparcie. Bez wątpienia panna Milsom robiła, co mogła, od początku jednak przytłaczał ją ciężar obowiązku, który nie całkiem był jej wyborem. Może była świadoma własnej niekompetencji; w spadku mogła zostawić Betsy nie tylko pieniądze, ale również milczące przesłanie, że w życiu trzeba dokonywać wyborów, choć ona sama wiedziała o tym niewiele.

A potem to przypadkowe zderzenie sztuki wysokiej z niską, Racine'a z Hollywoodem, wersy wyuczone i wyrecytowane obojętnym przyjaciółkom i koleżankom z klasy i kino w sobotni wieczór, i zagadkowe zachowanie tych, którzy żyli według innych reguł, którzy wiedzieli, czym jest wyrachowanie i granie na zwłokę, i jak pokonać rywali! Jedno musiało walczyć z drugim, jednak przesłanie obu było takie samo: miłość jest najważniejszą sprawą w życiu mężczyzn i kobiet, szczególnie kobiet. Odrzucała zapewne miłosne sztuczki stosowane przez

gwiazdy kina i stawiała po stronie tragicznej szczerości tych innych aktorów, tych heroicznym uczestników odwiecznej gry miłości i straty. „*Dans un mois, dans un an, comment souffrirons-nous/Que tant de mers me séparent de vous/Que le jour recommence et que le jour finisse/Sans que jamais Titus puisse voir Bérénice...*” Przyjęła takie zachowanie jako wzorzec, nie wiedząc albo nie dbając o to, że to wzorzec przestarzały. Święcie wierzyła, że cnota tych archetypowych postaci musi znaleźć odpowiednik w uczuciach ludzi z krwi i kości i że wystarczy zachować tę wiarę, by sięgnąć ideału. To przekonanie rozjarzyło jej piękne oczy osobliwym blaskiem, jak gdyby w każdej chwili mógł się zmaterializować jej własny bohater, żeby poprowadzić ją ku wspólnej świetlanej przyszłości.

To prawda, że ten idealizm wpływał korzystnie na wygląd Betsy. Jej wyczekujący wyraz twarzy mógł pociągać, ale też mógł być opacznie rozumiany. Edmund zapewne był rozbawiony i poruszony. Miał dość rozumu, by nie zrobić fałszywego kroku. Najpierw musiał się upewnić, że ona rozumie, jaka jest stawka, i nawet wówczas mógłby się jeszcze wycofać. Na tym etapie oddałby ją Constance, co Betsy przyjęłaby ze skwapliwością, gdyby wciąż zachowywała się w naturalny dla siebie sposób. Gdyby jednak zareagowała jak zwykła kobieta, mogłaby się okazać uciążliwa, a wówczas Constance odegrałaby przypisaną sobie rolę i delikatnie, albo wcale nie delikatnie, pozbyła się jej. Chyba wreszcie pojęłam straszliwą moc tej pary; zrozumiałam też, że mnie udało się wymknąć jedynie szczęśliwym trafem. Ale czy rzeczywiście szczęśliwym? Z własnej woli postanowiłam odejść i tym samym pozbawiłam się źródła radości, której teraz potrzebowałam bardziej niż kiedykolwiek. Ogarnęła mnie bierność i apatia, jakby odłączono mnie od jakiejś podtrzymującej życie aparatury, pozostawiając niemal w stanie śpiączki. Nie miałam nic lepszego do roboty, jak siedzieć w tym pokoju i być niemym świadkiem zarania radosnego entuzjazmu innej kobiety, a przecież dzieliło nas coś więcej niż tylko doświadczenie, nawet jeśli wiązało się ono z tym samym mężczyzną. Jakieś poczucie przyzwoitości nakazywało mi milczeć, choć dla mnie samej byłoby lepiej, gdybym ją ostrzegła. Nigdy nie miałam wątpliwości co do obłudy Edmunda i nauczyłam się ją rozumieć, nawet się z nią pogodziłam, ale wiedziałam, że Betsy nie ma pojęcia o istnieniu tej cechy ludzkiego charakteru. Jej lojalność wobec Daniela na pewno wynikała z idealizmu; zwyczajna kobieta od razu rozpoznałaby w nim fantazję i omijała go z daleka. Dlatego musiałam podejść z szacunkiem do tego, co przy najbardziej wyrozumiałej interpretacji można było uznać za niezwykłą, bardzo rzadką u dojrzałej kobiety formę niewinności. To smutne, że dorastając, zwykle tę cechę tracimy, albo co gorsza, może ona sprowadzić nas na manowce, czy, co najgorsze, stać się przedmiotem drwin i krytyki jako

wada charakteru. Dobroć nie jest cnotą, jeśli opiera się na niewiedzy, a ja tymczasem widziałam w tej oczywistej przemianie Betsy (czy aby na pewno rzeczywistej?), będącej reakcją na mimochodem wyświadczoną przez Edmunda uprzejmość, że gotowa jest oddać do jego dyspozycji cały swój czas oraz przyjąć jego propozycje w nadziei, że uzyska to poczucie przynależności, o jakie zawsze zabiegała.

On w jej reakcji mógł dostrzec coś zupełnie innego, mógł wyczuć zapach, który chętnie by wykorzystał. Nie zawracałby sobie głowy jej ideałami, był wystarczająco sprytny, żeby je obejść. Najgorsze było to, że mógł przecież w jakiś niezrozumiały sposób znaleźć się pod jej urokiem, że pozwolił sobie na więcej uczucia niż powinien, a nawet trochę się w niej zakochał. W tym jednak miejscu, w tym punkcie krytycznym, trzeźwość i pragmatyzm podpowiadały mi, że on rozpoznałby związane z tym ryzyko. Taka właśnie była różnica między mną a Betsy: ja wolałam znać prawdę, choćby ponurą, i nawet jeśli nie miałam silnego charakteru, to i tak wolałam stawiać czoło faktom, gdy tymczasem Betsy mogłaby być postacią stworzoną przez Dickensa. Ona była Małą Dorrit, której bezgraniczna dobroć, nawet na kartach powieści, staje się dość męcząca.

Nasza rozmowa rwała się, ale chyba tylko ja zdawałam sobie sprawę z tej zapadającej co chwilę ciszy. Dzięki ostatnim szczęśliwym wydarzeniom Betsy odzyskała nieco pewności i teraz dostrzegłam, że w jakiś przedziwny sposób nasze role się odwróciły. Było to na pewno dziełem przypadku i nie podejrzewałam, żeby mogła świadomie porównywać możliwości, jakimi każda z nas dysponowała. Mimo to nie próbowałam ukrywać przed nią, ani przed sobą samą, że doszłam już do końca pewnej konkretnej drogi: owdowiałam i należało założyć, że moje życie uczuciowe dobiegło kresu. Było to tak oczywiste, że podważanie tego faktu nie miało sensu. Wszystko, czego mogłam oczekiwać od przyszłości, zostało teraz usunięte w cień przez sam fakt mojego osamotnienia. Nie miałam odwagi, by podejmować nowe inicjatywy. Moje niedawne postanowienie o powrocie do Paryża nie było przecież prawdziwą decyzją, bo i tak nie byłam zdolna wprowadzić go w czyn, a poza tym, co ja tam niby miałam robić? Jeśli bym miała wieść żywot wygnańca, to o wiele prościej było to robić tu, na miejscu, w otoczeniu znanych przedmiotów, gdzie moja pozycja była jednoznaczna. Zostałam poddana kolejnemu rytuałowi przejścia, od doświadczeń nierozzerwalnie związanych z młodością do przecucia zbliżającej się starości, kiedy człowiek lęka się, by nie naruszono jego zwyczajów i nawyków. Przyczyną tego nowego poczucia bezbronności była nie tylko śmierć Digby'ego, ale i utrata przyjemności. Może to nielojalne, ale w równym stopniu opłakiwałam Digby'ego i Edmunda.

Najwyraźniej moim przeznaczeniem było odczuwać stratę ich obu i wiedziałam, że jeśli nie będę się kontrolować, to zacznę oplakiwać samą siebie.

Na pewno czułam się zubożona, i to o wiele bardziej, niżbym kiedykolwiek przypuszczała. Nawet w Paryżu zachowałam pewną nienaruszalność. W Londynie mogłabym bezwiednie pogodzić się z losem, co pomimo swoich rozlicznych frustracji zrobiła moja matka. Wiedziałam, że trzeba będzie się schronić za fasadą godności, ale nie na wiele się to zda, bo i tak dotkliwie odczuję różnicę między swoim losem a udanym życiem innych. Będę z pewnością użyteczna dla nich jako powierniczka; nie znałam sposobu, żeby uniknąć tej niewdzięcznej roli. Nigdy nie umiałabym wykrzesać z siebie zapалу, z jakim Betsy podchodziła do tego, że już wkrótce będzie użyteczna; teraz właśnie obmyślano dla niej taką przyszłość. Przed sobą widziałam jedynie bezczynność. Dla mnie niczego nie zaplanowano; to, co zrobię albo czego nie zrobię, będzie zależało wyłącznie ode mnie. Na razie nie miałam dość odwagi, by w jakikolwiek sposób zmienić tę sytuację. Współczucie, jakie widziałam w spojrzeniu Betsy, nie na wiele się zdało. Współczucie było bowiem ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam.

- Zapuściłaś włosy - rzuciłam w końcu, żeby przerwać ciszę. Przez dłuższą chwilę w milczeniu popijałyśmy kawę i jadły ciasteczka.

- Och, chciałam mieć z nimi spokój. Podoba ci się?

- Ładnie wyglądasz z długimi włosami. Prawdę mówiąc, ładniej niż z krótkimi.

Związała je z tyłu czarną wstążką - to odsłonięcie twarzy dodawało jej uroku. W jej zwinnych ruchach, w niezwykłej dla niej pewności siebie wciąż wyczuwało się, że niedawno wróciła z zagranicy. Widziałam, że jest bardzo atrakcyjna i że czas utajenia bezpowrotnie minął.

- To naprawdę szczęśliwy traf, że się poznaliśmy. Choć szkoda, że w tak smutnych okolicznościach.

- Masz na myśli Edmunda?

- Tak. Dobrze go znasz?

- Był przyjacielem Digby'ego. - Podniosłam się z niewygodnego fotela. - Muszę już iść.

- Odprowadzę cię kawałek. Chciałabym wiedzieć, jak się naprawdę czujesz. Wierzyć mi się nie chce, że tyle gadałam o sobie. - Parsknęła śmiechem, jakby dla podkreślenia swoich słów. - Wiesz, bardzo bym chciała, żebyśmy utrzymywały ze sobą kontakt. Przecież przyjaźniłyśmy się przez większość życia. A teraz, kiedy jestem tak blisko... Musisz pozwolić mi sobie pomóc. Jeśli poczujesz... no wiesz. Jeśli będziesz miała ochotę porozmawiać.

Jestem przekonana, że miała jak najlepsze intencje. Mimo to znów dały o sobie znać różnice między nami. Ja należałam do przeszłości. Nagle i gwałtownie zapragnęłam odzyskać Edmunda. Ale niemal równocześnie zrozumiałam, że już zmarnowałam swoją szansę, a co gorsza, że poddałam się bez walki.

Wyszliśmy z tego nieznośnie mrocznego mieszkania prosto w kolejny olśniewający poranek. Jesień wciąż jeszcze była przejmująco piękna: znakomita pożywka dla dziennikarza z poetyckim zacięciem. Zaczęłam bardzo uważnie czytać gazety, koncentrując się głównie na faktach, i ze zdziwieniem odkryłam, w jak melancholijnym tonie pisze się o tej porze roku. Co dzień dawało mi to chwilę przyjemności, ponieważ pogoda jest demokratyczna i każdy może w jej sprawie zabrać głos. Na pewno była to jakaś odmiana po „Business News” - czytałam je równie uważnie, żeby orientować się w mojej sytuacji finansowej, która, na ile byłam w stanie pojąć, przedstawiała się nieźle. Gdybym zechciała, mogłabym wreszcie sama wykazać się hojnością, a nie tylko darzyć szacunkiem tych, którzy to robią od niechcienia w sposób zupełnie mi obcy. Nie widziałam potrzeby, żeby kupować nieruchomości, nie miałam też ochoty na posiadanie niczego, co musiałabym dzielić z kimś jeszcze. Nie zamierzałam też utrzymywać różnych domów dla różnych celów. Z całej tej sprawy właśnie to najbardziej mnie raziło. To mieszkanie przy Britten Street było symbolem wyrachowania, do jakiego chyba tylko mężczyzna jest zdolny. Teraz zrozumiałam, jak przewrotny był urok tego miejsca. Zresztą bardziej brakowało mi ogrodu i spędzanych w nim popołudni. To była przyjemność, której nie musiałam się wstydić. Nie sądziłam, bym jeszcze kiedykolwiek tam poszła i usiadła na ławce.

Ten konkretny ranek wydawał się mi ważniejszy od innych, jakby wyznaczał upadek jednego życia, a odrodzenie się innego, jakbym kierowała Betsy ku jaśniejszej przyszłości niż ta, którą sama mogłaby dla siebie zaplanować. Ogarnęłam wzrokiem plamę słońca na ceglany murze, późne róże w kubelku przed sklepem warzywnym, namokły niedopałek cygara leżący na chodniku. To był teraz ten świat, który mogłam dzielić z innymi, bez żadnych ukrytych pobudek, wolna od osobistych trosk. Betsy szła obok mnie, spokojna i milcząca, jakby pogoda na nią również wywierała dobroczynny wpływ, kiedy jednak na nią spojrzałam, zobaczyłam, że wciąż jest zarumieniona. Milczałam uporczywie. A przecież powinnam była przeprowadzić rzeczową rozmowę w interesie nas obu. Nie zrobiłam tego, bo chociaż obie akurat milczaliśmy i chociaż istniała sprawa do omówienia, ona nie bardzo wyczuwała, co to za sprawa. Jeśli sądziła, że znałam Edmunda wcześniej, to na pewno zakładała kontakty natury towarzyskiej:

znałam go jako kobieta zameżna i to wykluczało wszelką intymność. Ona miała uzasadnione powody, żeby mi współczuć, a ja nie miałam najmniejszej ochoty tego uczucia przyjmować.

Gdyby w tamtym momencie pojawił się przede mną Edmund, odesłałabym go, jak nigdy wcześniej nie potrafiłam tego zrobić. Niechby przeżywał jeszcze raz te złożone uczucia, jakie zapewne go ogarnęły, kiedy siedział w mieszkaniu Betsy po pogrzebie starego przyjaciela. Możliwe, że odegrały tu swoją rolę odczucia wywołane pogrzebem. Niedawno zmarła jego matka; może wreszcie uświadomił sobie istotę śmiertelności. Jeśli jeszcze o mnie myślał, to również musiało być nieprzyjemne. Byłam jednak przekonana, że już o mnie nie myśli. To, że udało mi się uniknąć męczącej dyskusji z nim, wcale nie napawało mnie dumą. Jakie mogłabym podać powody zakończenia tego romansu? Żadnych, których by nie znał i których by nie uważał za nieistotne. Przestałam uważać, że sama kierowałam swoim postępowaniem, czułam, jakbyśmy oboje podjęli decyzję o tym naturalnym rozwiązaniu. Na pewno z uznaniem pokiwał głową, doceniając elegancję mojego gestu, jakim było pozostawienie klucza, i więcej już o tym nie myślał.

- Dasz mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała? - spytała Betsy. - Musisz być przecież wykończona. Chętnie zrobię ci zakupy...

- Przecież nie jestem chora.

- Oczywiście, że nie. Wiem jednak, że takie przeżycia dają się we znaki. Dobrze się odżywasz? Zaprosiłabym cię na lunch, ale muszę pójść po tego człowieka od centralnego ogrzewania. Pewnie zauważyłaś, jak u mnie zimno.

Kazałam jej iść, wiedząc, że tego właśnie chce. Czułam, że ogrzewanie to tylko wymówka. Kiedy jednak doszłam do końca ulicy i odwróciłam się, zobaczyłam, że ona zrobiła to samo. I kiedy tak obie do siebie machałyśmy, z niewątpliwym, acz zaskakującym zapałem, dokładnie w tym momencie zrozumiałam, że wciąż jesteśmy przyjaciółkami i że właśnie ta przyjaźń, choć dziwaczna, uratuje nas obie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Siedziałyśmy w restauracji u Petera Jonesa, po bezowocnym poranku spędzonym na porównywaniu cen i rozważaniu zalet jednej kanapy w porównaniu z drugą. Owładnęło mną uczucie, że przegrałam z atmosferą tego miejsca, najwyraźniej przemawiającą do tych kobiet, które wiedzą, czego chcą, i na dodatek doszłam do wniosku, że Betsy przyjęła moje zaproszenie, sądząc, że to ona wyświadcza mi uprzejmość, a nie ja jej. Od dzieciństwa wpajano mi, że zobowiązań należy koniecznie dotrzymywać, i w nagłym przypływie solidarności zaproponowałam tę wyprawę, żeby Betsy mogła poczuć się nieco swobodniej w tym niezbyt swobodnym świecie. Teraz zrozumiałam, że niepotrzebnie się trudziłam, bo Betsy z uśmiechem odrzucała wszelkie moje sugestie, do których usiłowałam ją przekonać, jakbym była jej nieistniejącą matką albo jakąś starszą krewną. To ja wybierałam przedmioty, które uważałam, że są jej potrzebne, krzesła, stół, lampy, a ona je podziwiała, nie przestając się uśmiechać. Mówiła, że oddała na przechowanie mnóstwo mebli, i nie spieszy się, by je wymieniać, chyba że znajdzie się ktoś, kto zechce jej poradzić, co z nimi zrobić, lub po prostu uwolni ją od nich.

Restauracja nie przywróciła mi dobrego nastroju, ponieważ wypełniona była kobietami tego samego gatunku, jaki ja zaczynałam przypominać. Zastanawiałam się, dlaczego nie wybrałyśmy miejsca, w którym bywają mężczyźni, powiedzmy Covent Garden, ale doszłam do wniosku, że wcale nie byłybyśmy tam mile widziane, i pewnie nie czułybyśmy się tam swobodnie. Nawet w epoce feminizmu kobiety nie chodziły do niektórych restauracji same. Nam przeznaczono uprzejme kelnerki i bezpieczne pożywienie, ale przynajmniej nikt nie patrzył na nas z wyrzutem, co było bardzo pocieszające, skoro mogłyśmy liczyć jedynie na asekuralną ochronę, jaką stanowił dom towarowy około południa w zwykły dzień. O tej porze wszyscy poważni ludzie są w pracy i porozumiewają się hermetycznym żargonem zrozumiałym jedynie dla współpracowników, korzystają z bardziej naturalnej ochrony niż my, choć my z kolei cieszymy się swobodą podejmowania decyzji. Tymczasem jedynie Betsy zdawała się robić użytek z tej swobody: wyglądała przez okno, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie, jakby w ten sposób podkreślała dystans dzielący ją od tamtych kobiet, którym, jako osoba mająca czas ściśle wypełniony zajęciami, szczerze współczuła. Miała właśnie wolny dzień i dotrzymywała mi towarzystwa. Taki wolny dzień w pewnym sensie niewiele dla niej znaczył i nic ważnego nie mogło się w nim wydarzyć. Liczyły się tylko dni spędzone w siedzibie Fairliech, wypełnione doniosłymi wydarzeniami i godnymi rozważania sprawami.

Nie widziałyśmy się od kilku tygodni i z niepokojem zauważyłam, że już zdążyła całkowicie wtopić się w ich dom. Mogłam to zrozumieć: sama pragnęłam podobnej zażyłości, ale miałam dość rozumu, żeby trzymać się z boku. Mój sceptycyzm napawał mnie co prawda smutkiem, ale dawał mi też przewagę, jaką posiada człowiek stojący na zewnątrz. Betsy natomiast szukała takiej zażyłości wszędzie i bez wątpienia przekonała samą siebie, jak zawsze zresztą, że ją znalazła. Te jej skłonności wydawały mi się wyjątkowo niebezpieczne, chociaż mogłam zrozumieć, że są tak silne, iż poddawanie się im musi przynosić Betsy jakąś satysfakcję. Poza tym miałam coraz mniejsze zaufanie do własnego osądu. Przecież starałam się nie stracić tej resztki przyzwoitości, która pozwala człowiekowi zachować twarz, i proszę, gdzie mnie to zaprowadziło. Byłam samotna, w niczym nie znajdowałam pociechy i z coraz większą niechęcią myślałam o swojej niezależności. Nawet ja potrafiłam dostrzec zalety sytuacji Betsy, te pogaduszki, ten zgiełk rodzinnego życia; tamten dom mógł ofiarować jej dużo więcej niż własne przeładowane meblami mieszkanie. Zaczęła się zachowywać jak osoba, która objęła coś w posiadanie - ten sposób bycia świadomie lub nie przyjmują ci, którzy wzbogacili się dzięki spadkowi lub małżeństwu. Była radośnie onieśmielona, jakby brała udział w jakiejś zabawie, którą przygotowałam specjalnie dla niej. Teraz to ja byłam w niekorzystnej sytuacji.

Postanowiłam nie zadawać pytań. Brakowało mi rozmów na różne abstrakcyjne tematy, ale takie zawsze okazywały się za trudne do przeprowadzenia. Nie byłam pewna, czy skłonność do stosowania uników i obracania wszystkiego w żart jest cechą typowo angielską, w każdym razie brakowało mi tych zasłyszanych w Paryżu rozmów, które tak mi się podobały, tej chęci do dyskusowania o sprawach podstawowych i pasji, z jaką przedstawiano argumenty. Na przykład bardzo chciałam przedyskutować problem dobra i zła albo jakichś innych ważnych teraz kwestii, chociaż restauracja u Petera Jonesa nie była odpowiednim do tego miejscem. Chciałam wiedzieć, dlaczego nie można w tej sprawie polegać na Biblii. Mówi nam ona, że występni uciekają, choć nikt ich nie goni, podczas gdy w innym kontekście powiada, że pyszną się i rozpierają niczym cedr zielony. Łatwo ich było sobie wyobrazić, jak pyszniąc się, pomykają do kurortu - na Capri albo do Cannes - gdzie odpowiednio o nich zadbają. To właśnie wiązało się z moim dawnym, silnym przeświadczeniem, jakoby czas spędzony na wypełnianiu obowiązków był czasem zmarnowanym, a jeśli nawet nie zmarnowanym, to nie dającym pełni radości, ale z kim miałam o tym porozmawiać? Na pewno nie z Betsy, która potrafiła rozpoznać i objąć myślą jedynie dobro i której kontakt ze złem był tak szczątkowy, że na nic by się w tej rozmowie nie przydał. Nawet w sytuacji w najwyższym stopniu dwuznacznej, o którą zresztą nie zamie-

rzałam wypytywać, zachowywałyby absolutną niewinność i przyznawała wszystkim, siebie samej nie wyłączając, wyższe i altruistyczne motywy.

Blask, jakim emanowała, rzucał się w oczy i wyróżniał ją pośród tego mieszczańskiego otoczenia, zauważyłam też ten charakterystyczny dla osób mających szczęście i powodzenie brak wrażliwości na temperaturę. Pogoda się zepsuła, niebo było przez cały dzień zachmurzone, powietrze mgliste i już zaczynałam dygotać z zimna. Tymczasem Betsy miała na sobie jeden z tych paryskich kostiumików i wydawało się, że w ogóle nie czuje chłodu. Kiedy siadałyśmy przy stoliku, kilka kobiet obrzuciło ją taksującym spojrzeniem, ale najwyraźniej je rozbroił jej bezpretensjonalny uśmiech. Betsy bowiem, obdarzona nadmiarem dobrej woli, była przyjaciółką wszystkich albo przynajmniej gotowa była nią zostać. Pomyślałam, że taka oczywista cnota, jeśli sama w sobie nie jest nagrodą, to na pewno jest zbroją, która w każdych okolicznościach może stanowić ochronę. Drapieżcy jej nie zagrażają, bo ona nie zrozumie ich zamiarów. Na pewno zasługiwała na nagrodę w postaci mężczyzny o równie nieskazitelnym charakterze, legendarnego rycerza w lśniącej zbroi, w którego istnienie, pomimo swoich doświadczeń, z pewnością mocno wierzyła. A jeśli taki ktoś nie istniał, ona gotowa była go wymyślić, jak to niewątpliwie zrobiła w przypadku Daniela. Jeśli zaś chodzi o dalsze rozczarowania, kiedy już się pojawią (a pojawią się na pewno), będzie musiała sobie radzić z nimi najlepiej, jak potrafi. W tym względzie nie była lepiej chroniona od żadnej innej kobiety, a może i gorzej. I nie uważałam, że miałam swój udział w tym nieuniknionym fiasku. Musiałam się borykać z własnym smutkiem i ten fakt minimalizował moje współczucie. A jeśli powody tego smutku nie zostały ujawnione, to i lepiej. Nasza godność nawet w najlepszych momentach jest krucha. Tym bardziej nie należy jej nękać.

- Czym się zajmujesz w tej swojej pracy? - spytałam. - To znaczy, co tam jest do zrobienia?

- Listy. Pilnuję, żeby były aktualne.

- Listy?

- Spisy ofiarodawców, faktycznych i potencjalnych. Jest tyle organizacji charytatywnych i wszystkie walczą o fundusze, więc trzeba zdążyć przed nimi. Na szczęście Constance jest w bardzo dobrej sytuacji. Zna tak wiele osób. I ma doświadczenie. Naturalnie, to ona zajmuje się proszeniem.

- Zebraniem.

- Nie sądzę, by można było to nazwać zebraniem, bo przecież chodzi o słuszną sprawę.

- I gdzie się tym zajmujesz?

- Cóż, jest normalne biuro, z sekretarką, na drugim piętrze. Ja siedzę w pokoiku, który Constance nazywa swoim buduaem. Na szczęście jest tam wszędzie mnóstwo miejsca.

- Mówisz, jakby chodziło o Wersal. A ja dobrze znam ten dom. To jest po prostu duży dom.

Prywatnie gotowa byłam przyznać, że siedziba Fairliech nie przypomina tych, w których mieszka większość ludzi.

Zarówno Betsy, jak i ja wychowałyśmy się w całkiem przestronnych domach, mimo to nasze osady były drobnomieszczańskie, jakby uformowane przez stary sposób myślenia. Poza tym mieszkalna część domu Betsy została ograniczona do dwóch pięter nad gabinetem lekarskim ojca. A teraz obie mieszkaliśmy w jeszcze bardziej ograniczonej przestrzeni i proporcjonalnie do tego obniżył się nasz status. Natomiast rezydencja Fairliech była okazała, pięknie położona nad rzeką, i jak to często bywa z takimi siedzibami, dodawała właścicielom pewnego splendoru. I jeszcze ten dom matki w Szkocji, który miał być sprzedany, dom w Hampshire i ten w Alpilles - do niego również mieli jakieś prawa, mimo że należał do przyjaciół, którzy użyczali im go jedynie na czas wakacji szkolnych. Nie każdy ma takich przyjaciół. Pomyślałam o sekretarce na drugim piętrze, to tam musiały być te mansardowe okna, które tak podziwiałam, kiedy po raz pierwszy przyjechałam do nich z Digbym. Już wtedy fascynowały mnie okna. Moje okna wychodziły na zwyczajną ulicę i garaż i chociaż mieszkanie było dość przyjemne, to jednocześnie zupełnie pozbawione charakteru. Mieszkanie Betsy było jeszcze gorsze, jak poczekalnia dla przejezdnych, przeładowane gratami, których nie chciała wymienić. Widziałyśmy, a raczej ja jej wskazałam, kilka ładnych rzeczy, dzięki którym stałoby się ono przytulniejsze, jednak wspaniałość siedziby Fairliech zdążyła się już tak na niej odcisnąć, że dała za wygraną i uwierzyła, że nic, co nie sięga ich poziomu, nie jest warte zachodu.

Było oczywiste, że dopóki pozostanie w tej adopcyjnej rodzinie, nie pomyśli o przeprowadzce. Bo sytuacja tak właśnie się przedstawiała: ona sądziła, że ją zaadoptowano. Gdy tymczasem ja miałam pełną swobodę ruchów i właśnie w tej chwili zaczynałam dostrzegać zalety ewentualnej przeprowadzki. Oznaczałoby to jednak zerwanie wszelkich znajomości, a na to brakowało mi odwagi. Chociaż znałam bardzo niewiele osób, to mogłam polegać na uprzejmości sąsiadów, którzy składali mi kondolencje po śmierci Digby'ego, dozorczy, dostawców oraz tego szczególnego przyjaciela, dostojnego Hindusa, który codziennie dostarczał mi gruby plik gazet. I chociaż tęskniłam do ładniejszych widoków za oknem i do czystszyego powietrza, nie

widziałam siebie ani na wsi, ani w małym miasteczku. Tu miałam przecież różne możliwości, o których gorliwie przypominali mi sąsiedzi. Mogłam chodzić na wystawy, do teatru, nie martwiąc się, jak nocą wrócę do domu. Nie korzystałam z tego, ale wiedziałam, że mogę, jeśli przyjdzie mi na to ochota. Mogłam też podjąć jakieś studia, choćby magisterskie w Birkbeck College, albo zapisać się na wykłady w Miejskim Instytucie Literackim. Wolno mi było robić to wszystko, a jeśli nie robiłam, to z własnego wyboru. Pamięć o tamtych fikcyjnych wieczorowych zajęciach, z których kiedyś stworzyłam sobie alibi, ciągle kładła się cieniem na moich myślach i będzie już zawsze towarzyszyć wszystkim moim działaniom. Był to niebezpieczny obszar; konieczność uciekania się do tego rodzaju wybiegów odeszła w przeszłość, ale wciąż czułam ich ciężar. Bezwolnie pozwoliłam się naznaczyć do końca życia. Wola silniejsza od mojej zadecydowała o tym, co się stało, i chociaż to ja byłam osobą, która sprawę zamknęła, ciągle czułam, że ta zerwana umowa zubożyła mnie psychicznie i fizycznie.

- Chodzisz tam codziennie? - rzuciłam od niechcienia, jednocześnie gestem prosząc o rachunek.

- Tak, w zasadzie tak.

- Chyba nie w weekendy?

- Cóż, czasami, jeśli Constance ma dla mnie jakąś pracę.

Często pomagam w domu albo chodzę na zakupy, choć oczywiście mają gospodynię.

- Przecież nie jesteś służącą, Betsy - jęknęłam, szczerze wstrząśnięta.

- Lubię to. Cóż innego miałabym robić? Poza tym oni są bardzo mili. Constance twierdzi, że jej bardzo pomagam. A Edmund mówi, że jest mi wdzięczna, bo ma więcej czasu dla siebie.

- Kiedy ci to powiedział?

- Czasami odwozi mnie do domu. - Bezwiedny uśmiech, tęsknota w spojrzeniu, którą próbowała zamaskować, zwracając oczy do okna, były bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa. Zresztą słowa były zupełnie zbędne. Miałam już pełny obraz sprawy.

Odczułam smutek nie mający nic wspólnego z zazdrością; zdecydowanie bardziej osobisty i jednocześnie bardziej uniwersalny. To był ten sam smutek, który towarzyszył mi, kiedy ostatecznie odstawiłam swoje książki, jakbym już na zawsze miała być wykluczona z tych opowieści o wytrwałości w doświadczaniu, a czasami pokonywaniu trudności. O wytrwałości co nieco wiedziałam, ale nie dostrzegałam na końcu żadnego zwycięstwa, co najwyżej zupełnie niechcianą stagnację. Żyliśmy w latach triumfującego feminizmu, kiedy niemal nieprzyzwoitością było, żeby kobieta tkwiła pogrążona w żałobie i tęsknocie. Solidaryzowałam się z tymi

wszystkimi ludźmi stojącymi na uboczu, którzy byli świadkami udanych przedsięwzięć innych i którym pozostało już tylko uprzejmie słuchać i powstrzymywać się od komentarzy. Sytuacja Betsy nie była zaskakująca: została opracowana już na samym początku. Miałam nawet uczucie, jakbym to ja własną wolą ją wywołała, choć w rzeczywistości byłam zaledwie obserwatorem. A teraz, jeśli nie będę się mieć na baczności, stanę się przymusowym świadkiem romansu innej kobiety i co gorsza, w każdym swoim słowie usłyszę świadectwo kompromisu, zupełnie jakbym się cieszyła z rozwoju wypadków, coraz bardziej oddalającego mnie od roli, jaką kiedyś odgrywałam, jakbym była kimś niezaangażowanym, nijakim i życzliwym, kimś, kogo wzywa się, kiedy potrzebna jest ochrona i aprobatą.

Nie pozostało we mnie nic z tamtej osoby, która potrafiła opracować odpowiednią taktykę, wykręcić się wymówką i pozostać bezkarną. Kiedy siadywałam w tamtym ogrodzie, który był już tylko wspomnieniem, słońce przyświecało mojej przygodzie nie tylko metaforycznie, ale i dosłownie. Wtedy była wiosna i lato, a teraz niebo stało się szare, poranki ciemne. Owładnęło mną żalosne, bezsensowne przekonanie, że kończący się rok odzwierciedla moją sytuację. I że jedyne, na czym mogę polegać, to noc. Tęskniłam za tymi nocnymi godzinami w najgorszych chwilach dnia, chodziłam spać coraz wcześniej, z kąpieli robiłam rytuał, a potem rozgrzewałam się herbatką ziołową. Starając się zachować łączność ze światem zewnętrznym, wysłuchiwałam nabożnie wiadomości, z takim samym zapalem, z jakim czytałam poranne gazety, gorliwie wyszukując faktów, które właściwie niewiele mnie obchodziły. Byłam bezpieczna, dopóki nic nie robiłam, zachowywałam się dyskretnie, wyrażałam łagodnie. Nagrodą za to był sen. Mało brakowało, żebym przestała istnieć. W porównaniu z taką ewentualnością Paryż raz jeszcze wydał się bardziej rzeczywisty.

Zauważyłam, że Betsy przygląda mi się z niepokojem, więc zmusiłam się do przyjemnego uśmiechu, jakiego najwyraźniej ode mnie oczekiwano. Zamieniłyśmy się rolami, co stało się oczywiste, ona jednak była zbyt niewinna, by się w tym zorientować. Lepiej, żeby tak zostało, nawet moim kosztem, jeśli trzeba. Byłam dostatecznie przepojona duchem czasu, by wierzyć w siostrzaną solidarność, choć jednocześnie wiedziałam, że w obliczu rywalizacji jest ona czystą fikcją. Ja jednak wycofałam się z tego konkretnego konfliktu, czy raczej mnie wycofano. Ze zdumieniem myślałam o swojej ogromnej odwadze, w rzeczywistości bowiem nie było we mnie nic z bojowniczką i zawsze za najlepszą ochronę uważałam swoją niezależność. Teraz nie byłam pewna, czy miałam rację, ale nie umiałam zmienić postępowania. Widziałam logiczny finał mojej historii w jakiejś formie wygnania, w sensie przenośnym i dosłownym,

jeśli starczy mi odwagi, żeby rzecz zrealizować. I nie muszę się ograniczać do Paryża; jeśli zechcę, mogę pojechać wszędzie, zniknąć na dobre. Podczas miodowego miesiąca w Wenecji usiadłam na schodach kościoła Redentore i pomyślałam: Czy to już wszystko? Nie był to wyraz bezsilności, ale raczej tęsknoty za skończoną pełnią. Byłam wystarczająco rozsądna, by wiedzieć, że doświadczyłam owej pełni przez krótką tylko chwilę i że pamięć o tym nie wystarczy. Teraz moje miejsce zajęła inna kobieta, ta, której beztroski uśmiech przez całe życie wyrażał pełną ufność i której nie potrafiłam nie życzyć sukcesu. Fakt, że był on mało prawdopodobny, czynił sytuację jeszcze bardziej przejmującą, jakby była żywcem wzięta ze sztuki jakiegoś dawnego dramaturga. Byłam zdecydowana zachować się dobrze, bo tego ode mnie oczekiwano. W związku z tą sprawą nie miałam już żadnego wyboru i nikogo nie mogłam za to winić.

- Dobrze się czujesz? - usłyszałam głos jakby z oddali.

- Ja? Świetnie.

- Bo jesteś taka spokojna; to do ciebie niepodobne. Oczywiście przeżyłaś trudne chwile. - Jej twarz przybrała wyraz współczucia, z całą pewnością szczerego. - Przydałaby ci się jakaś rozrywka.

Trudno było zaprzeczyć.

- Co proponujesz? - spytałam.

- Może jakiś nowy ciuch? Uważam, że to zawsze pomaga.

Zobaczmy, co tu mają.

- Nie sędzę...

- Skoro już tu jesteśmy. Chyba się nigdzie nie spieszysz?

Nie, nie spieszyłam się, nie miałam ochoty spędzać w domu całego popołudnia, które skończy się dopiero z zapadnięciem mroku. Poszłam posłusznie schodami w dół, za tą nową, władczą Betsy, i z zamierającym sercem poddałam się jej woli, ponieważ własnej zostałam pozbawiona. Wkroczyłam w piekło przymierzalni, gdzie wkładałam jedną za drugą różne nietwarzowe części garderoby i stałam posłusznie, kiedy szwaczka upinała mi w talii jakąś zbyt obszerną spódniczkę.

- Nie, przykro mi, ale się rozmyśliłam - niemal wykrzyknęłam, ostatnim wysiłkiem próbując ratować swoją wolność, i pożałowałam natychmiast tej nieuprzejmości, kiedy zde gustowana ekspedientka zabrała niechcianą spódnicę. - Mam mnóstwo ubrań. Naprawdę nie potrzeba mi więcej. Poza tym nigdzie się nie wybieram.

- I w tym problem - zauważyła Betsy. - Powinnaś sobie znaleźć jakieś zajęcie. Ułożyć plan ofensywy.

- Jestem już zmęczona - oznajmiłam. - Duszno tu. Może wyjdziemy? Mogłybyśmy się przespacerować.

Tęskniłam za świeżym powietrzem, za swobodą ruchów. Kiedy tkwiłam w tej małej przymierzalni razem z dwiema kobietami traktującymi mnie jak dziecko, za które trzeba podjąć decyzję, ogarnęła mnie panika. Poza tym zachowałam się nieuprzejmie i było mi wstyd. Dzień okazał się okropny; prawdopodobnie z mojej winy. To ja objęłam patronat nad sprawą wyposażenia mieszkania Betsy w nowe sprzęty, jednak moją propozycję zlekceważono, odrzucono, jakbym przestała się liczyć. Już nie musiała zabiegać o moje względy, zasłużyła na nie gdzie indziej. Żadne przemeblowanie nie wytrzymałoby porównania z tym, co już zdążyło się rozegrać.

Na dworze oddychało mi się znacznie lżej, choć uczucie duszności pozostało, jakby spowijała mnie cała jakaś tkanina. Wrażenie to potęgowała wilgotna mgła, która ciążyła mi na ustach, zmuszając do milczenia. Taka pogoda po tych wszystkich doświadczeniach dnia była nie do zniesienia. Nie dalej jak wczoraj, w podobny dzień, zza szarości wychynęła nagle przyćmiona, ogromna, pomarańczowa tarcza słońca. Efekt nie był uspokajający, już raczej apokaliptyczny, jakby miało ono zesłać na ziemię krwawy deszcz albo ostrzegało przed niebezpieczeństwem jak tamte gęsi w starożytnym Rzymie. Nie wydarzyło się jednak nic strasznego; słońce powoli zachodziło, a kiedy znikło, bardziej zdecydowanie wypełzły cienie. Była to pora melancholii. O tej właśnie porze liczy się dni, tygodnie i miesiące do lata, próbuje się przechytrzyć Boże Narodzenie, przetrwać przełom roku. Latem czujemy się młodszy, mniej obciążeni; łatwiej wówczas być tolerancyjnym, wyrozumiałym. Z przerażeniem myślałam, ile jeszcze długich dni dzieli mnie od nadejścia lata, i wiedziałam, że czas ten będzie ciężką próbą dla mojej wytrwałości. Z czystej brawury objęłam Betsy, kiedy się rozstawałyśmy.

- Odprowadzę cię kawałek - zaproponowała. - Nigdzie mi się nie spieszy.

- Nie spotykasz się dziś wieczorem z Edmundem? - spytałam wprost, mając już dosyć tej swojej delikatności.

- Nie, oczywiście, że nie. - Zarumieniła się. - Przyszedłby tylko, gdyby... - Jej zakłopotanie wywołało uśmiech na mojej twarzy. - Gdyby miał dla mnie jakąś wiadomość od Constance - dokończyła niezbyt przekonująco. - Nie wiedziałabym wcześniej, czy przyjdzie czy nie. W każdym razie, to zależałoby od niego...

To oczywiste, pomyślałam. Taki jest przywilej wiarołomnych kochanków, tych, którzy wykorzystują bezzasadną cierpliwość kobiety. Zupełnie inaczej niż w małżeństwie, mogłam jej powiedzieć, gdzie obecność tej drugiej osoby jest tak oczywista, że ma się czas i sposobność, żeby przygotować sobie ucieczkę. Zaletą cudzołóstwa, taką samą jak małżeństwa, jest świadomość, że w domu zawsze ktoś czeka. To zupełnie niezasłużone dobrodziejstwo jest zapewne kamieniem obrazy dla ludzi o bardziej ograniczonych poglądach. I dla zawistnych.

- Nic ci nie jest? - spytałam z troską, widząc, jak blednie. Pomyślałam, że nie powinnam tak drażnić, i na razie odzyskałam panowanie nad sobą.

- Oczywiście, że nie. To o ciebie należy się martwić. Prawie nic nie zjadłaś na lunch.

- To był mój protest przeciwko potrawom, za jakimi rzekomo przepadają kobiety. Wolałabym coś mniej wyszukanego, kiełbaski, fasolę w sosie pomidorowym i grzanek z białego pieczywa. Herbatę w kubku. Kawalek keksa w celofanie. Papierosa bez filtra.

- Cóż, mogłaś zapalić.

- Nie palę - odparłam ze smutkiem. - Choć przecież w każdej chwili mogę zacząć.

- Są miejsca, gdzie takie jedzenie podadzą o każdej porze dnia, jeśli ci rzeczywiście zależy. Ale ty chyba nie mówisz tego poważnie. Chcesz mnie zaszokować?

- Możliwe, chociaż nie mam powodu. W każdym razie zbyt łatwo cię zaszokować. Zawsze tak było.

Ostatnie słowa ułatwiły powrót do dawnych czasów, do pytań w rodzaju: „A pamiętasz taką to a taką?” czy „Co się stało z tą i tą?” I tutaj znowu Betsy miała nade mną przewagę, bo wiernie utrzymywała kontakt z dawnymi koleżankami. Możliwe, że teraz musiała z tego zrezygnować i odizolować się od wszystkich i wszystkiego, żeby być w każdej chwili do dyspozycji. Z czasem i ona odkryje ograniczenia takiej wyłączności; poczułam przyływ oburzenia ze względu na nią.

- Wydaje mi się, że tym razem to ty jesteś zaszokowana - powiedziała.

- Bynajmniej - zaprzeczyłam. Ale miała rację, choć czasami trudno jest zmierzyć siłę wstrząsu. - Postaraj się zadbać o siebie, to znaczy o własny interes w tym wszystkim. Nie ważne, jak to się potoczy. Nie daj się zdominować Fairliem. To bezwzględna para.

- Tak - zgodziła się. - Wiem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i w dobrej wierze uściskałyśmy.

- Następnym razem przyjdź do mnie - zaproponowałam. - Mam na myśli lunch. Zresztą możesz przyjść, kiedy zechcesz. Zawsze jestem w domu, przynajmniej na razie. Do Bożego Narodzenia. Co potem, jeszcze nie wiem.

- Przyjdę z ogromną ochotą. Twoja obecność bardzo mi pomogła. To znaczy po Danielu i po mojej przewodniczce do tego mieszkania. Czasami budzę się w nocy i zastanawiam, gdzie jestem.

- To się zdarza każdemu.

- Naprawdę? - Wyglądała na zaskoczoną. - I miewam napady lęku. Dlatego tak bardzo jest mi potrzebne czyjeś towarzystwo.

Tamtej nocy miałam sen tak wyrazisty, że po przebudzeniu zastanawiałam się, czy to się wydarzyło naprawdę, czy było nie snem, lecz jakimś zagubionym wspomnieniem. Byłam w obskurnej, opustoszałej restauracji, wiedziałam, że jest jeszcze za wcześnie na gości. Przy jedynym zajęтым stoliku siedział Edmund - wyglądał tak, jak go pamiętałam, koszula z rozpiętym kołnierzykiem, porzucona gazeta obok. Kiedy podeszłam, podniósł głowę i popatrzał na mnie nieobecny wzrokiem. Wiedziałam, nawet we śnie, że jakiegokolwiek wahanie przy powitaniu jest znaczące, może oznaczać obojętność, nawet niechęć. Wszystko było tak wyraziste, że widziałam wzorek na filiżance z kawą. Popatrzył na mnie zdziwiony, po czym oznajmił: „Wspaniała z nas para”. W jednej sekundzie jego twarz rozjaśniła się radością, kiedy zobaczył, że za mną idzie Betsy. Ubrana była w luźny szary sweter i spodnie, czego nigdy nie nosiła. Wstał, żeby ją przywitać, a wtedy, w odpowiedzi, jej wargi ułożyły się w uśmiech, który sugerował zażyłość. Nie było ciągu dalszego: wszystko zamarło w bezruchu, zastygły ich uśmiechy, jego radosny, jej otwarty, choć nieco przepraszający, jakby prosiła mnie o wyrozumiałość. Ja tam byłam tylko obserwatorem i resztką siły woli zmusiłam się, aby przejść obok nich i usiąść przy innym stoliku. Instynkt nakazał mi poczuć gniew, spowodowany chociażby ich aroganckim zachowaniem, i mój uśpiony umysł poddał się temu. Potem, nadal we śnie, gniew ustąpił porażającemu osłupieniu, kiedy dostrzegłam, co ich naprawdę łączy, tę radość w jego, a wstydlive wyznanie w jej twarzy. „Wspaniała z nas para”, powiedział i ta uwaga zapadła we mnie głęboko. Nie było ucieczki od tej wiedzy, którą sobie sama podsunęłam. Byłam świadkiem romansu, trwającego prawdopodobnie od jakiegoś już czasu, o którym nie miałam najmniejszego pojęcia, aż został ujawniony, ukazany jak na dłoni. Mało, że niczego nie podejrzewałam, to jeszcze byłam zupełnie w tym wszystkim nieważna.

Po przebudzeniu nie mogłam pozbyć się uczucia grozy i bardzo powoli, w miarę jak miało zupełnie zwykle przedpołudnie, udało mi się przekonać samą siebie, że to był tylko sen, a nie rzeczywistość. Wydawało mi się, że aby istnieć, żyć dalej, muszę przemyśleć wszystko to, co wiem o Betsy, i pozbyć się upiorów, jakie zostawił po sobie ten nocny koszmar. Wiedziałam, że coś ich łączy; tyle to nawet Betsy przyznała. Fakt, że mogły tu wchodzić w grę prawdziwe uczucia, udało mi się zignorować. Zimny i szary dzień włókł się bez końca, a ja tłumaczyłam sobie, że znając ich oboje, jestem przecież w stanie przewidzieć rezultat. Połączenie zaciekawienia Edmunda ze szczerością Betsy może jedynie doprowadzić do rozdźwięku, który unieszczęśliwi jedno albo drugie. Chciałam sprowadzić na niego taką karę, jaka najwyraźniej dotąd go nie dosięgła: znów ci występni pyszną się i rozpierają niczym cedr zielony. Życzyłam mu, żeby wyłysiał, stał się impotentem i zaczął cierpieć na podagrę. Wyswobodzi się natychmiast, kiedy tylko poczuje się zagrożony; tego byłam pewna. Trudno mi było wyobrazić sobie reakcję Betsy, kiedy to nastąpi. Bez wątpienia będzie winić samą siebie. A mnie pozostało tylko obserwować, tak jak robiłam to we śnie, kiedy siedziałam samotna przy drugim stoliku, a moje zranione uczucia powoli ustępowały rozpaczy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mogłam zapewne przewidzieć, że Betsy ulegnie czarowi Edmunda, a nawet to, że będzie całym sercem oddana Constance, zupełnie jednak nie byłam przygotowana na to, że obdarzy ich dzieci miłością szczerą i prawdziwą, nie zakłóconą żadnym konfliktem lojalności.

- Są takie piękne - oznajmiła mi przez telefon, kiedy zadzwoniła z życzeniami świątecznymi.

Choć uważałam to słowo za zbyt emocjonalnie zabarwione, musiałam w głębi duszy przyznać, że rzeczywiście są piękne. Widziałam to na własne oczy, kiedy byliśmy u nich z wizytą; najpierw zza zamkniętych drzwi dochodziły krzyki i protesty, ale natychmiast ucichły, gdy dzieci zawołano, żeby przywitały się z gośćmi. Przed nami pojawiły się trzy eteryczne postaci. Dziewczynki były jasnowłose, jak Edmund, chłopiec zaś miał ciemne włosy i coś drażniącego w uśmiechu po matce. Wiedziałam, że z czasem syn przyćmi ojca, i żałowałam, że nie będę świadkiem tego procesu, bo nawet już wówczas dało się słyszeć wielką dumę w zniecierpliwionym głosie Edmunda, kiedy karciał chłopca za jakieś przewinienie popełnione, zanim się tam jeszcze pojawiliśmy. W jego oczach dostrzegałam podziw, niemal zachwyt nad gibkością

syna, swobodą w każdym jego ruchu. Wydawało się, że ogarniając chłopca spojrzeniem, na które tamten zresztą nie reagował i uparcie trzymał opuszczoną głowę, Edmund uświadamiał sobie, że pewnego dnia, kiedy będzie już stary, zostanie zastąpiony i że jego sławetna potencja seksualna, przy pełnej aprobacie matki, przejdzie na syna.

Constance, prawdę mówiąc, zachowywała się, jakby nie mogła doczekać się tej chwili, traktowała chłopca jak dorosłego, godziła się na przejawy nieposłuszeństwa i beztrąsko odprawiła, wysłuchawszy jego planów na wieczór. A właśnie cała trójka miała wychodzić, dziewczynki na jedno przyjęcie, chłopiec na inne. Uprzywilejowane dzieci, nigdy nie brakowało im towarzystwa ani rozrywki. Mimo że dziewczynki z tymi długimi blond włosami i pociągłymi buziąmi były śliczne, to jednak uwagę wszystkich przyciągał ich brat. Kiedy wychodził, Edmund odprowadzał go wzrokiem. Constance, której zwycięstwo widniało już na horyzoncie, uśmiechnęła się tylko uprzejmie, rozkoszując się chwilą swojej dominacji.

- Nie wracajcie późno - zawołał za nimi Edmund, niechętny ich wyjściu. Oni już znikali za drzwiami, poszturchując się spontanicznie, kipiąc energią.

Wtedy byli dziećmi, dziewczynki miały po piętnaście lat, chłopiec niecałe dwanaście. Teraz więc wszyscy troje musieli być dorastającymi, młodymi ludźmi, przed którymi otwierały się jeszcze bardziej podniecające perspektywy. Sama Betsy w tamtej rozmowie telefonicznej robiła wrażenie podnieconej tym, że w domu Fairliech spotkała ją miła niespodzianka - troje młodych ludzi. Rozszerzyła bowiem swój, że tak się wyrażę, kontrakt z Fairlie'ami, o sprawy dotyczące dzieci; ochoczo wypełniała te drobne zadania, które przedtem spadały na barki gospodyni, takie jak odnawianie szkolnej odzieży, wizyty u dentysty, kupno prezentów urodzinowych dla ich przyjaciół i chyba najważniejsze z nich: odgrywanie roli powierniczki dziewcząt, Julii i Isabelli, które najwyraźniej traktowały ją jak guwernantkę. Kiedy przyjeżdżały ze swoich prestiżowych szkół na wakacje, a ona patrzyła na nie czułym wzrokiem, musiały jej się wydawać zbyt wyzwolone. Obie miały chłopaków, o których opowiadały swobodnie, przekonane o własnych powabach, obie potrafiły prowadzić i obiecano im już własne samochody, obie odwiedzały modne bary i restauracje. Z racji długiego pobytu Betsy w Paryżu jej akcje stały wysoko. I chociaż nieomylny instynkt kazał im widzieć w niej osobę naiwną, to w sprawach zewnętrznego wyglądu liczyły się z jej zdaniem i chciwie słuchały jej na ogół nieistotnych rad. Zaakceptowały ją jako domownika i obdarzały, jak mówiła, szczerym uczuciem, ale ona miała dość rozsądku, by nie zachowywać się zbyt wylewnie. Wydawała się szczęśliwa, a mnie pozostało jedynie żywić nadzieję, że uwielbienie dla Edmunda i Constance, różnego ro-

dzaju, choć równie nabożne w obu przypadkach, zmaleje i zostanie zastąpione przez zupełnie odmienną i łatwiej wytłumaczalną miłość do ich dzieci.

Była uszczęśliwiona, co słyszałam wyraźnie w jej głosie, kiedy opowiadała mi, że jest zaproszona do Fairliech w pierwszy dzień świąt na obiad czy kolację, jakkolwiek zwał się ten obowiązujący, uroczysty posiłek, i że zobaczymy się po świętach, żeby pogadać. W pełni świadoma, że moje święta uporczywie nie przybierają żadnego konkretnego kształtu, odłożyłam słuchawkę i zaczęłam się zastanawiać, czy w taki sposób ucieleśniona wizja rodzinnego szczęścia nie pogłębia owego szczególnego uzależnienia Betsy. Było oczywiste, że zarówno Edmund, jak i Constance znaleźli sposób na podkreślenie wagi jej roli pomocnicy, co wyraźnie sprawiało jej przyjemność. Mogło to dobrze służyć zamiarom Constance, która zawsze uważała Betsy za podwładną, tymczasowo odkomenderowaną do jej domu zgodnie z formułą, którą zapewne w niedługim czasie pojmie. Nie znałam uczuć Edmunda; moje domysły brały się jedynie z tamtego przerażającego snu, którego szczegóły nadal widziałam jak żywe. Mogłam przypuszczać, że miejsce, jakie Betsy zajęła w jego rodzinie, uznał za najmniej szkodliwy rezultat ich przygody. Niewykluczone, że żywił w stosunku do niej prawdziwe uczucia, ale kiedy zobaczył ją w towarzystwie swoich dzieci, bezboleśnie usunął na dalszy plan. Mogło to być niezamierzone. W przeciwieństwie bowiem do innych miłości Edmunda, jego uczucie do dzieci było niepohamowane; one były nie tylko cudowne, wyjątkowe, ale też nie zauważały jego niedoskonałości. I co już najmniej fortunne dla Betsy, uroda dziewcząt kazała spojrzeć na nią samą z innej perspektywy. Zawsze była ładną dziewczynką, tyle że dawno temu przestała być dziewczynką. Obie zbliżyłyśmy się do wieku, w którym kobieta zdaje sobie sprawę, że dziecka już mieć nie będzie. Uważałam, że wiek mocniej zaznaczył się u Betsy niż u mnie. Moja drobna, mało wyrazista twarz na pewno nie zyskała wraz z upływem czasu, ale nie widziałam na niej znaczących zmian, może dlatego, że ich specjalnie nie szukałam. Gdy tymczasem uroda Betsy źle znosiła porównanie z nieskazitelną urodą dziewcząt. Mimo że głos miała przepełniony radością, poskarżyła się na zmęczenie, a przecież zmęczenie wyraźnie odbija się na wyglądzie osób o jasnej karnacji. Namawiałam ją, żeby zostawiła trochę czasu dla siebie, ona jednak utrzymywała, że nie ma takiej możliwości, ponieważ przyrzekła już swoją pomoc w załatwianiu różnych spraw związanych z przyjęciem wigilijnym, podejmowaniem gości w drugi dzień świąt i wyprawieniem Constance z dziećmi do Szkocji na pozostały okres ferii, po czym obiecała, że się odezwie.

Było coś niepokojącego w tej jej gorliwości. Podejrzewałam, choć ona sama zdawała się tego nie zauważać, że w jakimś sensie ją zdegradowano. Bo dlaczego godzono by się na jej ciągłą obecność, gdyby nie była ona tylko środkiem łagodzącym, bez większego poza tym znaczenia? I chociaż Betsy z entuzjazmem odgrywała swoją rolę, mnie martwiło, że nie dostrzega poruszających tym wszystkim mechanizmów. Jak powiedziałam, nie znałam uczuć Edmunda, ale też nie zamierzałam dać Betsy sposobności do zwierzeń. Nadal byłam rozżalona, że Edmund tak lekko się mnie pozbył, bo przecież nawet nie zawracał sobie głowy, żeby ze mną porozmawiać, a rozmowa jest czymś, co zarówno przed, jak i podczas, a już szczególnie po zakończeniu każdego romansu wydaje się naturalne. Nawet się nie pofatygował, żeby mnie poinformować, że się wycofuje i na jak długo: sama jego nieobecność mówiła za niego. Choć skłonna byłam uznać, że poruszyła go naiwność Betsy, a może nawet poczuł coś więcej, to niewiele czasu potrzebowałam, by się zorientować, że ostatecznie górę w tej sprawie i tak weźmie wola Constance. Kierując się swoim niezawodnym instynktem, zdecydowała już, jaki będzie finał tej być może groźniejszej od innych sytuacji i że zgodnie z zasadami ich małżeńskiego układu honor każe mu się na taki finał zgodzić. Nie ograniczałoby go to zresztą specjalnie: mógł nadal swobodnie odwiedzać Betsy, choć teraz zapewne oglądałby jej otoczenie już bardziej krytycznym okiem. Nieskończenie bardziej od niej doświadczony, zastanawiałby się, dlaczego ona nie wyczuwa zmiany; postanowiłby, że w jakimś momencie się wytłumaczy, tymczasem po prostu wykorzysta ten całkiem sprzyjający układ. I ona przecież tak kochała jego dzieci; musiał to przyznać. Może nawet myślał o końcu ferii, wtedy życie rodzinne potoczy się zwykłym trybem, z dodatkami czy bez. Kiedy dzieci wrócą do szkoły, zmiany dokonają się w sposób naturalny; nie będą potrzebne żadne wyjaśnienia. W każdym razie wiedział, gdzie ona jest, gdyby tylko kiedykolwiek odczuł potrzebę, żeby ją zobaczyć.

Wszystko to były jedynie moje przypuszczenia, ale myślałam, że znam go dostatecznie dobrze, żeby odgadnąć, co może chodzić mu po głowie. Zawsze istniała też nieznośna możliwość, że żywi do niej szczerze uczucia, na szczęście udało mi się przekonać samą siebie, że nie ma na to żadnych konkretnych dowodów. Z poczuciem przykrości zrezygnowałam z informacji, które mogłabym uzyskać, gdybym tylko potrafiła wypytać Betsy, nie ujawniając niczego z moich własnych, niedawnych doświadczeń. Nie byłam jednak na tyle bystra, żeby to przeprowadzić, a poza tym wydawało mi się to moralnie odrażające. Nie mam pojęcia, skąd u mnie te skrupuły, skoro już przekroczyłam tyle innych barier. Wiedziałam natomiast, że względnie czyste sumienie, do którego się teraz przyznawałam, pozwalało mi lepiej spać. Chociaż część

mnie rwała się, by posłuchać dokładniejszej relacji z tych, jakkolwiek by było, przeżyć osobistych, to nie potrafiłabym chyba znieść pewnych informacji, pewnych szczegółów, które mogłyby mnie dręczyć przez niezliczone bezsenne noce. W takiej sytuacji wszystkie kobiety dokonują porównań; myślę, że dotyczy to również mężczyzn: człowiek koniecznie chciałby wiedzieć, jak zachowują się inni, a jednocześnie tej wiedzy unika. Na dodatek nie miałam wątpliwości, że Betsy chętnie by mi się zwierzyła. Powstrzymywała się przed tym z największym trudem; to, że nie powierzałyśmy sobie tych okropnych tajemnic, co rzekomo kobiety nieustannie robią, do czego są wręcz upoważnione, musiało wynikać z faktu, że znałyśmy się od dziecka. Wyczuwałyśmy, że to nas zobowiązuje do postępowania, które daje się usprawiedliwić, nieważne, czy nam to odpowiada czy nie.

Poza tym nie miałam ochoty na dalsze kontakty z Edmundem, ani osobiste, ani przez pośredniczkę. Czułam niesmak, nie tyle wobec mojego, ile jego zachowania. Mówiłam sobie, że to nie jego charakter mnie pociągał; teraz zrozumiałam, że nieco się zwodziłam. Choć trzeba przyznać, że rozpatrywanie w kategoriach moralnych natury kogoś tak głęboko i jednocześnie tak elegancko amoralnego nie miało sensu. W każdym razie teraz bardzo się starałam, by nie znaleźć się w jego pobliżu, nawet przypadkowo. Unikałam ulicy, przy której miał to swoje mieszkanie, dopóki nie pomyślałam, że on już zapewne z niego nie korzysta. I tak przecież odwozi Betsy wieczorem; po co zatrzymywać się w tym mieszkaniu, skoro może sobie oszczędzić czasu i wysiłku. Nie wybielałam się, ale spoglądałam na swoje złe zachowanie z większym spokojem. Nie uwiedziono mnie wbrew mojej woli; byłam szczerze zadowolona z tego, co mi ofiarowano. Było to raczej uniesienie niż zwykły romans, czego zresztą wówczas byłam świadoma: być może bogowie w ten sposób przypominali ludziom, że kierują ich losami. A może nie nadawałam się do umiarkowanej przyjaźni. Zastanawiałam się nawet, czy dzięki Edmundowi nie odzyskałam pewnego rodzaju autentyczności, którą mogłam stracić bezpowrotnie. Moje małżeństwo było w oczach wszystkich udane, choć opierało się jedynie na uczuciu sympatii i dobrych manierach. Lojalność względem Digby'ego nakazywała mi trzymać się tych zasad, ale pamiętałam aż nadto wyraźnie podniecenie, jakie wiązało się z wyzwoleniem od tych ograniczeń. Zauroczenie wydawało mi się całkiem słusznym stanem. A przecież wiedziałam, że nie muszę już tego stanu rozpatrywać, że przeszedł na innych, czy raczej na inną, i że powinnam przestać o tym myśleć, jeśli mam nie ulec, być może z bardziej fatalnym skutkiem, raz jeszcze.

Moje plany na okres świąteczny przybrały niespodziewany obrót. W jednym z tygodników, które teraz czytałam zamiast dzienników - prenumerowałam wszystko, nieważne jak specjalistyczne, taka byłam głodna faktów - zobaczyłam ogłoszenie o bożonarodzeniowym spacerze, a raczej Spacerze, wraz z numerem telefonu, pod który po namyśle zadzwoniłam. Wynikało to z czystej desperacji: nie mogłam już znieść kolejnego długiego, pustego dnia, cichych ulic i wszechobecnego widma rozradowanych rodzin. Pod tym względem, mimo że nie bardzo chciałam się do tego przyznać, przypominałam Betsy. Usłyszałam w słuchawce ponury, męski głos i oświadczyła śmiało, że zainteresowało mnie ogłoszenie, ale chciałabym się dowiedzieć nieco więcej. Czy to rajd sponsorowany? Czy w ramach jakiejś organizacji? A może na cele dobroczynne? Nie, żeby to było dla mnie istotne. I tak nie zamierzałam do niczego wstępować.

- Nie jesteśmy organizacją - odparł głos. - Przynajmniej w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Nazywam się Nigel Ward. Jestem kierownikiem akademika dla studentów obco-krajowców. Wielu z nich nie może pojechać na święta do domu. Mamy tu dużą grupę z Japonii. Pomyślałem, że to ich wyciągnie na powietrze, pozwoli się czymś zająć.

- To impreza jedynie dla studentów?

- Ależ nie! Każdy może dołączyć. Okazuje się, że sporo ludzi jest zainteresowanych. Obowiązuje drobna opłata. Pieniądze zostaną przeznaczone na nowy ekspres do kawy w studenckim klubie. Jak pani się domyśla, ten stary jest w ciągłym użyciu. Nie wytrzyma już długo.

Głos zamarł. Mężczyzna wydawał się zmęczony samą myślą o spędzeniu całego dnia ze swoimi podopiecznymi, ale nie zamierzał rezygnować. Podobało mi się to.

- Dokąd byśmy poszli?

- Pomyślałem, że wokół Hyde Parku, potem do Green Parku i dalej przez St James's Park aż do Victoria Station, gdzie może uda nam się napić kawy, a może nawet coś zjeść. Tam zakończymy ten wspólny spacer i rozejdziemy się do domów. Jak pani widzi, nic specjalnie męczącego. Po prostu miły spacer na otwartym powietrzu.

- Wygląda mi to na dobry pomysł. Chciałabym się przyłączyć - powiedziałam. Żadnej reakcji. - Nazywam się Wetherall. Elizabeth Wetherall. Jak was znajdzie?

- Wyruszamy o dziesiątej ze stacji metra Knightsbridge. Czy jest pani dobrym piechurzem?

- O tak, całkiem niezłym - odparłam, wracając pamięcią do nocnych wypraw w tym fantasmagorycznym okresie pomiędzy śmiercią Digby'ego a jego pogrzebem. Teraz wydawały mi się czymś podejrzanym, wstydliwym, zakazanym nawet, jakbym starała się wkraść w życie in-

nych, zaskoczyć ich, wykraść ich tajemnice. W porównaniu z tamtymi przeżyciami to, które mnie czekało, rysowało się jak coś wręcz chwalebne. Ta myśl poprawiła mi samopoczucie, zupełnie jakbym otrzymała nagle szansę wymazania tamtych aberracji, które, jak mi się teraz zdawało, nie były niczym innym jak tylko smętnym oportunistycznym; przyjąłem zatem tę perspektywę niemal gorliwie.

- Proszę włożyć wygodne buty - poradził mężczyzna. - Mam przyjemność z panną czy panią Wetherall?

- Panią. Jak pana rozpoznam?

- Nie będzie to konieczne. Zobaczy pani grupę ludzi i po prostu się do niej przyłączy. Albo i nie, jeśli się pani rozmyśli. Tożsamość uczestników wyjdzie na jaw w trakcie tego wspólnie spędzonego przedpołudnia całkowicie naturalnie. Można oczywiście strzec swojej prywatności na tyle, na ile uzna się to za stosowne.

- Japończyków rozpoznam na pewno. Jest ich wielu?

- Sporo. Zatem do zobaczenia o dziesiątej w pierwszy dzień świąt. Do widzenia, pani Wetherall.

Odłożyłam słuchawkę z nieznacznym poczuciem zadowolenia. Zrobiłam coś pozytywnego, do czego zresztą wszyscy mnie zachęcali. I do niczego mnie to nie zobowiązywało. Jeśli zechcę, będę się mogła przecież cichaczem wymknąć w ostępy tego czy innego parku i nikt nie każe mi się z tego tłumaczyć. I miłosiernie uwolnię się od całego tego bożonarodzeniowego świętowania z nieodłącznym zgiełkiem, powodującym tylko ból głowy. Jednocześnie zapewnię sobie alibi. Wzięcie udziału w jakiejś akcji dobroczynnej było godne pochwały i znakomicie się nadawało na odpowiedź tym wszystkim sąsiadom, którzy życzliwie dopytywali się o moje plany. A przecież było takie oczywiste, że nie mogę mieć żadnych. Młodzi ludzie sami z siebie są interesujący i atrakcyjni i cieszyłam się, że będę miała sposobność ich poobserwować. Tak jak podziwiałam kiedyś dzieci w drodze do szkoły (i pozostało to moim zwyczajem; celowo wychodziłam na zakupy w czasie, kiedy wracały do domu), tak teraz miałam ochotę cieszyć się z pewnej odległości i z zachowaniem koniecznego emocjonalnego dystansu młodymi ludźmi i ich żywiołowością, która, kto wie, może obejmie i mnie. Martwiłam się tylko tym, że może zacząć padać i cała impreza zostanie odwołana. Prognoza pogody mówiła jedynie o niskim pałapie chmur i o lokalnie występującej mgie. To mnie nie odstraszało. Od kilku już dni widziałam tylko taką pogodę za oknem i byłam bardziej niż gotowa stawić jej czoło.

W rzeczywistości dzień okazał się niemal ładny. Posepny pan Ward, od razu widoczny z powodu niezwykle wysokiego wzrostu, był na tyle taktowny, że nie zachęcał, byśmy się sobie przedstawiali, pozwalając naszej grupie, złożonej z jakiegoś tuzina młodych Japończyków i dziesięciu osób starszych wiekiem, na zawieranie znajomości z własnej inicjatywy. Nie zauważyłam nikogo, komu miałabym ochotę towarzyszyć, wobec czego pomaszero wałam samotnie. Pozostali spacerowicze byli starszymi ludźmi, niektórzy w parach, gotowymi na wszystko, żeby tylko nie musieć spędzać kolejnego dnia w dojmującej samotności. W pewnym momencie zamajaczyła obok mnie postać pana Warda, ale nim zdążył się odezwać, musiał odejść, żeby odpowiedzieć na pytanie jakiejś postawnej kobiety. Byłam oczarowana drobnymi sylwetkami Japończyków, kiedy tak dreptali po zamglonych ścieżkach, zatrzymywali się, żeby podziwiać zielonkawoniebieską taflę Serpentine, zmatowiałą i mało wyrazistą w to spokojne, pochmurne przedpołudnie, i gwarzyli ze sobą ptasimi głosami. Wszyscy bardzo się starali, byli schludnie ubrani, uprzejmi wobec starszych i jeśli nawet odczuwali znudzenie, to nie pokazywali tego po sobie. Chociaż bolały mnie nogi, kiedy doszliśmy do Victoria Station, to żałowałam, że już odchodzą, stałam tam razem z nimi przez kilka minut, żegnałam się serdeczniej i mniej powściągliwie, niż się witałam. Podziękowałam panu Wardowi za wspaniały pomysł oraz inicjatywę i oznajmiłam, że jestem zainteresowana ewentualnymi dalszymi tego typu imprezami. Zostawiłam numer telefonu i ruszyłam w stronę domu, zachowując w pamięci widok rozsia nych pośród bezlistnych drzew małych postaci, przyjemnie kruchych w porównaniu z naszymi, i uśmiechów na ich twarzach, kiedy ściskali przy pożegnaniu moją rękę.

W domu, wśród głuchoj ciszy, znów opanowała mnie melancholia; mimo to uważałam, że dzień nie był zmarnowany. Miałam ochotę komuś o nim opowiedzieć, ale wszystkie drzwi zamknięte były przed obcymi, a telefon milczał. Znowu odczułam nieobecność Digby'ego, połączone z faktem, że nadal był prawowitym właścicielem tego mieszkania. Ja się w nim znalazłam wyłącznie dzięki małżeństwu. Pomyślałam, że to jego zrównoważony charakter cementował nasze małżeństwo i że postąpiłam niegodnie, traktując je tak lekko. A jednocześnie moja niewierność wydawała się czymś tak naturalnym... albo to Edmund ją taką uczynił. Posiadał zgubną umiejętność brania ze śmiechem rzeczy takimi, jakie są albo jakie się jawią i traktowania wyrzutów sumienia jako czegoś mało pociągającego, nieistotnego i tak staromodnego, że aż budzącego wątpliwości, a nawet pogardę. Hasłem tych czasów było prawo do swobody i korzystania z niej, a musiało być przekonujące, skoro przyjęło się i objęło wszystkie ludzkie zachowania. Wydawało się, że poddanie się własnym impulsom nie niesie żadnych niebezpie-

czeństw; a już na pewno nie jest naganne. Jeśli pojawiały się jeszcze jakieś skrupuły, to występowały bardzo nierównomiernie, tak że trudno było odgadnąć, jakie ewentualne wątpliwości mogła zachować konkretna osoba. Niemniej stopniowo odrzucano dawne tabu, bo widziano w nich to, czym były - zakazami narzuconymi instynktowi, a zatem postępowaniem wbrew naturze. Cała reszta była jedynie wyuczonym odruchem, którego można się było oduczyć. Jednym przychodziło to łatwiej, innym trudniej. Mimo to wiarołomne żony nie zaczęły się cieszyć powszechnym szacunkiem.

W dniach, które nadeszły, nie mogłam odnaleźć równowagi. Z niechęcią myślałam o stawieniu czoła konsekwencjom związanym z nadchodzącym nowym rokiem, kiedy ponownie poczuje się odsunięta na bok. Jeśli w mojej sytuacji w ogóle można było mówić o jakiejś satysfakcji, to wynikała ona z tego, że usunęłam się natychmiast, kiedy zorientowałam się, że nie jestem już mile widziana przez Edmunda. Bo to się zawsze wyczuwa. I niełatwo jest odejść z wdziękiem. Ze złością pomyślałam o niewolniczej wręcz zależności Betsy od rodziny Fairliech. Jeden rodzaj przywiązania byłam w stanie zrozumieć, ale już nie to pomieszanie namiętności i przyjaźni. A ona najwyraźniej wmówiła sobie, że nie będzie to dla niej żadnym problemem. Kiedy stwierdziłam, że minęło dostatecznie dużo czasu i że jest teraz chwilowo wolna od obowiązków, zadzwoniłam i zaprosiłam ją na lunch.

- Mogłybyśmy potem pójść do Muzeum Wiktorii i Alberta - zaproponowałam. - Tam zawsze jest coś godnego obejrzenia. - I pomyślałam, znów zupełnie odruchowo, że miejsce publiczne i tak dystygowane jak galeria rzeźby w tym muzeum wykluczają możliwość tego rodzaju zwierzeń, jakich się teraz obawiałam. Dzięki temu rozwiązaniu mogłam zachować spokój i czułe ją przywitać. Ostatecznie byłyśmy przyjaciółkami od dawna.

Szczerze i życzliwie pochwaliła mój *quiche lorraine*.

- Chciałabym wiedzieć, jak się to przyrządza - oznajmiła.

- Pokażę ci. To nic trudnego.

- A ja myślę, że to trudne. Chciałam go podać, kiedy Edmund przyszedł na kolację, ale musiałam wyrzucić. Zamiast tego zjedliśmy omlet.

- Edmund przyszedł na kolację?

- No wiesz, jest sam, rodzina wyjechała. Prawdę mówiąc, często go widuję.

„Widuję” w tym kontekście używane jest przenośnie. Tymczasem jej mina nie była wcale jednoznaczna. Robiła wrażenie pewnej siebie, energicznej, ale niezbyt dobrze czuła się w

roli, którą ja kiedyś odgrywałam z przyjemnością. Była też trochę zaniedbana, co zupełnie do niej nie pasowało. Miała nawet zmiętą jedną klapę nie najnowszego już zakietu.

- Trzeba wyprasować - powiedziałam. - Mogę to zaraz zrobić.

- Ależ nie - zaprotestowała. - Sama to zrobię, jak tylko wrócę do domu.

- Zdejmij zakiet - rozkazałam i pożałowałam swoich słów, kiedy zobaczyłam podartą podszewkę.

Uśmiechnęła się blado.

- Wiem, wiem. Niestety, Edmund też to zauważył. Spytał nawet, czy brakuje mi pieniędzy.

- A brakuje?

- Nie, skądże. - Oblała się gorącym rumieńcem, zła na niego i na mnie.

- Gdybyś zrezygnowała z darmowej posady, mogłabyś znaleźć odpowiednią pracę i zarabiać prawdziwe pieniądze. Świetnie znasz francuski. Na pewno byś coś znalazła.

- Och, znajdę. Tylko obiecałam Constance, że pomogę im przy przeprowadzce.

- Kiedy to będzie?

- Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, niczego jeszcze nie postanowili. Constance w ogóle nie podoba się ten nowy dom, no, ale za starym też nie przepada. Narzeka na hałas, którego ja jakoś nie zauważam. W każdym razie już go sprzedano.

- Gdzie jest ten nowy dom?

- Też mi się nie bardzo podoba.

Nie pytałam o to. Najwyraźniej uważała się za uprawnioną do wyrażania własnej opinii na ten temat, zupełnie jakby miała tam kiedyś zamieszkać.

- Och, w bok od Oakley Street - dodała. - Wiesz, przy tym smętnym skwerku.

Zapisałam sobie w pamięci, żeby omijać tamtą okolicę podczas moich wędrówek. Był to zarówno akt wiary, jak i sprawa zasad, żeby już nigdy więcej nie spotkać się z Fairlie'ami. Dzięki temu będziemy mogli uważać się za nieznajomych, których nic wcześniej nie łączyło.

Próbowałam zmienić temat i opowiadałam jej o moim świątecznym spacerze, ale ona była bardziej niż zwykle rozkojarzona i okazywała brak zainteresowania moją historyjką. Cokolwiek było tego powodem, oznaczało, że coś zaprzęta jej myśli. To również było dla niej nietypowe, podobnie jak harda, zafrasowana mina, której w ogóle nie była świadoma. Wciąż sprawowała jakąś nadwątloną władzę, czemu można by przyklasnąć, gdyby nie jednoczesne oznaki zaniedbania. Robiła wrażenie, jakby obsunęła się o szczebel czy dwa na drabinie spo-

łecznej i postanowiła sobie, że nie będzie tego żałować. Podarta podszywka zakietu była jedynie zewnętrznym i widocznym tego znakiem. Wydawało się też, że miłość już jej nie uszczęśliwia, z czego wywnioskowałam, że chodzi tu o prawdziwe uczucie.

- Z radością znów zobaczę dzieci - oświadczyła.

- Na pewno szybko rosną - zauważyłam.

- O tak. - Westchnęła. - Za szybko. Nawet David - powiedziała tonem znamionującym właściciela, jakby jakaś ich część należała do niej.

- Jak widzisz tam swoją rolę?

- Część rodziny, jak sądzę. Zbędna część, ale ja wiem, jak się dopasować.

Zawsze uważała, że rodzina daje pełną ochronę, jakby to miało oznaczać, że jeśli się już zostanie włączonym do niej, to na zawsze.

Muzeum Wiktorii i Alberta odarło ją ze złudzeń, ledwie zdążyłyśmy się wspiąć po schodach i stanąć w drzwiach. Ku swojemu przerażeniu zobaczyłam Constance w towarzystwie starszej kobiety, bardzo do niej podobnej - siostry, jak przypuszczałam - nadchodzącą od strony sklepu. Ujęłam Betsy pod rękę, żeby ją stamtąd odciągnąć, ale było za późno.

- Constance! - wykrzyknęła radośnie. - Kiedy wróciłaś?

- Moja siostra - wyjaśniła Constance, mierząc Betsy wzrokiem, nas jednak nie przedstawiła. - Kilka dni temu. Zostalibyśmy dłużej, gdyby nie ta nieszczęsna przeprowadzka.

- Wiesz, że pomogę, ile tylko będę w stanie - oznajmiła Betsy.

- Prawdę mówiąc, chyba tam nie zamieszkamy. Myślmy o przeniesieniu się jeszcze gdzie indziej. A co u ciebie? - zwróciła się do mnie, na co mruknęłam coś wymijająco.

- Przykro mi w związku z twoim mężem. - Chwila milczenia. - Szczęśliwego Nowego Roku - dodała.

- Przyjdę jutro, dobrze? - odezwała się moja przyjaciółka.

- Co? Och, Betsy. Tak, możesz przyjść jutro, czemu nie? Mnie może nie być, ale ktoś cię wpuści.

Znów chwila milczenia. Zastygły wyraz twarzy jej siostry świadczył o tym, że jest doskonale zorientowana w sytuacji.

- To miłe z twojej strony, że zajmowałaś się moim mężem - oznajmiła Constance, a na policzki Betsy wypełzł zdradziecki rumieniec. - I trzeba koniecznie dopilnować, żeby nie brakowało ci pieniędzy.

- Nie ma potrzeby... - powiedziała Betsy.

- Och, sędzę, że lepiej się będę czuła, wiedząc, że dostajesz jakąś zapłatę.

Obelga zawisła w powietrzu, a Constance z uśmiechem na twarzy i siostrą u boku oddaliła się. Zacisnęłam dłoń na ramieniu Betsy.

- Chodź. Idziemy do domu - nalegałam, mocniej ściskając jej ramię.

Wyszliśmy w milczeniu.

- Nie pójdziesz, prawda? - spytałam.

- Oczywiście, że pójde. Chcę zobaczyć dzieci, zanim się rozjadą.

- Constance nie jest przyjaźnie nastawiona do kobiet - ostrzegłam. - Wiesz, w co się pakujesz?

- Nie martw się - odparła. - Ona bywa czasami troszkę nerwowa. Jestem do tego przyzwyczajona.

Patrzyłam za nią, jak odchodzi ulicą, ona jednak się nie odwróciła i nie pomachała mi. Był to dla mnie znak: wina leżała po mojej stronie, bo byłam świadkiem jej upokorzenia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wiele oznak zwiastowało wczesną wiosnę. Kiedy w porze świtania wyszłam po czasopisma, nadal panował mrok; była to jednak ciemność nieco złagodzona, nie tyle zresztą zmianami na niebie, ile samą zapowiedzią brzasku. Odebrałam to jako obietnicę bardziej znośnego dnia, ale wiedziałam, że obietnica ta rzadko bywa dotrzymana. Trzeba przetrwać ten ciągnący się czas, nim słońce się wreszcie przebiję, najlepiej jak umiemy, a to zwykle okazuje się bardzo trudne. Byłam zmęczona, ale zmęczona jak ktoś, kto ma raczej za mało niż za dużo do zrobienia, i tęskniłam za nocą, kiedy znów będę mogła zapaść w sen. Mimo to funkcjonowałam normalnie, tak mi się przynajmniej wydawało: nie miałam przecież pojęcia, jak w takiej sytuacji radzą sobie inni. Odżywiałam się należycie, chociaż już dawno przestałam gotować porządne posiłki, ubierałam się, jak sądziłam, stosownie, czasami tylko musiałam sobie przypominać, że nie jestem staruszką, której życie dobiega końca. Zachowywałam się tak, jak po mnie oczekiwano, pomimo że świadków mojego zachowania było niewiele.

- Lepiej pani wygląda - oświadczył mój fryzjer. - Martwiliśmy się o panią. - I znów ta zyczliwość była dowodem, że moje samopoczucie jest bacznie kontrolowane i oceniane jako zadowalające.

Byłam za to ogromnie wdzięczna, bo przecież wydawało mi się, że jestem zupełnie osamotniona. Nie stanowiło to takiego zagrożenia jak w okresie bezpośrednio po śmierci Digby'ego, chociaż ciągle miałam świadomość, że nie w pełni żyję, że nawet nie całkiem się obudziłam. Jak najwięcej czasu spędzałam poza domem; zadzwoniłam nawet do kilku dawnych koleżanek, jeszcze z moich przedmałżeńskich czasów, żeby umówić się na lunch. One jednak okazały się dużo pewniejsze siebie, niż kiedykolwiek ja byłam. Miały posady, których im zazdrościłam, i czułam się jak jakaś pokorna petentka, kiedy zabiegałam o to, by poświęciły mi godzinę swojego cennego czasu, w winiarniach i restauracjach położonych w pobliżu ich miejsc pracy. Ich opowieści były pełne aluzji, których nie rozumiałam, oraz nazwisk, których nie znałam. Nie próbowałam zataić mojej bezczynności, a one reagowały z otwartą dezaprobatą. „Co robisz przez cały dzień?” - było łatwym do przewidzenia pytaniem. Co robię? Nie byłam zupełnie bierna, albo przynajmniej to sobie wmawiałam, czas bowiem zdawał się mijać tak samo jak wszystkim. Nie był to jednak ten sam rodzaj czasu, którym żyli inni. Ja wypełniałam go pograżeniem się w myślach, kontemplowaniem zmian, choćby tych różnic natężenia światła, tych drobnych, nieistotnych wydarzeń i przypadków: kłębu brudnych piór w rynsztoku, który okazał się martwym gołębiem, cieplejszego powiewu wiatru, remontu prowadzonego przez nowego właściciela znanego mi sklepu, woni kawy dobywającej się z otwartych drzwi kawiarni. Często wyobrażałam sobie, że mogłabym coś zrobić z tymi wrażeniami, że jestem pisarką i że potrafię ułożyć z nich pewien obraz, choć na wymyślenie jakiegoś wątku narracyjnego już nie było mnie stać. Miałam niejasne poczucie, że bycie świadkiem jest swego rodzaju cnotą. Spacerowały wprowadzały mnie w stan przyjemnej zadumy. Jednocześnie wiedziałam, że nie mogę tego w żaden sensowny sposób wytłumaczyć swoim koleżankom i że moje próby odnowienia kontaktów z nimi okazały się niewypałem.

Dzwoniłam parę razy do Betsy, ale jej nie zastałam. Założyłam, że jest u Fairliech albo że pomaga w przenoszeniu ich ruchomości do nowego domu; w każdym razie nie zależało jej szczególnie na kontakcie ze mną. W naszej przyjaźni nastąpiło pęknięcie: prosty fakt mojej obecności w niezręcznym, krytycznym wręcz momencie, uczynił ze mnie wrogiego świadka, kogoś, kogo należy unikać. Ona była zapamiętałą w działaniu i jednocześnie bezbronną kobietą, która czyjeś najlżejsze wahanie odbierała jako dowód na to, że popadła w niełaskę. Żałowałam, że jej nie ma, ale nie miałam najmniejszej ochoty wchodzić ponownie w ten jej świat kultu dla wszystkich Fairliech, albo jeszcze gorzej - bardziej mrocznych sekretów, od których wolałam trzymać się z daleka. Było coś okropnego w tym, że swoim ostatnim gestem Edmund po-

zbawił mnie przyjaciółki, równie zresztą przykry okazał się fakt, że Betsy się z tym pogodziła, założywszy zapewne, że tak będzie roztropnie. Nadszedł czas, kiedy już pewnie była skłonna do zazdrości i tego rodzaju kalkulacji, które normalnie nie leżały w jej charakterze. Przedtem zawsze, jak daleko sięgnę pamięcią, to ja byłam dla niej wzorem. Posiadałam te wszystkie właściwe atrybuty, matkę, ojca, potem męża, prowadziłam dom otwarty dla gości, podczas gdy jej domy były zawsze prowizoryczne, nieodwiedzane. Nawet to jej obecne mieszkanie, gdzie jedynym gościem był Edmund, oparło się moim wysiłkom, by stać się miejscem bardziej przyjaznym dla ludzi z zewnątrz. Tak więc zostało zdegradowane do najskromniejszej z ról, stało się odcięte od świata kryjówką dla ludzi związanych mniej lub bardziej potajemnym układem.

Nie byłam tego wszystkiego pewna, ale jej milczenie mówiło samo za siebie. Odrzuciłam myśl, że mogłaby przeżywać kryzys wywołany wyrzutami sumienia; to wyłącznie jej sprawa, jaki wybiera sposób postępowania. Nie była już tym niewiniątkiem z Paryża, z rue Cler; nie tylko wplątała się w związek z żonatym mężczyzną, ale też, z lęku zapewne, nadal utrzymywała kontakty z jego żoną. Tak długo jak deklarowała swoje uczucia dla Constance (być może całkiem szczerze), mogła przekonywać samą siebie, że jej występki nie jest aż tak wielki, że tak naprawdę w ogóle występkiem nie jest, a jedynie jeszcze jedną częścią miłości, jaką darzy całą tę rodzinę. Wątpiłam, by Fairlie'owie postrzegali to wszystko w podobny sposób. Jej wyjątkowy brak sprytu mógł ich przekonać, że Betsy nie jest żadnym zagrożeniem dla stabilności ich rodziny. Może przyznawali, że szczerze pokochała ich dzieci. A może się z niej naśmiewali. Istniało też prawdopodobieństwo, że to emanujące z niej nieuleczalne dobro wzięło górę nad ich cynizmem. Zapewne nigdy wcześniej nie zetknęli się z czymś takim.

Wiedziałam, że oboje są demonicznie podstępni i bezwstydni i że takiej perfidii Betsy nie byłaby w stanie pojąć. Z perspektywy czasu widziałam, jak ich charaktery znakomicie się dopełniają, a oni sami stają się równymi sobie sojusznikami. Wcześniej z czymś takim spotkałam się jedynie na kartach książek i nawet w tej formie było to zatrważające. Mnie samej też nie do końca udało się uniknąć ich wpływu, choć na szczęście resztki rozsądku kazały mi się odwrócić do tej pary plecami. Sytuacja stałaby się naprawdę niebezpieczna, gdybym zaczęła myśleć tak jak oni. Mogłam przecież wmówić sobie, że nie ma nic złego w moim, a nawet w ich zachowaniu, a takie staczanie się to jedynie godna pozazdroszczenia droga ku dojrzałości, doświadczenie bowiem jest cenne, niezależnie od sposobu, w jaki się go nabywa. Nawet moje wiaromstwo wydało mi się kiedyś zabawne: czyż nie byłam z jego powodu osobą bardziej interesującą? Nigdy nie przyszło mi do głowy, że w tej dziedzinie istnieją osoby bardziej ode mnie

doświadczony; człowiek przecież nie podaje w wątpliwość satysfakcji fizycznej. Mój dobry nastrój w tamtym okresie wynikał ze złudzenia, że nie mam się czego lękać; teraz widziałam, że powinnam była patrzeć na siebie ze zgrozą. Lękamy się utraty niewinności, nawet kiedy ta niewinność jest równoznaczna z niewiedzą. Boimy się utraty czystości, która czyni nas ślepyimi na niepospolitą perfidię innych i powoduje, że owa perfidia jawi nam się jako jakiś cenny, kluczowy sekret, zdolność, która nie była nam dana, a mogłaby się okazać bardzo przydatna.

Już samo to wystarczyło, żebym rozważyła własną samotność i ze szczerym zdumieniem spojrziała wstecz na swoje niedawne występki. Uzyskałam możliwość zmierzenia dystansu, który musiałam pokonać, żeby znaleźć się w obecnej, względnie bezpiecznej sytuacji. Wiedziałam, że Betsy nie będzie miała ani tej pociechy, ani tej pewności siebie. Zawsze zależało jej na dobrej opinii i gdyby na nią nie zasługiwała, uznałaby to za skazę na własnym charakterze. Jej potrzeba, by wszystkich zadowolić, i to posuwanie się zbyt daleko w chęci zadowolenia innych, w tamtych odległych, szkolnych czasach postrzegano jako coś śmiesznego; to oczywiste, że w takim wieku nie dostrzega się tragedii tkwiącej w podobnych wysiłkach. Teraz jej sytuacja była prawdopodobnie jeszcze bardziej niepewna: jak zadowolić osobę, której wyrządza się krzywdę? Mogła to osiągnąć jedynie przesadnym oddaniem, użytecznością, pokornym przyjmowaniem zadań, które, o czym doskonale wiedziała, były znacznie poniżej jej godności czy kwalifikacji. Obiecana nagroda nie byłaby niczym więcej jak krótkim spotkaniem z kochankiem, jeśli nadal nim był. A to nie uchroniłoby jej przed zdeklasowaniem, które zresztą zdawało się dotyczyć ją przez całe życie. Wolałabym, żeby pozostała tamtą dziewczyną, która przyjechała z Paryża na mój ślub, o nienagannym wyglądzie i bezgranicznej ufności. Bezskutecznie usiłowałam sobie wmawiać, że podarta podszewka żakietu jest czymś nieistotnym. Zakłopotanie, jakie z tego powodu odczuwałam, musiało przecież coś znaczyć. Mogło brakować jej pieniędzy; nie miałam jak tego sprawdzić. Możliwe też, że za tą jadowitą uwagą Constance stał sam Edmund. A jeśli zmuszą ją do przyjęcia pieniędzy, to jej zobowiązania wobec nich nigdy się nie skończą.

Dlatego odczułam jednocześnie i ulgę, i pewne rozczarowanie, kiedy zadzwonił telefon i nie usłyszałam w słuchawce głosu Betsy, którego zapewne nieświadomie oczekiwałam, tylko głos Nigela Warda, proponującego następną wyprawę w najbliższą niedzielę, tym razem do Regent's Park i Primrose Hill.

- Grupa nie będzie taka liczna jak poprzednio - oznajmił. - Taka niewielka gromadka. To dla nich nudna pora roku. - Zamilkł na chwilę. - Jeśli w ogóle jest pani zainteresowana - dodał. - Stacja przy Baker Street. Godzina dziesiąta. Nie trzeba mnie powiadamiać o decyzji.

- Nie będę mogła się doczekać - powiedziałam.

Wycieczka okazała się nieudana. Pogoda raptownie się pogorszyła; zerwał się wiatr - nasz rodzimy odpowiednik *tramontane*, fenu - taki, który działa człowiekowi na nerwy i budzi mordercze instynkty. Nim dotarłam do Baker Street Station, miałam potargane włosy i załamane oczy. Studenci, dwóch Hindusów, dwóch Japończyków oraz Nigeryjczyk, byli wyraźnie rozczarowani, podobnie jak ja, tym szczególnym całunem, jaki spowija Londyn w niedzielę. Ulice zmatowiały pod zapowiadającym deszcz niebem. Pan Ward, promieniujący dobrymi intencjami jak święty cnotami, zajmował ich rozmową, ale ich nastroje nie pozwalały im tego docenić. Kiedy wyruszyliśmy w drogę, postronnemu obserwatorowi mogliśmy przypominać parę obowiązkowych rodziców wyprowadzających na spacer gromadkę niezadowolonych nastolatków. Nie znaleźliśmy najmniejszego uroku w na pół sielskim otoczeniu. Studenci tęsknili, podobnie zresztą jak ja, za jakimiś oznakami wielkowiejskiej krzątaniny, ale próżno było tego szukać w parku. Zieleń trawy była odpychająco zimna; panujący chłód pobudzał do tęsknoty za innym klimatem, za innymi kolorami. Nim wyszliśmy z parku, znalazłam wymówkę, a właściwie całą serię wymówek, żeby pożegnać się i odejść, nie urażając przy tym pana Warda, który okazał się osobą cierpliwą, otwartą i niezwykle pogodną. Ktoś wyjątkowo przewidujący, pomyślałam, musiał powierzyć mu to zajęcie. Na nieszczęście przez tę swoją dobroduszość pan Ward był zwyczajnie nudny, wydawał się wręcz unижony, przypominał nauczyciela z jakiejś moralizatorskiej dziewiętnastowiecznej powieści, niedocenianą postać, pogardzaną nawet przez czytelników.

Wszystkie jego wysiłki doprowadziły do tego, że nasza gromadka, ze mną włącznie, robiła wrażenie prostaków i gburów. Chciałam czegoś więcej niż tylko przechadzek po parku, podobnie jak ci studenci, którzy trzymali się uparcie razem, zupełnie nie doceniając uroków otoczenia. Pan Ward, człowiek niegłupi, wiedział, że to konkretne przedsięwzięcie okazało się fiaskiem, jednak był na tyle dobrze wychowany, by nie dać tego po sobie poznać, i nadal przemawiał uprzejmie, choć jego głos niemal zanikał w raptownych porywach wiatru. Robił wrażenie człowieka całkowicie odpornego na sporadyczne kaprysy losu, bohaterskiego i jednocześnie nijakiego. Obserwowałam jego poczynania ze zniecierpliwieniem i bez cienia współczucia. Znużył mnie też marsz w otoczeniu niezadowolonych ludzi. Co istotniejsze, zdałam sobie

sprawę, że lepiej radzę sobie bez towarzystwa. Najwyraźniej moim przeznaczeniem była samotność. Żałowałam, że tak jest, ale to odkrycie nie wyprowadziło mnie z równowagi. Jeśli w ogóle pragnęłam towarzystwa, to wystarczyłaby mi jedna osoba i wtedy skwapliwie wykorzystywałamby możliwość kameralnej rozmowy. Na tyle jedynie było mnie stać. Cała koncepcja przyjaźni musi zostać przeformułowana, jeśli w ogóle ma coś znaczyć. Pomyślałam, że w przyszłości trzeba będzie ustanowić własne standardy. Konieczna jest nie ustepliwość, ale wprost przeciwnie, zaostrome wymagania.

Zatęskniłam za mężem, którego pan Ward w dziwny sposób mi przypominał. Nie fizycznie, bo był nadzwyczaj wysoki i chudy, Digby natomiast był średniego wzrostu i tuszy. Podobieństwo dotyczyło zachowania. Obaj byli uprzejmi wobec kobiet - cecha dość rzadko spotykana i znamionująca dżentelmena. Nie musiałam znać pana Warda dłużej, żeby być o tym całkowicie przekonana. Czułam się w jego towarzystwie bezpieczna i cierpliwie znosiłam ogarniające mnie znudzenie, jakby zobowiązywała mnie do tego długa znajomość. Po dwóch zaledwie spotkaniach - tym drugim w dodatku mało satysfakcjonującym - wiedziałam, że byłby dobrym przyjacielem, gdyby tylko pozwolił sobie na nieco więcej swobody w zachowaniu i upodobaniach; niestety nic nie wskazywało na to, że potrafiłby zmienić jedno lub drugie. Pomyślałam przez chwilę o jego małżeńskim, nawet o seksualnym statusie, ale tylko dlatego, że pod tym względem byłam zepsuta i nazbyt chętnie rozważałam plany, jakich nie poczyniłby żaden dżentelmen. To jednak był teren zakazany, na który nie należało ponownie wchodzić, co nie przeszkodziło mi zaproponować panu Wardowi, by wpadł do mnie któregoś dnia na drinka.

- Proszę koniecznie zadzwonić, kiedy będzie pan miał wolną chwilę - nalegałam z entuzjazmem spotęgowanym widokiem zesłanej przez opatrznosc taksówki. - Zawsze wracam do domu przed piątą.

Skłonił głowę, jakby przyjmował jeszcze jedno wyzwanie, z którym stanowczość w podążaniu do celu pozwoli mu sobie poradzić. Cała grupka obserwowała mój odjazd. Odczuwałam wstyd, jakbym ich zawiodła, a przecież tak naprawdę oni mi po prostu zazdrościli. Moja decyzja spotkała się zapewne ich aprobatą. Czułam, że pan Ward wywarł na mnie wpływ swoją szlachetnością: sprawił, że miałam ochotę postępować lepiej.

Po powrocie do domu poczułam ogromną ulgę, zupełnie jakbym oparła się jakiemuś praniu mózgu. W tym krótkim czasie zaproponowano mi serię spokojnych rozrywek w skromnym towarzystwie doskonale szacownego mężczyzny. W najlepiej pojętym własnym interesie powinnam była pokornie poddać się procesowi, który co prawda mógł sięgnąć daleko w przy-

szość, ale nie nadawałam mu wielkiej rangi. A przecież perspektywa ta mnie rozzłościła. Bo nie chciałam wypaść ze swojej roli, osoby przygnębionej, a jednocześnie dysponującej niewyczerpaną skarbnicą złych nawyków. Wiedziałam, że powinnam bez najmniejszego wahania poddać się właściwemu impulsowi, ale jednocześnie nie mogłam zadowolić się towarzystwem ludzi tylko dlatego, że są poczciwi i użyteczni dla innych. Nawet zachowanie Betsy wydało mi się bardziej naturalne, bardziej zrozumiałe, nawet bardziej sympatyczne od tej nienagannie uczciwej postawy osób, których postępowanie przez cały czas wystawione jest na widok publiczny. Nie miałam już ochoty poddawać się temu sprawdzianowi. Z zadowoleniem powitałam anarchię i już zdążyłam dowieść, że wiem, jak sobie z nią radzić. Jednocześnie odczuwałam brak drugiej osoby, tak jak tylko potrafi to odczuwać osoba samotna. Problem w tym, że towarzystwo osoby, która ewentualnie mogła mi je zaproponować, jak na mój gust niosło ze sobą zbyt dużo spokoju, by okazać się interesujące. Mimo wysiłków nie udało mi się rozwiązać tej kwestii. Przespałam większość tamtego niedzielnego popołudnia, a wieczorem oglądałam telewizję. Przed pójściem spać zupełnie niedorzecznie poczułam się dumna tylko z tego powodu, że zrobiłam to, na co miałam ochotę.

Moje rozważania straciły znaczenie, a przynajmniej zostały odsunięte na dalszy plan dwa dni później. Wracałam jak zwykle z zakupów, kiedy nagle zorientowałam się, że obok mnie zatrzymuje się jakiś samochód.

- Elizabeth, masz chwilę? - bez żadnych wstępów zapytał Edmund.

Skinęłam głową, jakby spotkanie z nim na światłach przy King's Road było najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Wsiadłam do auta, nie tylko świadoma tego, że widzę go pierwszy raz od wielu miesięcy, ale też dziwnie spokojna, jakbym cały czas wiedziała, że któregoś dnia się spotkamy. Chciałam mu zadać mnóstwo pytań, ale milczeliśmy oboje, patrząc przed siebie, jak dwoje zwyczajnych ludzi jadących samochodem w zwyczajne popołudnie, nazbyt zajętych własnymi myślami, żeby wdawać się w rozmowy. Patrząc na niego spod oka, zauważyłam pewne wyraźne zmiany. Zdawało mi się, że się zestarzał, nie wciągnięty brzuch był niewątpliwie wydatniejszy, niż zapamiętałam, miał więcej zmarszczek, włosy dłuższe i poprzetykane pasemkami siwizny. Wyglądał na potwornie zmęczonego, co prawda wciąż był pewny siebie, ale już nie tak triumfujący, jakiego go zawsze pamiętałam. Tą pewnością siebie, tą wiarą w to, że przechrzył bogów, poniżał innych. Nikt, kto znalazł się w zasięgu jego badawczego spojrzenia, nie był w stanie ukryć swoich uczuć; wszystko było dla niego czytelne od pierwszej chwili.

- Powstała dość niezręczna sytuacja - oświadczył w końcu.

- O?

- Nie wiem, jaki masz wpływ na swoją przyjaciółkę...

- Rozumiem, że mówisz o Betsy. Żadnego. Czy zamierzałeś mi się zwierzyć? Bo jeśli tak, to chciałam cię ostrzec...

- Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałaś? - Zignorował moje słowa.

- Już jakiś czas temu. Nie odbiera telefonów. Nie wiem, gdzie się podziewa.

- Mogę ci powiedzieć, gdzie się podziewa. W moim domu, pod różnymi pretekstami, całkiem zresztą mglistymi. Chociaż muszę przyznać, że ogromnie nam pomogła przy przeprowadzce.

- No i jak to wygląda? Jesteście zadowoleni?

- To był błąd. - Pokręcił głową.

- Cóż, nic na to nie poradzę. A w czym w ogóle jest problem? - spytałam. Ponieważ ta rozmowa miała dotyczyć Betsy, byłam chłodno bezstronna; nadzieja dotarcia do jego świadomości już nie istniała, nie było więc miejsca na wyrachowanie ani zwykłą przezorność.

- Problem w tym, że Constance zaczyna się irytować. Nie, żeby doszło do jakiegoś sporu między nimi... Constance nawet stara się być poza domem, kiedy zjawia się Betsy. Tylko że Constance przestała ją lubić. Zupełnie irracjonalnie...

- Nie tak zupełnie.

- Cóż, może i nie. Jednak moje małżeństwo nigdy nie było zagrożone. Constance to wie. I Betsy wie, że jestem żonaty, zawsze to wiedziała. Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś zamienić kilku słów...

- Dlaczegoż to ty nie możesz zamienić kilku słów?

Zatrzymał auto w dyskretnym miejscu przy bocznej uliczce, gdzieś w Kensington, i z dłońmi luźno złożonymi na kierownicy siedział i patrzył w zamyśleniu przed siebie.

- Nie chcę jej zranić - odezwał się w końcu. - I nie potrafię zabronić jej przychodzić do naszego domu. Pojawia się, jakby było to coś najbardziej naturalnego pod słońcem, jakby była członkiem rodziny.

- Bardzo taktownie to ująłeś. - Skrzywiłam się. - A mówisz, że nie chcesz jej zranić. Dlaczego niby nie? Kochasz ją? - Te ostatnie słowa wycedziłam przez zęby, wiedząc, że trzeba wreszcie stawić czoło prawdzie.

- Doszło do pewnego zaangażowania - przyznał.

- Och, dajże spokój.

- Pewnie trudno ci to zrozumieć. Ona w ogóle nie jest w moim typie. Cokolwiek zrobię i tak nie zmieni to faktu, że to wszystko raczej mnie zaskoczyło.

- Zatem to już koniec, prawda?

Uniósł ręce nad kierownicę w bezradnym geście i pozwolił im ponownie opaść.

- Tak będzie najlepiej. Muszę myśleć o Constance. I o dzieciach.

- Myślałam, że ona kocha twoje dzieci.

- Owszem. Za bardzo. Chce być ich powierniczką i tak dalej. To znaczy dziewcząt. David nie zwraca na nią uwagi.

- To chyba zupełnie niegroźne? Bezdziętne kobiety często darzą miłością cudze dzieci.

- Nie chcę, żeby znalazły się pod jej wpływem.

- Jestem pewna, że ona potrafi być bardzo dyskretna. - W rzeczywistości nie byłam wcale taka pewna; Betsy nigdy nie była dyskretna, jeśli chodziło o jej uczucia, a teraz byłaby jeszcze mniej niż kiedyś. Uważałam, że w tych okolicznościach Edmund będzie prawdopodobnie bardziej dyskretny od niej. Kierowałby nim ten bezwzględny instynkt opiekuńczy, jaki mężczyźni jego pokroju odczuwają w stosunku do własnych córek, gotowi znienawidzić każdego mężczyznę, który mógłby je wyrwać z ich strefy wpływów. Bliższe relacje ze starszą kobietą, jej rady, mogłyby popchnąć dziewczęta ku niezależności, zwrócić ku innym uczuciom, a tego on nie byłby w stanie znieść.

- Co chcesz, żebym zrobiła, Edmundzie? Bo to w żadnym razie nie moja sprawa. Nigdy nie chciałam niczego wiedzieć, ani o twoim małżeństwie, ani o romansach, a co dopiero o tym. W tej sprawie nie mogę wziąć niczyjej strony. Musisz sam to rozwikłać. Co w tym takiego trudnego? Na pewno nieraz już robiłeś podobne rzeczy.

- Widzisz, ona mi ufa. - Głos miał smutny, jakby bardzo tego zaufania nie chciał, ale musiał przyjąć je jako fakt. - I tak niewiele ma z życia; to okropne mieszkanie, żadnych przyjaciół oprócz ciebie. Żadnej rodziny.

- Od tego właśnie zaczęły się wszystkie kłopoty. Zawsze chciała mieć rodzinę; myślę, że nawet widziała siebie w otoczeniu własnych dzieci. Z jednej strony dałeś jej to, czego pragnęła, z drugiej, skrzywdziłeś ją.

Czułam, jak narasta mój gniew, kiedy tak rozprawiałam na temat braków i potrzeb Betsy, które akurat pokrywały się z moimi. Mogłam mu powiedzieć znacznie więcej, ale tego nie zrobiłam: jak to obie byłyśmy w tym wieku, kiedy nasze ciała zaczynały wysyłać niechętnie

przyjmowane sygnały, zapowiadające zmianę, z którą trudno się pogodzić. Tego mu nie powiedziałam, nie z litości, ale dlatego, że mógł się poczuć zdegustowany. Ponadto byłam świadoma, że podczas całej tej rozmowy ani razu nie zapytał o mnie.

- Gdzie cię podrzucić? - spytał, włączając silnik. - Dokąd się wybierałaś?

- Wracalam do domu. Zawieź mnie do domu, jeśli jesteś tak uprzejmy. Możesz też zostawić mnie tutaj. Wrócę pieszo. Przyda mi się trochę świeżego powietrza. - W samochodzie zrobiło się gorąco, wręcz duszno, powietrze było ciężkie od naszego zakłopotania. Edmund musiał odczuć to szczególnie dotkliwie, bo opuścił nisko szybę.

- Oczywiście, że odwiozę cię do domu. Wciąż mieszkasz w tym samym miejscu?

- Owszem. Dobrze, zawieź mnie do domu. - Było to jedyne miejsce, gdzie czułam się bezpieczna, gdzie nie musiałam być taktowna, powściągliwa, gdzie nie musiałam pilnować niczyich spraw oprócz własnych. Nawet telefon mógł teraz okazać się moim przeciwnikiem. Lepiej, żebym trzymała się z dala od Betsy. Trzymanie się z dala od Edmunda przestało być problemem, wiedziałam bowiem, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

- Musisz zrozumieć, że najważniejsza jest dla mnie rodzina - mówił właśnie. - I Constance. Ona jest bardzo wzburzona.

- Jest takie stare powiedzonko o tym, jak prześladowają nas dawne grzechy.

- Nie widzę tego w taki sposób.

- Prawdę mówiąc, ja też nie. Musisz jednak przyznać, że jest w tym pewna ironia losu. Ty szukasz pomocy u mnie.

- Przecież jesteś jedyną osobą, którą mógłbym o to poprosić - zauważył szczerze zdziwiony. - Nie spodziewałem się, że potraktujesz to tak osobiście.

- Sam musisz rozwiązać swoje problemy, Edmundzie. A jeśli nie potrafisz, jestem pewna, że zrobi to za ciebie Constance.

- Nie postawiłbym jej w takiej sytuacji.

Nic dodać, nic ująć. Siedzieliśmy tak w samochodzie; żadne z nas nie wykazywało chęci, żeby się ruszyć. W końcu zwróciłam ku niemu wzrok, wiedząc, że to już ostatni raz. Patrząc na jego bezradnie opuszczone ramiona, zrozumiałam, że jest taką samą ofiarą jak ja, jak Betsy, a nawet Constance. Jakieś poczucie... czego? bo przecież nie sprawiedliwości, dało o sobie znać i pobudziło do zastanowienia się nad sytuacją, która kiedyś wydawała się tak beztrzesko naturalna, nie podlegająca szczegółowej analizie. Może to był ten klasyczny przypadek, kiedy jedy-

nym dogodnym rozwiązaniem okazuje się definitywne zakończenie całej sprawy, czy się to komuś podoba czy nie.

- Bądź dobry dla swoich córek - powiedziałam. - Uwolnij je.

- Nie mógłbym bez nich żyć. Są dla mnie całym światem.

- Nie zapominaj o tym. Są ważniejsze od Constance. Od twojego małżeństwa, mimo że tak wzniosie o nim mówiłeś.

- Wiem.

Wyglądało na to, że nie będzie pożegnań, a przynajmniej nie takie, jakie maskuje się niejasnymi zapewnieniami o ponownym spotkaniu. Pogodziłam się z tym. Edmund był zbyt zadumany, żeby zauważyć, jak otwieram drzwi auta z zamiarem pozostawienia go własnym myślom. Wątpię, czy był świadomy momentu, w którym został sam. Natomiast ja, odchodząc, byłam świadoma każdego swojego kroku. Czułam w tym wszystkim jakąś ostateczność, z którą nie zamierzałam się spierać. Człowiek zawsze rozpoznaje, kiedy sytuacja jest nieodwracalna, niezależnie od okoliczności. I chociaż teraz mogłam bez trudu, pod różnymi pretekstami, znów się do niego zbliżyć, to przecież wiedziałam, że nigdy tego nie zrobię. Nie była to decyzja natury moralnej. Wynikała raczej ze smutku, jaki oboje odczuwaliśmy, smutku znacząco różnego w przypadku każdego z nas, będącego rezultatem przyjęcia z pokorą tego, co nieuchronne. Nadal nic o nim nie wiedziałam, straciłam okazję, żeby porozmawiać z nim w zwyczajny, błahy sposób, zapytać o nowy dom. Ale to nie miało już znaczenia. Betsy również nie zajmowała moich myśli. Zdarzenia, zaplanowane przez Parki czy furie, potoczą się bez naszego przyzwolenia, jak zwykle. Nie myślałam nawet o sobie. Myślałam o starzejącym się w tak widoczny sposób Edmundzie, który najwyraźniej zaczynał rozumieć, że przestał już być ulubieńcem bogów. Poczułam, że za to go jeszcze bardziej kocham, i oplakiwałam, jakby to on niedawno umarł.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wiadomo, że naszym życiem rządzi przypadek, więc nie zdziwiłam się wcale, kiedy wkrótce potem spotkałam Betsy przed Peterem Jonesem. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się ani nie pragnęłam tego spotkania. Zdecydowałam bowiem, nie mając zresztą innego wyboru, że nie chcę brać udziału w grze, w której przydzielono mi rolę tak podrzędną i tak dwuznaczną, że sama rezygnacja z niej przyniosła uczucie wyzwolenia. Zdawało mi się, że gdyby los ponownie zetknął mnie z Edmundem, odczuwałabym do niego szczerą niechęć i zapewne on darzyłby mnie podobnym uczuciem. Dawno temu, kiedy byłam dzieckiem, musiałam nieraz uspokajać skłóconych rodziców. Osiągałam to, zachowując bezwzględne milczenie, co nie mogło pozostać bez wpływu na nich. Dopóki byłam z nimi w pokoju i nie opowiadałam się po żadnej stronie, mówili przyciszonymi głosami, przybierali pokojowe miny i odnosili się do mnie przychylnie. Wówczas byłam im za to wdzięczna, ale znacznie później, kiedy mieszkałam sama w Paryżu, znosząc niewygodę w tamtym skromnym otoczeniu, zaczęłam mieć wątpliwości zarówno co do ich zachowania, jak i mojego. Zrozumiałam, że nie mam służalczej natury, wręcz przeciwnie. Było oczywiste, że właśnie brak sprzeciwu wobec przypisanej mi roli w sposób pośredni doprowadził do tego nieoczekiwanego wybuchu samowoli w moim późniejszym życiu. Kiedy zobaczyłam Betsy, w ten z rzadka tylko rozświetlany słońcem poranek, po raz pierwszy uprzytomniłam sobie, że już nigdy nie będę musiała odgrywać żadnej z tamtych ról. Czułam, że najlepszym rozwiązaniem dla mnie będzie życie osoby zupełnie wolnej, nie związanej z nikim, w żaden sposób, a kiedy inni przyjmą to do wiadomości i zrozumieją, pozwolą mi pierwszy raz w życiu zachować pewną godność.

Żałowałam już wtedy, przy pierwszym spotkaniu z Betsy, że nie potrafię przywitać się z nią serdeczniej, czy też ze spontanicznością, którą niestety utraciłam. Brakowało mi przyjaciółki, chociaż nie umiałam zaufać nikomu, ani przyjacielowi, ani kochankowi. Z prawdziwą tęsknotą wspominałam tamte dawne czasy, kiedy nie tylko się znałyśmy, ale i wiedziałyśmy o sobie wszystko. Nadal miałam w domu, w pudełku do szycia, pusty flakonik po perfumach, które Betsy podarowała mi na jakieś dawno zapomniane urodziny: miałyśmy wtedy trzynaście czy czternaście lat. Pomyślałam, że zachowała się wówczas dość naiwnie, sentymentalnie, a jednocześnie wysoko sobie ten upominek ceniłam. Teraz dobitniej niż kiedykolwiek przypominał mi o takiej przyjaźni, jaką trudno odtworzyć w złożonej rzeczywistości dorosłego życia, i dlatego tamten czas, niezadowolający pod każdym niemal względem, teraz symbolizował stra-

tę. Miałam ochotę, tak jak wtedy, podnieść bez zastanowienia słuchawkę telefonu, zapytać o coś mało istotnego, jak zadanie domowe, i usłyszeć odpowiedź wypowiedzianą podobnym, lekkim tonem, a potem jakieś jej pytanie. Nie byłoby w tej rozmowie żadnych forteli, żadnych wybiegów, i to byłoby w tym najlepsze. Pragnęłam, żebyśmy znów doskonale się rozumiały i nadal mogły na sobie wzajemnie polegać.

Niestety, pełne zaufanie nie było już możliwe, pewne fakty należało przemilczeć, istniały bowiem rzeczy, które trzeba było zachować w tajemnicy, oraz rozmowy, w które dałyśmy się wciągnąć, może nawet wbrew naszej woli. Mimo swojej niezachwianej naiwności Betsy na pewno się zorientowała, że Edmund odegrał jakąś rolę w moim życiu, a może już go nawet o to pytała i usłyszawszy niewygodną odpowiedź, zareagowała w jedyny znany sobie sposób - gorącymi zapewnieniami o sile własnego uczucia. Różniło się to tak zdecydowanie od nieocen-zurowanych rozmów z naszych młodych lat, że poczułam bolesne ukłucie nostalgii za tym cza-sem utraconym. Przyjaciele z młodości są zapewne jedynymi ludźmi, którzy nas znają we wła-sciwy, pełny sposób, bo oceniają widoczne cechy charakteru w powiązaniu z naszym pocho-dzeniem i środowiskiem. Obecnie moje pobożne życzenia nie dotyczyły wielkiej miłości, ale tego, by raz jeszcze, nim będzie za późno, widziano mnie właśnie w taki sposób. Serdeczne wsparcie - troska - jakim instynktownie otaczają się wzajemnie takie przyjaciółki, została mi odebrana, została odebrana nam obydwu. A ten mały flakonik po perfumach w pudełku do szy-cia, niemal niewidoczny za nożyczkami i szpulkami nici, będzie mi przypominał o tamtym cza-sie, zanim moim życiem, a w nieco mniejszym stopniu życiem mojej ówczesnej przyjaciółki, zaczęły rządzić rozsądek i przebiegłość.

Zdażyłam zauważyć, jak przez jej radosną twarz przemknął cień, ledwo widoczna oznaka niechęci. Niedługo potrwa, a niechęć rozkwitnie w nieufność, mimo że Betsy też przecież tęsk-niła do tamtej przyjaźni sprzed lat. Trzeba by być osobą o wiele mniej samotną niż ja, żeby przeoczyć tę subtelną zmianę w sposobie, w jaki na mnie patrzyła; naturalna skłonność do za-uważania drobiazgów w życiu codziennym pozwoliła mi dostrzec ten przebłysk niepokoju w jej powitaniu. Moja twarz, jak zawsze pod kontrolą, na pewno nie zdradzała żadnych uczuć, poza tymi oczywistymi, związanymi z przypadkowym spotkaniem. Obie miałyśmy mieszane uczu-cia; szczerze uradowane spotkaniem obmyślałyśmy jednocześnie, które informacje ujawnić, a które ukryć. Trzeba przyznać, że obie zdawałyśmy sobie sprawę, że sytuacja jest delikatna, i starałyśmy się znaleźć dla niej jak najlepsze rozwiązanie. Nadal bowiem obowiązywały nas pewne zasady z dzieciństwa. Kiedyś podjęłybyśmy rozmowę w miejscu, w którym ją przerwa-

łyśmy. Teraz musiałyśmy znaleźć sposób, by poradzić sobie z sytuacją, której żadna z nas nie chciała dopuścić do swojej świadomości, bo wiedziałyśmy aż nadto dobrze, że może nas jeszcze bardziej rozdzielić. Jednocześnie starałyśmy się usilnie, by nie dać po sobie poznać, że przeżywamy jakieś rozterki.

Przemyślała wszystko bardzo szybko, co nie znaczy, że uszło to mojej uwagi. Była zarówno zadowolona, jak niezadowolona z tego, że mnie widzi; przynajmniej raz byłam tą bardziej wytrwałą przyjaciółką. Mimo że obawiałam się jej zwierzeń (a nie wątpiłam, że w którymś momencie do nich dojdzie), miałam wielką ochotę rozmawiać z nią w duchu naszej teraz już utraconej przyjaźni, miałam nadzieję, że zobaczy mnie taką, jaką kiedyś byłam i jaką ona również była. W dzieciństwie maskowała braki wynikające z niedostatku dbałością o szczegóły, a jej promienna twarz pozwalała nie zauważać skromnych sukienek i niemodnych butów. Teraz jeden rzut oka wystarczył, bym zauważyła, że wszystko to całkowicie się odmieniło. Ubrana była w elegancki szary spodniom, tylko włosy miała w lekkim nieładzie, jakby wymykały się jej spod kontroli. Przypominała te wchodzące do sklepu kobiety, wyglądała, prawdę mówiąc jak ja sama, z jedną tylko drobną różnicą. Robiła wrażenie osoby, która zmieniła swój status na wyższy od tego, który wcześniej bez skargi znosiła. Miała tę zaabsorbowaną, odrobinę wyniosłą minę kobiety obciążonej brzemieniem spraw domowych, która musi zaspokoić apetyty, zadbać o rodzinę. Często uderzał mnie ten wyraz twarzy u innych kobiet i myślałam o przewadze, jaką mają nade mną. Żalowałam, że utraciłam swoje umiejętności kulinarne, a czas zmarnowałam na leniwe rozmyślania. Kobiety te wyglądały na osoby, które czegoś dokonały, odniosły jakiś sukces, zupełnie jakby przeszły sprawdzian wszechstronnych uzdolnień. Sprawdziły się również jako osoby godne pożądanego, gdy tymczasem ja wiedziałam, że w tej konkurencji już większych szans nie mam. Byłam natomiast przekonana, że Betsy, którą znałam lepiej niż ktokolwiek, posiada odpowiednie ku temu kwalifikacje. Wyczuwało się w niej coś z owej wyrażającej zadowolenie żwawości, która była czymś więcej niż tylko przykrywką dla jej prawdziwych uczuć, jakiegokolwiek one były, a które najwyraźniej dawały jej radość i które hołubiła.

- Cóż za wspaniała niespodzianka - zawołała. - Wygląda na to, że jest nam przeznaczone spotykać się tutaj. Masz czas na kawę? Świetnie wyglądasz.

Weszłam za nią potulnie do restauracji, gdzie zajęła miejsce, jakby się jej ono zawsze należało, podniosła rękę, by przywołać kelnerkę; nigdy przedtem na taki gest by sobie nie pozwoliła.

- Niech ci się przyjrzę - powiedziała z pasującą do tamtego gestu miną posiadaczki. - Tak, naprawdę świetnie wyglądasz. Co porabiałaś?

Pytanie to tak mi przypominało tamte, zadawane przez moje naprawdę zapracowane koleżanki, że potraktowałam je tak samo, jak postanowiłam to robić wcześniej, kiedy parę razy poczułam się tym pytaniem upokorzona: zwyczajnie je zignorowałam.

- To dziś nie pracujesz? - zapytałam, z nadzieją przejścia na pewniejszy grunt. Ośmieliłam się zadać to pytanie, bo poczułam niesmak wywołany fałszem, jakim podszyte były teraz nasze stosunki.

- Rzeczywiście, jakoś poradzą sobie dzisiaj beze mnie - roześmiała się. - Prawdę mówiąc, auta Constance już nie było, kiedy tam dotarłam. Musiała wyjechać dość wcześnie.

- Zastanawiasz się czasem nad tym, czy ona cię tam jeszcze potrzebuje?

- Och, sądzę, że udowodniłam swoją użyteczność. Może moja pomoc będzie znowu potrzebna, jeśli nie zdecydują się tam zostać. Constance nie może się przyzwyczaić do tego domu. To zadziwiająco, jak łatwo niektórzy ludzie się poddają.

- Ja bym pozostawiła ich samym sobie, żeby się jakoś z tym uporali. Przeprowadzka może być przykrym doświadczeniem.

- Tak, oczywiście. Właśnie dlatego jestem potrzebna. Żeby pomóc im się zadomowić.

- Im?

- Cóż, Constance. Martwię się o nią. Wygląda na znerwicowaną.

- Być może nadużyłaś jej gościnności.

- Lubię widywać dziewczynki - oznajmiła z zastygłą twarzą. - Są przyzwyczajone do mojej obecności.

W rzeczywistości dziewczynki były na ogół poza domem, o czym ona wiedziała, a co ja podejrzewałam. Nie potrafiła umiejętnie ukryć powodu swojej wytrwałości: była zakochana w Edmundzie i gotowa znieść upokorzenia, jeśli już trzeba było płacić jakąś cenę za przelotne oglądanie go w domowych pieleszach. To było wstrząsające. Przecież żadnej kobiecie z mojego pokolenia nie wolno się tak niewolniczo zachowywać. Ostatecznie ruch wyzwolenia kobiet stworzono po to, by ostudzić takie masochistyczne zapędy. Najwyraźniej jednak Betsy jeszcze się nie wyzwoliła. Sprawiała wrażenie, jakby wyznawała taki rodzaj wierności, o jakim wszystkie społeczności, poza plemiennymi, już dawno zapomniały. Byłam w tej sprawie rozdarta, jak zapewne rozdarta jest większość kobiet. Podziwiałam koncepcję, zauważając jednocześnie, że może ona prowadzić do szokujących zachowań, nie mniej szkodliwych od najdzikszej swobo-

dy. Najlepszym tego dowodem była Betsy, której nieszczęsne uczucie wcześniej czy później mogło doprowadzić do całkowitego rozpadu osobowości, rzeczy zupełnie kiedyś nie do pomyślenia. Wiedziałam bowiem, a przynajmniej tak mi się zdawało, że i Edmund, i jego żona we wszystkim, co robią, kierują się wyłącznie własnym interesem. W pewnej chwili niechybnie połączy ich niechęć wobec tej nadgorliwej akolitki, i choć nic nie zostanie głośno powiedziane, to ich stosunek do niej będzie wynikiem zniecierpliwienia obojga i w końcu zdecydują się na takie posunięcie, które ochroni ich pierwotny sojusz. Nie przyjdzie im to łatwo; oznaczać to będzie niezręczną konieczność uniknięcia kłopotów w sytuacji, która już była wystarczająco kłopotliwa. A przecież Edmundowi Betsy nie była obojętna, może nawet był w niej zakochany. Dla niego bowiem miłość sprowadzała się do tego początkowego zauroczenia, które może przynieść korzyści obu stronom. Nie wiązała się w żaden sposób z pojęciem trwałości uczuć. Kwestię trwałości, czy wręcz wytrwałości, pozostawiał w rękach swojej niezłomnej małżonki, której najbardziej intrygującą cechą była pewna nieprzeniknioność. Cechę tę dużo łatwiej dawało się przyjąć niż tę dziwną szczerość, to jawne niepojmowanie sytuacji przez kobietę, którą doświadczenie nauczyło tak niewiele, że w końcu stała się osobą skrzywioną, nawet groźną; była jak głodne uczuć, zwichnięte dziecko, wciąż poszukujące wokół siebie aprobaty.

Mimo ożywienia wyglądała na zmęczoną. Najwyraźniej nieustannie starała się panować nad emocjami, a to na dłuższą metę jest dość wyczerpujące. Przeżyła rozczarowanie, ale i tak jej sytuacja godna była pozazdroszczenia, zarówno dla mnie, w tej mojej świeżo odzyskanej szacowności, jak i dla tych kobiet w restauracji, z torbami na zakupy stojącymi przy krzesłach. Kobieta wyczuwa wzmożoną aktywność seksualną innych kobiet i instynktownie ma im to za złe, szczególnie jeśli jej samej brakuje męskiego towarzystwa. Wszelka myśl o dawnej niewinnej przyjaźni zaczęła zanikać, kiedy tak obserwowałam jej świadomy lub nie popis pełnej niefrasobliwości, którym próbowała zatuszować zaabsorbowanie tą jedną, jedyną sprawą. Dostrzegłam nowe gesty, charakterystyczne dla kobiety bardzo zajętej, które wysyłały własne sygnały - odrzucenie dłonią włosów, odsunięcie mankietu, żeby sprawdzić godzinę - i poczułam, że zostałam zredukowana do roli obserwatora. Pozornie całkowicie spokojna, zmagalam się z najgorszymi instynktami. Możliwe nawet, że zwyciężyłam, ale walka pozostawiła po sobie ofiarę, a raczej dwie. Nie mogłyśmy się już odwoływać do naszej przyjaźni, która przetrwała przecież wcześniejsze, zmienne koleje losu. Klarowność sytuacji pociągnęła za sobą konieczność zmiany postaw. Niepotrzebna była dokładniejsza analiza; i bez tego zrozumiałam, że ona również zauważyła tę zmianę. To zachowanie na pokaz, to upozorowane zadowolenie były

niewątpliwym rezultatem lepszego zrozumienia związku, jaki łączył mnie z Edmundem. Nie musiała tego mówić. To samo rzucało się w oczy.

Nagły deszcz zastukał o szyby; na ulicy rozkwitły parasole.

- Bądź ostrożna - powiedziałam cicho. - Są znacznie sprytniejsi od ciebie.

- Wielkie dzięki, przecież wiem. - Roześmiała się gniewnie. - Nie jestem taka głupia.

- Więc po co to ciągniesz? Lepiej byłoby pozostawić ich samym sobie. Bądź roztropna, zachowaj nieco godności. *Finir en beauté*. Zawsze uważałam, że to użyteczne powiedzonko, choć tak naprawdę w finałach nie widziałam nic pięknego. Trzeba jakoś dać sobie radę. Jedyne ratunek to zapanować nad sytuacją.

Opuściła ją nagle ta cała zuchowatość, zupełnie jakby dzięki moim słowom uzmysłowiła sobie, co ją czeka.

- Nie mogę tego zrobić - oświadczyła. - Oni stali się moją rodziną.

- Masz na myśli jego.

- Tak.

- Ale czego się spodziewasz? Nawet gdyby był w tobie zakochany...

- Jest.

- Powiedział ci?

- Och, niepotrzebne mi jego wyznania, jeśli o to ci chodzi. Po prostu wiem. I pierwszy raz w życiu mam coś własnego. Tajemnicę. Coś, co wyklucza wszystkich innych. Nawet ciebie, chociaż wydaje ci się, że wszystko o tym wiesz.

Musiałam mieć się na baczności, żeby nie dać się wciągnąć w żadne zwierzenia. Opanowała mnie jedna nagle myśl: chciałam wyjechać, znaleźć się daleko od tej monotonii angielskiej pogody, daleko od dużo groźniejszej monotonii kobiecych rozważań. Pojadę do Wenecji, gdzie jest więcej światła; wrócę nawet do tego Paryża, który mnie ciągle prześladował, jak to często bywa z zaprzepaszczonymi możliwościami. Jeśli wszystko dobrze zorganizuję, będę mogła wyjechać na pół roku, a nawet na dłużej. Digby mnie zabezpieczył; nie będę nawet musiała nikomu wynajmować mieszkania. Nie było powodu, dla którego nie mogłabym spędzać większej części roku za granicą i wracać do Londynu tylko w pełni lata, a i to na krótko. Zasiliłabym szeregi tych dziwnych, źle ubranych - co w kraju nie rzuca się w oczy - Angielek, które okupują Riwierę poza sezonem, by wykorzystać obniżkę cen, i nie przejmują się brakiem wygód w małym *pension*. Pociągała mnie taka wizja; jej doskonała nijakość była dodatkową atrakcją. Mogłabym czytać sobie książki przy obiedzie w restauracjach, w których wkrótce

traktowano by mnie jak stałą klientkę, a potem wędrowałabym jakąś bliżej nieokreśloną promenadą. Uznałam, że nadszedł czas, by wywikłać się z problemów dotyczących tego romansu, tym bardziej że istniała groźba jeszcze większego zaangażowania - mojego czy Betsy. Wydawało mi się, że nie całkiem się uwolniłam od tego. Co nie oznaczało, że muszę przeżywać to znowu, choćby pośrednio. Dłuższa nieobecność uwolniłaby mnie też od Betsy, która zajęła teraz pozycję obronną i znajdowała się o krok od nienawiści. Zaczęłam zbierać swoje zakupy, gotując się do odejścia, świadoma, że ona utkwiała we mnie nieruchomy wzrok, jakby chciała odczytać moje myśli. Będę musiała zachować swoje śródziemnomorskie fantazje dla siebie, wyjechać nagle, bez ostrzeżenia, co najwyżej po krótkiej rozmowie telefonicznej. Kobieta w moim wieku mogła sobie pozwolić na dziwaczne zachowanie, choć pewnie byłam optymistką, sądząc, że to wywoła jakiegokolwiek komentarze. Nie znałam wielu osób, które by to obchodziło. To może zadziwiające, ale Betsy była osobą mi najbliższą, przynajmniej w jej pojęciu, jeśli już nie w moim. Raz jeszcze zobaczyłam, jak bardzo potrzebuje wsparcia, nawet opieki, jak tęskni za jakimś schronieniem, teraz zapewne jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Mówisz, że nigdy nie miałaś nikogo, kto by należał do ciebie - powiedziałam, sięgając po torebkę. - Ale w rzeczywistości jest czystym szaleństwem sądzić, że można sobie rościć jakieś prawa do innej osoby. Wiem, jak jesteśmy samotne, nie mając kogoś bliskiego, choć trudno zgadnąć dlaczego. To prawdopodobnie kwestia statusu. Kobieta, która ma partnera, myśli, że jest lepsza od tej, która go nie ma. Ale to złudzenie. Jedyne bowiem, co człowiek posiada, to wolna wola, a i jej należy pilnie strzec. Oddawanie komuś swego życia nie jest dobrym pomysłem, nikomu bym tego nie radziła.

- Nie kochałaś męża, prawda? - spytała. - Gdybyś go kochała, nie powiedziałabyś tego.

Byłam wstrząśnięta do głębi. Nawet nie podejrzewałam, że może tak brutalnie wtargnąć w moje życie, a przecież cały czas starałam się wykluczyć jakąkolwiek ingerencję. Czułam się, jakby to Digby'ego zaatakowano, a ja powinnam stanąć w jego obronie. Nie miałam zamiaru zniżać się do odpowiedzi na jej pytanie, zapewne jednak nieco pobladłam, bo Betsy wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

- Przepraszam. Przepraszam. Nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że...

- Pójdziemy już? - Wstałam, spojrzałam na padający za oknem deszcz.

- Zadzwonisz? - spytała niepewnie, zmieszana i zakłopotana. Bezbronna, co teraz zobaczyłam aż nazbyt wyraźnie.

- Tak, zadzwonię - potwierdziłam. Oznajmię wtedy swój rychły wyjazd. Wydawało mi się, że ta myśl wystarczy, a tymczasem moje serce tłukło się niespokojnie. Wsunęła mi rękę pod ramię, a ja nawet nie próbowałam go cofnąć. W taki sposób czasami wracałyśmy ze szkoły do domu.

- A co z dziećmi? - spytała cicho, jakby mówiła do siebie. - Przecież do nich chyba możemy rościć sobie jakieś prawa?

- Jedynie kiedy są jeszcze bezradne - odparłam. - Są tak zaprogramowane, że dążą do samodzielności. W tym tkwi ich siła. Do widzenia. Spróbuję złapać taksówkę. - Nie zachęcałam jej, żeby była ze mną w kontakcie. Nie mogłam się zdobyć na wypowiedzenie tej prostej formułki. Wiedziałam, że brak tych słów ją zrani. Przez okno taksówki widziałam jej zafrasowaną twarz. Podniosłam na moment rękę i poczułam ulgę, kiedy stamtąd odjechałam. Bo teraz cała sprawa zdążyła już przybrać rozmiary zdrady. Z obydwu stron. A fakt, że winne byłyśmy obie, nie pomógł mi odzyskać szacunku dla samej siebie. Ona też zapewne nie czuła się lepiej; raczej gorzej. Nie miałam najmniejszej ochoty się nad nią roztkliwiać. Mogłam jedynie żywić nadzieję, że poradzi sobie bez mojej pomocy. Coś paskudnego wyszło na jaw. Rozsądek nakazywał, żeby zapomnieć o całym tym zdarzeniu. To był błąd, być może nie do naprawienia. Roztrząsanie tego wszystkiego nie leżało w niczym interesie.

Po powrocie do domu wsłuchałam się w monotony furkot ulicznego ruchu za oknem, który był doskonałym akompaniamentem do jeszcze bardziej monotony popołudni. Działał na mnie niemal hipnotycznie, pomagał pogodzić się z życiem, które, według wszelkich norm, było wyjątkowo nudne. Z trudem powlokłam się do sypialni, otworzyłam szafę i wyciągnęłam walizkę, jakbym natychmiast chciała wprowadzić w czyn swoje plany podróży. Niewiele miałam do pakowania; tam, gdzie się udam, będzie słonecznie, tak jak we wszelkich fantazjach o zmianie miejsca pobytu. Najpierw Paryż, pomyślałam sobie, a potem powolna jazda pociągiem na południe. Wsiądę pod wpływem impulsu, gdzieś na uboczu. Będę tak szła w senne popołudnie, aż natknę się na mały hotelik, w którym natychmiast rozpoznają we mnie wędrowca, a nie turystkę. Moje dni będą zupełnie puste, nic nie znaczące; pozwolą mi zarówno ocenić dotychczasowe życie, jak i zmienić jego kierunek. Moim celem będzie całkowite oderwanie się od przeszłości. Jeśli ten proces się powiedzie, to, być może, nigdy już nie odczuję potrzeby powrotu do domu.

I wtedy pomyślałam o swoim łóżku, o biurku Digby'ego, o fotelu, na którym kiedyś siedywałam, żeby czytać książki. To były teraz moje atrybuty, może być trudno je zostawić. Nie

byłam stara, ale wdowieństwo przyspieszyło zapewne proces starzenia: moje życie biegło ustalonym, niezmiennym torem, podczas gdy wszędzie wokół kobiety przeżywały przygody, miały kochanków, zarządzały korporacjami. To właśnie poczucie wstydu wynikające z podobnych porównań kazało mi kiedyś szukać takiej tylko swobody, jaką mogłam udźwignąć. A teraz pogratulowałam sobie braku jakichkolwiek uwikłań, jakichkolwiek zobowiązań. Postrzegałam emigrację - bo tak to teraz nazywałam - jako coś czystsze, szlachetniejsze od miłości i związanych z nią złudzeń. Bo chyba już w samym pojęciu miłości zawiera się element ułudy? I choć jest to ułuda dająca moc, pozwalająca pokonać własne ograniczenia, to nie należy jej podsycać. Z aprobatą spoglądałam wstecz na stateczność własnego małżeństwa, uczciwego z każdego punktu widzenia, bez trudu dającego się obronić. Nigdy nie odczuwałam pragnienia, by je w jakikolwiek sposób ożywić; uważałam jego nudę za oczywistą cnotę. Fakt, że doprowadziła ona do równie nieuniknionego szaleństwa, nie wymagał chyba dalszych rozważań. Nigdy nikomu o tym nie wspomnę, mimo że dzięki temu stałabym się postacią o wiele bardziej interesującą. Dla kobiet. Żaden mężczyzna nie powinien o czymś takim słyszeć; nie, żeby jakiś się dopytywał. Spojrzałam na otwartą walizkę. Mogę ją zapełnić czymkolwiek, bo przecież i tak większość mnie pozostanie tutaj.

W którymś momencie mojego dość powikłanego dorostania nabrałam przekonania, że przyjaźń winna trwać całe życie i dawać pewność, że raz zadziergnięte więzy nigdy nie osłabną. Nawet w wieku średnim kurczowo trzymałam się tej idei. Podejrzywałam, że niektórzy mogą nie podzielać mojego przekonania, nie przyjmować tego dogmatu, jednak ostatecznie wydało mi się to mało prawdopodobne. Wygodniej mi było wmawiać sobie, że zawsze będzie ktoś, kto zna mnie na tyle, że nie będę musiała tłumaczyć się ze swojego postępowania. Choć byłam świadoma, że stan taki dotyczy raczej miłości niż przyjaźni, niezmiennie trzymałam się tego rozumowania. O tym, że był w nim jakiś sens, świadczył żal wywołany zerwaniem przyjaźni - nie miałam najmniejszej wątpliwości, że Betsy przestała uważać mnie za przyjaciółkę. Zupełnie niedorzecznie widziała we mnie rywalke, cóż z tego, że pokonaną; ja natomiast, po wysłuchaniu ich obojga, wiedziałam, że już w ogóle się nie liczę. A przecież starałam się unikać jej zwierzeń, nie mówiąc już o tamtych wynurzeniach Edmunda: i jedno, i drugie było nie do pogodzenia z taką przyjaźnią, jaką wtedy jeszcze miałam nadzieję zachować. Teraz zrozumiałam, że moja nadzieja była złudna i że przyjaciele mogą nas porzucić tak samo jak kochankowie. Utraciłam ostatni ideał, w jaki wierzyłam, i było to dojmująco smutne. O moim planowanym wyjeździe zaczęłam myśleć jako o emigracji spowodowanej pragnieniem ucieczki

od przejawów tej nieoczekiwanej dysharmonii, chęcią, by ukształtować się na nowo, czy też być może powtórnie dorosnąć, gdzieś w odludnej okolicy, na pustkowiu. Byłoby to stosowne miejsce dla tych, którzy zerwali wszelkie więzy albo zostali porzuceni przez innych, ponieważ przywiązanie nie wytrzymało próby czasu. Nie pozostał już nikt, z kim można by dzielić doświadczenia w taki sposób, jaki powiększałyby obszar wspólnej wiedzy, czy chociażby porozmawiać ze spontanicznością, bo ta, teraz już się przekonałam, należy do klimatu dzieciństwa i nie ma nic wspólnego z późniejszym okresem życia.

Być może doczekałabym wieczoru, siedząc w kucki przed pustą walizką, gdyby nie dzwonek telefonu. Zignorowałam go, myśląc, że to Betsy, z którą nie byłam jeszcze gotowa rozmawiać. Brzmiał jednak natarczywie, jak to na ogół bywa, kiedy nie podnosi się słuchawki, i pomyślałam, że coś mogło stać się matce. (Ojcem nie zaprzętałam sobie głowy, na przejmowanie się jego zdrowiem przyjdzie czas kiedyś później.) Westchnęłam, podniosłam się i pokuśtykałam na ścierpniętych nogach do salonu.

- Elizabeth Wetherall - rzuciłam w słuchawkę. Usłyszałam, że ktoś delikatnie odchrząknął, właściwie westchnął, jakby w odpowiedzi na moje westchnięcie. - Halo?

- Mówi Nigel Ward. Była pani uprzejma dać mi numer swojego telefonu.

- Pan Ward. Miło mi pana słyszeć.

- Będę wieczorem w pani okolicy...

- Musi więc pan koniecznie wpaść na drinka. - Zerknęłam na zegarek. - O którejkolwiek po szóstej, jeśli to możliwe. Będę zachwycona.

- Czy szósta trzydzieści pani odpowiada? - Jeszcze jedno westchnięcie.

- Naturalnie. Czekam z niecierpliwością.

Schowałam walizkę do szafy. Doszłam do wniosku, że przecież mam mnóstwo czasu na planowanie swojej podróży i wcale nie muszę się spieszyć. W każdym razie wyjadę na pewno, nawet jeżeli ktoś będzie próbował mnie zatrzymać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Domyślałam się, że przyszedł pan tutaj pieszo.

- Owszem. Wszędzie docieram piechotą. Uważam, że to najlepszy sposób na dobry sen.

- Jak to daleko? Chodzi mi o pański spacer.

- Mieszkam przy Bedford Way. Ale spędzam tam niewiele czasu. Moje życie koncentruje się wokół spraw studentów. To ważne, żeby byli zajęci. Rozumie pani, większość jest z dala od domu...

- Tak, pamiętam. Wspominał pan o tym.

Sam wyglądał na kogoś, kto jest z dala od domu, zagubionego, zaniepokojonego, że siedzi i popija białe wino w domu obcej kobiety. Chciałam coś zrobić, żeby poczuł się swobodniej, obawiałam się jednak, że mogłabym go tylko zaniepokoić jeszcze bardziej. Nie było dla mnie jasne, czego oczekuje. Nie bardzo wierzyłam w wyjaśnienie, że niby miał być w sąsiedztwie - choć równie dobrze mogła to być prawda. Nie wyglądał na człowieka, który usiłowałby się chować za nieprzekonującym pretekstem. Elegancka, choć nieco żałobna postać emanowała zatrważającą prawością; nawet kiedy siedział, widać było, że jest niespotykanie wysoki; przez cały czas musiał się pilnować, żeby nie zawadzić długimi nogami o jakiś mebel. Zauważyłam, że ma kształtną głowę i że można go uznać za przystojnego. Jego surowa, dziewiętnastowieczna twarz przywodziła na myśl nieprzekupnych dygnitarzy z czasów, które już dawno odeszły w niepamięć. Nie bardzo pasował do tych naszych, o wiele nędzniejszych czasów. Niewątpliwie towarzystwo młodych ludzi mogło być dla niego pokrzepiające. Uznałam, że jest człowiekiem samotnym. A już na pewno nie był z nikim związany. Bo niby co tutaj robił?

- Czy pana praca zawsze na tym polegała? Uśmiechnął się. Przynajmniej nie był na tyle niedoświadczony, żeby nie rozpoznać kobiecej ciekawości.

- W pewnym sensie, choć nie było to moim zamiarem - odrzekł. - Stwierdziłem, że najlepiej czuję się wśród studentów, zapewne dlatego, że sam byłem szczęśliwy jako student. Wygląda na to, że zatrzymałem się na wczesnym etapie rozwoju. Przynajmniej tak by to określił Freud.

- Robi pan całkiem normalne wrażenie. Freud zajmował się chyba bardziej spektakularnymi przypadkami.

- To dotyczyło jego pacjentek. Kobietom wówczas nie było lekko.

I nadal nie jest, pomyślałam.

- Cóż zatem powstrzymało pański rozwój? - zapytałam. - Jeszcze trochę wina?

- Proszę. Och, czas mogę określić dość precyzyjnie. To było na moim ostatnim roku w Oksfordzie. W Magdalen College. Szło mi dobrze; wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Zachęcali mnie, żebym się zastanowił nad karierą akademicką, pomyślał o pracy dydaktycznej. Znałem już wtedy swoją przyszłą żonę, studentkę jak ja. Byliśmy oboje nierealistycznie szczęśliwi, tak jak to się zdarza tylko raz w życiu.

- Dlaczego nierealistycznie?

- Bo byliśmy eskapistami, a przynajmniej ja byłem. Mówiono mi, żebym nie zaniedbywał pracy, ale nie zwracałem uwagi na żadne ostrzeżenia. Planowaliśmy wziąć ślub tuż po egzaminach końcowych. Byłem pewien, że zdam celująco, ani przez chwilę nie wątpiłem w swój sukces. Popadłem w jakąś euforię, w szaleństwo.

- I co się stało?

- Zdałem ledwie dostatecznie, czym sprawiłem wszystkim ogromny zawód. Mój opiekun naukowy był wściekły. Oznaczało to bowiem koniec mojej ewentualnej kariery akademickiej. Miałem żonę, nie miałem ani pracy, ani własnego domu i miałem matkę, którą ojciec powierzył przed śmiercią mojej opiece. Nie mieliśmy wyboru, zamieszkaliśmy z nią i oboje zaczęliśmy szukać pracy.

- Jak to się skończyło?

- Niedobrze. Owszem, wszyscy zachowywali się kulturalnie, ale matka uważała, że powinienem robić karierę, zamiast się żenić. Owdowiałe matki często traktują dorosłych synów, jakby wciąż byli dziećmi. Ale nie moja. Jej zależało na tym, żebym się zachowywał jak ktoś w jej wieku albo starszy, żebym się o nią troszczył, był niemal kimś w rodzaju małżonka. Na moją żonę patrzyła tak, jakbym przyprowadził ją ze szkoły na podwieczorek. I traktowała ją tak, jakby była koleżanką z lat dziecięcych, z którą nie powinienem się już widywać, bo ona sama obsadziła mnie już w zupełnie innej roli.

- A pańska żona?

- Była tym oszołomiona. Postanowiliśmy więc, że zamieszka u swoich rodziców do czasu, kiedy znajdę porządną pracę, i wtedy zaczniemy od początku. To wszystko trwało jednak za długo, a ona czuła się samotna.

- Pan też, jak sądzę.

- Tak.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziałam, przerywając milczenie. - Zadaję za dużo pytań.

- Niewiele już zostało do powiedzenia - powiedział z uśmiechem. - Chodziłem na przeróżne nudne kursy, wszystkie bardzo odległe od klasyki, którą bardzo chciałem dalej studiować, i ostatecznie objąłem posadę kvestora w jednej ze szkół wyższych. Przeszedłem na wcześniejszą emeryturę - niezbyt rozsądnie - i stwierdziłem, że mam za mało zajęć, i wtedy pomyślałem sobie, że rozwiązaniem mogłaby być praca wolontariusza. I tym się właśnie zajmuję.

- A co z żoną?

- Rozwiedliśmy się. Czy raczej ona rozwiodła się ze mną. Przez długi czas byliśmy w separacji. Potem poznała kogoś.

- A pan?

- Ja nie. W pewnym sensie pozostałem jej wierny. Wierny naszym wcześniejszym przyrzeczeniom. Trudno było o nich zapomnieć.

- Cóż za dziwna historia.

- Oczywiście to wszystko zniszczyło moje życie. Matka zachorowała i błagała, żebym jej nie opuszczał. Żona robiła mi wyrzuty, zresztą słusznie. Jednak tak naprawdę to zmuszono nas, byśmy dorośli, stawili czoło rzeczywistości.

- Jak Adam i Ewa.

- Zawsze byłem po ich stronie.

- Przynajmniej spędził pan jakiś czas w raju.

- Tak, owszem.

Znów zapadło milczenie. Nie byłem przygotowana na takie teatralne zwierzenia. Prawdę mówiąc, podejrzewałam, że przedstawił mi okrojoną wersję o wiele dłuższej historii, taką wersję, która miała go zaprezentować i była w jakimś sensie jego wizytówką. To były czasy zwierzeń, pozbawione wszelkiej dyskrecji. Gdzieś w tle podejrzewałam obecność psychoterapeuty, albo w przeszłości, albo nadal pracującego nad nim. Na pewno doszło do czegoś więcej - może załamania nerwowego? Mam nadzieję, że moja twarz nie zdradzała tych podejrzeń. Miałam pełnić rolę cierpliwego słuchacza, jak ów hipotetyczny psychoterapeuta. Jednak on ma swoje sposoby na wskazanie, kiedy sesja dobiega końca. Ja ich nie znałam. Poza tym byłem już głodna. Nie miałam w domu nic do jedzenia. Nie poszłam na zakupy. Cały dzień był zmarnowany; nie tylko zmarnowany, popsuty. Przywołałam się do porządku, zmusiłam do skupienia uwagi na terażniejszości i do porzucenia wszelkich rozważań.

- Po tak długim spacerze musi pan być głodny - powiedziałam. - Chętnie bym panu zaproponowała coś do jedzenia, ale nie mam nic, co by się na tę okazję nadawało.

Sądziłam, że wykorzysta szansę i zaprosi mnie na kolację. On tymczasem wstał, myśląc, że chcę się go pozbyć.

- Proszę zostać. Za rogiem jest mała restauracja, do której chodziliśmy z mężem. To będzie dobre rozwiązanie. Naprawdę wstyd mi, że się odpowiednio nie przygotowałam.

- Będzie mi bardzo miło.

- To włoska kuchnia - powiedziałam. - Na pewno znajdzie się coś, co będzie panu smakować.

Podczas tego krótkiego spaceru do restauracji milczał, za co byłam mu wdzięczna. Spokój wieczoru otoczył nas atmosferą tak kojącą, że niemal nierzeczywistą. Długo wyrzekałam się zwykłych, codziennych wrażeń i teraz nie mogłam się nadziwić, że są na wyciągnięcie ręki. W tym wczesnym zmierzchu przechodzącym łagodnie w noc, która niosła obietnicę kojącego snu, łatwo było żyć chwilą, zaakceptować tego mało znaczącego towarzysza jako odpowiedniego współpodróżnika na trasie, którą sama już dawno nauczyłam się podążać, a którą teraz postrzegałam jako szlak nieznośnej wręcz samotności. Poprzez godzenie się na przyjaciół, kochanków, a potem dźwiganie brzemienia ich utraty usunięta zostałam do podgatunku tych, którzy pozbawieni są i jednych, i drugich. Jednocześnie wiedziałam, że na znajomych, na nieznanym a nawet na tym właśnie nieznanym, robiłam wrażenie osoby rzetelnej, samodzielnej, nawet nieczulej, której nie zależy na bliskich związkach. Przekonałam się, że jestem zbyt dumna albo zbyt wstydliva (co na jedno wychodzi), żeby kiedykolwiek, w jakimkolwiek towarzystwie zdobyć się na zwierzenia. Było to dla mnie ogromnym obciążeniem, ale inaczej zachowywać się nie umiałam. Dlatego pomysł ucieczki wydał mi się następnym logicznym krokiem. Zazdrościłam milczącemu panu Wardowi jego młodych towarzyszy, a zwłaszcza zaufania, jakie musiał w nich budzić, zorientowałam się bowiem, że jest człowiekiem z zasadami, nieważne jak surowymi. Było oczywiste, że prowadzi się dobrze. Zazdrościłam mu jego samodyscypliny. A jednak wydawało mi się, że wartości te są zbyt surowe, by mogły stanowić jakąś pociechę. Cnota, która jest przecież nagrodą, rzadko, jeśli w ogóle, stanowi wystarczającą rekompensatę dla tych, którzy ją posiadają.

Atmosfera stała się nieco swobodniejsza, kiedy siedzieliśmy już przy stoliku i zewsząd dochodził dyskretny szmer przyciszonych głosów. Pora była za wczesna dla ludzi młodych, którzy zwykle przychodzili na kolację później. Ci, których tu zastaliśmy, zapewne wpadli coś

przekąsić w drodze do domu albo przed udaniem się do któregoś z pobliskich kin. Oboje przejrzyliśmy menu, które ja, prawdę mówiąc, znałam na pamięć.

- Ma pan odwagę, by jeść owoce morza? Podobno są tu dobre, chociaż sama nigdy za nimi nie przepadałam. Miałam kiedyś przykre doświadczenie z krabem.

- Lazania - oświadczył, odkładając kartę. - Mam konserwatywny gust.

- Wezmę to samo. - Ze względu na nieokreślony charakter naszej znajomości prosta postawa wydawała mi się najbardziej odpowiednia.

- Przychodziła tu pani z mężem - odezwał się. Nie było to pytanie.

- Umarł.

- Przykro mi.

- Nie wiem, jak należy radzić sobie ze stratą - powiedziałam. - Ja chyba radziłam sobie niezbyt dobrze.

- Umiejętność radzenia sobie ze stratą jest prawdopodobnie równie ważna, czy raczej równie znacząca, jak sama strata.

Oto słowa terapeuty, pomyślałam, tamtej postaci w tle, której obecność intuicyjnie odgadłam.

- A przecież mój mąż był zbyt dobrym człowiekiem, żeby nie zabezpieczyć mnie na przyszłość. Najbardziej brakuje mi go jako przyjaciela. Bo wystarczała mi świadomość, że jest w pokoju obok.

Nie powiedziałam mu, że tak naprawdę brakuje mi tamtego drugiego, czasami wręcz szokująco dotkliwie. Pociągnęłam łyk wina z nadzieją, że trochę się wstawię. Sądziłam bowiem, że na trzeźwo nie wniosę niczego do tej rozmowy.

- Oczywiście niektóre straty są naturalne - mówił znowu. - To te, z którymi ostatecznie jesteśmy w stanie się pogodzić. Moja nie była taka. Do mojej sam doprowadziłem.

- Jak się teraz panu żyje?

- Och, spokojnie. Przynoszę wstyd rodowi męskiemu.

Znaliśmy się zbyt krótko, żebym mogła pytać go o seks.

- Ze mną jest podobnie. Przynoszę wstyd swojemu pokoleniu. Wydaje mi się, że urodziłam się trochę za wcześnie, żeby docenić fakt, że wolno mi robić to, na co mam ochotę.

- Na pewno to się stało teraz normą. Choć według mnie należy rzecz rozważyć szerzej. Nasza wolność rzadko bywa nieograniczona.

- Pomysł jest atrakcyjny.

- Owszem. I zwodniczy.

Po tej wymianie zdań zapadło milczenie, jakby dla postawienia kropki nad i. Miałam wrażenie, że jemu ta cisza nie przeszkadza, ale ja odczuwałam potrzebę, by ją czymś wypełnić. Uderzyło mnie, że prawdopodobnie tak właśnie spędza swoje wieczory, zapewne bez towarzystwa. Kiedy wydawało mi się, że milczymy już zbyt długo, spytałam go, czy ma zamiar gdzieś wyjechać. Chciałam się dowiedzieć, co robi, kiedy ma wakacje, poza zabieraniem studentów na przymusowe marsze.

- Pewnie gdzieś pojedę. Zazwyczaj udaję się do Francji na długą pieszą wędrówkę. Mam tam na południu przyjaciół. A pani?

- Ja również myślałam o wyjeździe. Trzeba tylko ustalić pewne szczegóły. - Stwierdzenie to wydało mi się jednocześnie mgliste i stosowne, jakbym ja też miała przyjaciół, do których mogę się wybrać.

Teraz ta podróż, choć wciąż obecna w mojej głowie, wydawała mi się czystą fantasmagorią. Rzeczywiście, przyjaciele Digby'ego, z którymi bywaliśmy na przyjęciach i w teatrze, bardzo serdecznie zapraszali mnie do swoich rozlicznych domów w przeróżnych miejscach. Zawsze im dziękowałam, sprawiając przy tym wrażenie, że zostałam już zaproszona przez innych przyjaciół. Prawdziwym powodem odmowy było przekonanie, że mój milczący sposób bycia i widoczne osamotnienie byłoby krępujące dla obu stron i że tym życzliwym ludziom będzie znacznie lepiej beze mnie. I lepiej, żeby nie poznali głębi owego osamotnienia, bo ono nie poddałoby się łatwo całodziennemu towarzystwu innych. Moje własne, nieustępliwe towarzystwo pokrywało mnie jak pancerz i odgradzało od świata zewnętrznego; wątpiałam, bym mogła się kiedykolwiek bez niego obejść. Przy wszystkich jego ograniczeniach wiedziałam, co mogę, a czego nie mogę robić. Ta wiedza wydawała mi się warta zachowania, niezależnie od kosztów.

A przecież w tamtej chwili te koszty okazały się dla mnie zbyt wysokie. W tym przyjemnie znajomym otoczeniu chętnie pozbyłabym się tego poczucia. Tylko po co? Znajdowałam się w towarzystwie nieznajomego, z którym rozmowa, nieważne jak ciekawa, ukazywała samotność równie pilnie strzeżoną jak moja. Burzenie jej nie było ani w moim, ani w jego interesie. Miał więcej szczęścia niż ja, bo zajmował się czymś, co go absorbowало. Mnie poszczęściło się jedynie pod tym względem, że nie musiałam się martwić o pieniądze, miałam gdzie mieszkać, byłam niezależna, nie stałam się dla nikogo ciężarem. Wiedziałam, że te moje wcześniejsze myśli powrócą, kiedy znów zostanę sama. Rozpacz, oszołomienie, myśli o ucieczce, wszystko

to były elementy stałego układu, w którym jakiegokolwiek przesunięcie wydawało mi się niemożliwe.

- Czy ma pan ochotę wrócić do mnie? - usłyszałam własny głos. I wtedy zorientowałam się, że jestem wstawiona.

Kiedy odważyłam się na niego spojrzeć, zobaczyłam, że jego na ogół poważną twarz rozjaśnia uśmiech.

- Czy to pani własne słowa, czy słowa pani pokolenia? - spytał.

- Kobiety ciągle to mówią. Wydaje się, że to całkiem proste.

- Zatem chce pani iść z duchem czasu?

- Czemu nie. Nigdy tak się nie zachowywałam. Byłam niemądra. A teraz, śmiem twierdzić, jest już za późno. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Oczekuje się od pana skwapliwej zgody i żadnych wątpliwości.

- Wątpliwości mogą pojawić się później.

- Nie tym razem?

- Później. Pójdziemy już? Oczywiście odprowadzę panią do domu. Jeśli nie jest pani zbyt zmęczona na spacer.

Na zewnątrz granat wieczornego nieba pogłębiał się i ciemniał, zapowiadając ładną pogodę na następny dzień. Samochody przemykały obok, ich reflektory torowały drogę przez mrok sennej skądinąd ulicy. Byłam zmęczona, zawstydzona, pobolewała mnie głowa; zadanie uratowania tego dziwaczного wieczoru wydało mi się ponad moje siły. Szukałam jakiegoś lżejszego tematu do rozmowy. Wielkanoc wypadła tego roku wcześniej; może to się nada. Tymczasem myśl o Wielkanocy, najbliższym okresie corocznych migracji, przygnębiła mnie jeszcze bardziej. Każdy miał jakieś plany: do towarzyskich obowiązków należało o nie zapytać.

- Pewnie weźmie pan sobie wolne? - spytałam.

- Zapewne. Prawie na pewno. A pani?

- Jeszcze nie wiem - odparłam, podtrzymując fikcję o tych przyjaciółach, którzy tak rywalizują o moje towarzystwo.

Jakiś czas szliśmy w milczeniu.

- Czy rzeczywiście miał pan jakąś sprawę do załatwienia w okolicy? - spytałam.

- Tak. Musiałem spotkać się z kimś z Imperial College - szukam miejsca dla gnębnego nostalgii hinduskiego studenta pierwszego roku medycyny.

- I udało się panu? To znaczy, znaleźć to miejsce.

- O tak.

Nie był bardziej rozmowny ode mnie, zupełnie jakby ten wieczór wyczerpał nas oboje.

Przy wejściu do Melton Court stanowczym ruchem wyciągnęłam do niego rękę.

- Dziękuję za wspólną kolację.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Nie wyglądał, jakby rzeczywiście była to przyjemność. Znowu przybrał ten swój żalobny wyraz twarzy. Było oczywiste, że nie tego szukał. Krótkie streszczenie wzruszającej historii służyło jakiemuś celowi, ale nie potrafiłam go odgadnąć. Mogłam się tylko domyślać, że chciał się w ten sposób zabezpieczyć i uprzedzić ewentualne późniejsze pytania. Było to w tej chwili zupełnie nieważne, ale wiedziałam, że powinnam się nad tym jeszcze zastanowić. On już w głębi ducha żałował, że w ogóle to zrobił, tyle że zgodnie ze swoim stoickim charakterem nie zamierzał się usprawiedliwiać.

- Na pewno odezwę się po świętach.

- Mam taką nadzieję. Dobranoc, panie Ward.

- Nigel.

- Elizabeth.

- Dobranoc, Elizabeth.

Odwróciłam się szybko, żeby nie patrzeć, jak się oddala. Na pewno uda się do domu pieszo. Odczuje ulgę, że znowu jest sam, podobnie jak ja. Chociaż przestało mi wystarczać własne towarzystwo, to towarzystwo innych wyprowadzało mnie z równowagi. Z niechęcią myślałam (jak zwykle) o powrocie do pustego mieszkania, w którym nikt nie będzie mnie niepokoił. Tego wieczoru pokoje wydawały mi się duszne i jeszcze cichsze niż zazwyczaj. Nigdy nie cieszył mnie powrót do domu, chociaż często podnosił mnie na duchu sam fakt, że tego dokonałam. Przyszło mi do głowy, że przecież nikt nie każe mi zostawać w tym mieszkaniu, że mogę się przeprowadzić. Oczyma wyobraźni ujrzałam dom, przestronną, rodzinną kuchnię, wychodzące na ogród kuchenne drzwi. Przyrzekłam sobie, że zbadam boczne uliczki, w które na ogół się nie zapuszczałam, i być może pozwolę sobie zaplanować jakąś zupełnie inną przyszłość. Przeprowadzka mogłaby się okazać lepsza niż długa podróż: nikt mnie nie odnajdzie i to oszczędzi mi wyjaśnień. I już nigdy nie będę musiała wracać do tego miejsca, które nagle wydało mi się nieprzyjazne.

Jedynym śladem, jaki został po Nigelu Wardzie, był pusty kieliszek. Sprzątnęłam go razem z własnym i z nietkniętą miseczką oliwek. Ależ musiał się wynudzić! Ale przecież, po-

wiedziałam sobie, to on zaaranżował spotkanie, on zadzwonił i może kiedyś zrobi to znowu. Niestety, byłam nie dość wytrzymała, by zaangażować się w związek, który wymagałby ode mnie dyskrecji i ostrożności, zupełnie jakby o wszystkim miał się dowiadywać psychoterapeuta, jeśli rzeczywiście korzystał z jego usług. Musiałam sobie powiedzieć, że na razie, do czasu weryfikacji, terapeuta jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. Pan Ward, o którym trudno będzie myśleć jako o Nigelu, mógł równie dobrze sam być swoim terapeutą. Bez wątpienia spostrzeżenia miał trafne i głębokie, a miniony wieczór udowodnił, że na pewno jest o wiele lepszym taktykiem niż ja. W każdym razie trzeba było mieć się na baczności, a to mi nie odpowiadało. Prawdę mówiąc, tak jak większość kobiet, nie miałam najmniejszej ochoty na powściągliwość. Popęlniłam powaźny błąd, zachowując się tak bezpośrednio, co ostatecznie wydało mi się raczej zabawne niż tragiczne. Drażniła mnie ta jego kulturalna powściągliwość; nie byłam przecież ofiarą nagłych zachcianek. Chyba przez całe życie pragnęłam szczerego zaangażowania, absolutnej bliskości, a doświadczyłam jej tylko w jednym przypadku, w najmniej romantycznej scenerii, w mało atrakcyjnym, wynajętym mieszkaniu, gdzie wreszcie odkryto przede mną ten sekret. Jakkolwiek nędzne, niewiele warte i pożałowania godne mogły się teraz wydawać tamte spotkania, zaspokoily one moją najgłębszą potrzebę i przetrwały w mojej pamięci jako przeżycie, którego nie dało się z niczym porównać.

Było to może dość dziwne, że właśnie ja, zwykła, niczym nie wyróżniająca się kobieta, często niezauważana przez inne, nie wzbudzająca zainteresowania mężczyzn, doznałam tego objawienia i trzymałam się go na dowód swoich racji. Wiedziałam, że to przeżycie nie powtórzy się już nigdy. Mogłam jedynie mieć nadzieję - raczej płonną - że uczucie tej radości przetrwało również w pamięci człowieka, z którym ją dzieliłam, i że może to wspomnienie wywoła kiedyś uśmiech rozrzewnienia na jego twarzy. Żyłam tą nadzieją, choć czasami trudno mi było ją podtrzymywać. Teraz powróciła do mnie wraz z uczuciem gniewu; niesprawiedliwie winiłam Nigela Warda za jego formalizm. Z rozdrażnieniem myślałam o niezachwianym przekonaniu Betsy, że jej udało się to, w czym ja poniosłam porażkę. Przestałam ją widzieć jako osobę wzruszającą i bezbronną; w tamtej nietypowej scenerii Petera Jonesa wydawała się pewna siebie, nawet zbyt pewna siebie. W swojej pamięci dorobiłam jej szydery uśmieszek, którego w rzeczywistości nie widziałam, ale przecież zasugerowała, że moje małżeństwo było pod pewnym względem ułomne, bo nie kochałam męża, a jej romans przewyższał wszystko, czego ja mogłam doświadczyć - właśnie to przeświadczenie spowodowało, że tak trudno mi będzie jej przebaczyć. Nie znałam sposobu, by ją przekonać czy choćby wyjaśnić, że są we mnie jeszcze

jakieś uczucia, skoro ona zdażyła dojść do wniosku, że nie zostało po nich ni śladu. A za tym wszystkim - i wszystkim tym inspirowane - kryło się pragnienie, by zachować się nierozważnie, tak jak mi nie wypadało, po czym mogłabym ostatecznie zniknąć zadowolona, że zaspokoiliam pragnienie, o które nikt by mnie nie podejrzewał.

Do łóżka poszłam późno. Żadne zazwyczaj przynoszące ukojenie zabiegi tym razem nie zadziałały. Leżałam w ciemności, starając się nabrać dystansu do wydarzeń dnia, które okazały się wyjątkowo niepokojące. O spotkaniu z Betsy lepiej było w ogóle nie myśleć, a zdarzeń wieczornych nie dawało się ocenić. Wystąpienie z tak śmiałą propozycją wobec Nigela zupełnie nie leżało w mojej naturze; chodziło mi przecież raczej o towarzystwo, a nie o seks, chociaż ciało może się okazać zdradzieckie. Niepokoiło mnie natomiast to, że nie działałam w dobrej wierze, że tak naprawdę w tym mężczyźnie zainteresowała mnie wyłącznie jego niecodzienna opowieść. Nasza znajomość miałaby tymczasowy charakter i wypadałoby, żebym i ja przedstawiła jakąś historię swojego życia, na co nie miałam najmniejszej ochoty. On patrzył chyba na tę sprawę podobnie, ale nie powinnam zapominać, że mnie odtrącił. Jednocześnie wstydziałam się swojej wstrzemięźliwości. Bo wstrzemięźliwość nie była już *de rigueur*, stała się niemal podejrzana. Moje normy postępowania zdecydowanie nie pasowały do ducha czasów, były normami zapamiętanymi z powieści, w których nikt nie miał wątpliwości, że cnota i wierność idą w parze. Niewykluczone, że przykłady życia zgodnego z tymi normami można odnaleźć jedynie w literaturze. Niepokojące echo podobnych przekonań pobrzmiwało jednak w osobie Nigela Warda, który mimo sympatycznego wyglądu wydawał się wewnątrz pustym. Wiedziałam, że dawne przeżycia wryły mu się w pamięć na zawsze, a zasady są rezultatem połączenia Oksfordu, miłości, ufności i młodzięńczych obietnic, z czego nic nie przyniosło owoców. Na pewno bywały takie chwile, kiedy widział bardzo jasno, że jest już nie tylko zakładnikiem przeszłości, a również dobrowolnym zakładnikiem ponurej teraźniejszości. Jego mieszkanie przy Bedford Way było zapewne ascetyczne jak cela współczesnego pokutnika, a długie marsze stanowiły lekarstwo na niepokoje natury fizycznej. Sprawiał wrażenie, że jest zadowolony z życia, jakie wybrał, że się z nim pogodził, poświęcając energię młodym ludziom, z którymi sympatyzował właśnie dlatego, że byli młodzi. W swoim utraconym świecie był uczestnikiem; teraz został zaledwie obserwatorem. Ufność, jaką się w życiu kierował, okazała się zwodnicza, mimo to nadal traktował ją, jakby stanowiła cały jego kapitał. Przekazał mi to wszystko w niewielu słowach, mimo to pozostawił wrażenie, że ma to dla niego znaczenie dogmatu, który przetrwa wszystko, co może się zdarzyć. W pewnym momencie musiałyby przyjść rozliczenie,

niepożądane uświadomienie sobie prawdy, co mogłoby nawet podziałać ozdrowieńczo. Pod tym względem miał nade mną przewagę. A przecież instynktownie wiedziałam, że oboje bardziej cenimy nasze porażki niż te niewielkie sukcesy. Pod tym względem byliśmy więc podobni. Niewykluczone, że przyjaźń okaże się ostatecznie możliwa. Niewykluczone, że i on to dostrzegł.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zmieniła się pora roku, a ja, niechętnie, zmieniałam się wraz z nią. Choć w mojej okolicy niewiele było żywej przyrody, której oznaki budzenia się do życia mogłabym zaobserwować, to przecież zauważałam jaśniejsze poranki i wieczory, światłość dłuższych dni, łagodnie i niemal niepostrzeżenie przeistaczającą się w mrok. Tęskniłam do ciemności, która mnie przedtem spowijała i pozwalała osunąć się rozkosznie w błogi sen. Teraz spałam niespokojnie, z przerwami, tak że dzień dla mnie właściwie się nie kończył, i budziłam się przed świtem, gotowa na kolejny długi dzień. Było tak ciepło, że z ulgą wstawałam z łóżka i brałam prysznic. Tak więc mój dzień rozpoczynał się, kiedy inni jeszcze spali, co nie było miłe, bo boleśnie uświadamiało mi brak jakiegokolwiek zajęcia, a raczej brak określonego celu.

Zawsze oczywiście mogłam sobie znaleźć jakieś zajęcie, ale były to tylko działania zastępcze. Matka zadzwoniła z Hiszpanii i zaproponowała, żebym przyjechała do niej z kilkudniową wizytą, ja jednak wiedziałam, że w małym domku, który dzieliła z przyjaciółką, jest niewiele miejsca i że musiałabym się zatrzymać w hotelu. Nie tęskniłam za jej towarzystwem ani ona za moim. Domyślałam się, że jej dni wypełnione są sprzeczkami, tak jak w czasach, kiedy mieszkała z ojcem; uważała to za zachowanie naturalne, przypuszczam, że jej przyjaciółka również. Niektóre kobiety są kłótlive z natury, złość wywołaną niezadowoleniem ze swojego losu wyładowują w bezcelowym strumieniu uwag, które nigdy ich samych nie dotyczą. Przestałam kwestionować decyzję ojca, choć wcześniej uważałam, że odchodząc, postąpił okrutnie. Tak się przyzwyczaiłam do wiecznego niezadowolenia matki - świadoma, że i ja je powodowałam - że przez całe lata brałam za dobrą monetę te jej nieustanne uwagi na temat swojej niezwyklej wrażliwości, nie podawałam w wątpliwość twierdzeń o jej doskonałości, nie zastanawiałam się nad antypatią, jaką czuła do innych ludzi, szczególnie zaś kobiet, nie wyłączając najbliższych przyjaciółek.

Z czasem zaczęłam surowiej oceniać jej zachowanie, ale też zdałam sobie sprawę, że jest kobietą nieszczęśliwą. Myślałam, że na tym swoim wygnaniu znalazła jakieś lekarstwo na rozliczne bolączki, ponieważ mogła do upojenia - jak zawsze zresztą - wykazywać słuszność podjętych przez siebie decyzji i krytykować bez ograniczeń tych, którzy, według niej, sprawili jej zawód. Miała wyjątkowe szczęście, jeśli tak to można nazwać, że trafiła na towarzyszkę o podobnych poglądach; bez wątpienia znakomicie się rozumiały i jeśli zdarzały się między nami nieporozumienia, to nie wykraczały poza zwykłe sprzeczki. Ja postrzegałam ten układ jako zupełnie nienaturalny i nie miałam ochoty przyglądać mu się z bliska. Sam pomysł, żeby zamieszkać z kobietą, a nie z mężczyzną, zawsze był dla mnie niepojęty i taki pozostał. Dlatego współczucie dla matki, pomieszane z trudną miłością, jaką nadal się darzyłyśmy, trzymało mnie z dala od niej. Nigdy też nie fantazjowałam, jak by to było mieć zupełnie inną matkę, taką, jaką bym sobie sama wymarzyła. Mogłabym się obyć bez swojego dzieciństwa. Nie pamiętam, że- bym kiedykolwiek za nim zatęskniła.

W Wielkanoc ulice opustoszały, a ja byłam pełna niepokoju na myśl o ciągnącym się bezlitośnie czasie. Nastaly niespodziewanie ciepłe dni i uzmysłowiły mi ograniczenia mojego mieszkania, które choć przytulne zimą, teraz mi doskwierało, odcinając od świata zewnętrznego. W niedzielę wielkanocną spacerowałam po parku, co przypomniało mi Nigela Warda i jego studentów. Pomyślałam, a wcześniej nie przyszło mi to do głowy, że być może studenci chcieli mu zrobić przyjemność, że tak naprawdę nie interesowały ich długie spacerory i że woleliby popijać kawę w jakimś tętniącym życiem miejscu. Myślałam o jego wysiłkach jako szlachetnych, ale i nieco smutnych - ich niewinność robiła duże wrażenie. Wyobraziłam go sobie podczas ferii, jak przemierza zdecydowanym krokiem Francję, jak mówi sobie, że narzucone zadanie daje mu pełną satysfakcję i to już jest wystarczającym sukcesem, kiedy więc dotrze w końcu do swoich przyjaciół, niewiele będzie miał im do powiedzenia, bo dla niego najważniejsze jest samo wcielenie zamysłu w życie.

Z kolei jego przyjaciele odniosą się do niego z pewną rezerwą, ich wylewność zostanie nieco ostudzona jego niezachwianą surowością. Ale nie spotka się z obojętnością. Można bowiem czuć się poruszonym, wręcz wzruszonym demonstracją takiej cnoty; można też poczuć się nieswojo. Ja sama czułam się w jego towarzystwie podle i nędznie; historia jego życia zrobiła na mnie wrażenie, choć jednocześnie przeraziła mnie gorycz porażki, która zniszczyła mu młodość i nie pozostała bez wpływu na jego późniejsze życie. Pod wieloma względami zastygł w czasie i dlatego jego zachowanie charakteryzowała niezwykle wręcz wieloznaczność, z czego

prawdopodobnie nie zdawał sobie z sprawy. Paradoksem było, że mężczyzna pod każdym względem atrakcyjny robił wrażenie tak nieprzystępnego. Nie wyczuwało się istnienia żadnej kobiety na dalszym planie, jeśli nie liczyć młodziutkiej oblubienicy, której pamięci pozostawał wierny. Nie miał pojęcia, że takie niczym nie zmacone dni, jeśli w ogóle miało się szczęście je przeżyć, nigdy się nie powtarzają. Przywoływał w pamięci wspomnienia tamtych dni i niezmiennie smuciło go, że nie jest w stanie niczego na nich zbudować. A przecież był człowiekiem inteligentnym i wyglądało na to, że wcale nie szuka pocieszenia. Usilnie starał się czegoś dokonać i robił rzeczy, do jakich większość z nas, ze mną na czele, nie jest zdolna, a rezultatem była jedynie surowość zachowania, która musiała zrazić wszystkie osoby, na których towarzystwie mogło mu zależeć.

Istniała między nami pewna różnica, co stwierdziłam z żalem, ale czego nie mogłam zignorować. Jemu dana była możliwość cieszenia się młodością i związanym z nią optymizmem, podczas gdy ja żyłam powściągliwie i nie miałam żadnych oczekiwań. I znowu z prawdziwą zgrozą wróciłam pamięcią do tamtej paryskiej samotności i nagle uzmysłowiłam sobie, że nigdy tam już nie pojedę. Jego stoicki spokój był oczywisty, ale niedościgły. Krążyliśmy wokół siebie niepewnie, jak jakieś dwa roboty; a byłam jednocześnie zniecierpliwiona i zażenowana tym, że nie udaje mi się go zaintrygować. Nigdy nie byłam w tym mistrzynią; brakowało mi pewności siebie, żeby się czegokolwiek domagać. Mój mąż, dzięki swoim wielkim zaletom, jakimi były tolerancja i dobroć, rozwiał moje obawy dotyczące seksu, wynikłe z faktu, że tych kilku młodych ludzi, których znałam w Paryżu, nie było w stanie zaspokoić mojego pragnienia romantyczności. Do dziś byłam mu za to głęboko wdzięczna. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Nigel Ward stałby się równie lojalnym towarzyszem - o niczym więcej nie pomyślałabym - co byłoby dla mnie pociechą, ale nie zaspokoiłoby moich pragnień.

Nigdy nie zachowałam się tak niegodnie, by winić Digby'ego za namiętność, jaką odczuwałam do Edmunda, choć bez wątplenia wygodnie byłoby się tak tłumaczyć. Od wczesnej młodości byłam świadoma tego, że musi być zachowana równowaga: jeśli wyrzeknę się jednego, to mogę mieć drugie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym mieć wszystko, jak utrzymują feministki. Uważałam to za niemożliwe: bo niby jak można pogodzić takie całkowite przeciwieństwa?

Pytanie, które nurtowało mnie podczas spaceru po parku, dotyczyło tego, czy byliśmy oboje na tyle znużeni dotychczasowym życiem, żeby szukać swojego towarzystwa, i dlaczego niby podobna perspektywa miałaby się okazać atrakcyjna dla kogoś tak niezłomnie powścią-

gliwego jak Nigel Ward. Dla mnie korzyść była oczywista; przestałaby mnie obowiązywać wdowia roztropność i poczułabym się znacznie godniej. Przy okazji uświadomiłam sobie, jaką bezbarwną postacią musiałam się wydawać każdemu, kto nie znał mnie w czasach rozkwitu mojej pewności siebie, kiedy byłam jednocześnie i żoną, i kochanką. Zrozumiałam, dlaczego tak bardzo mnie dotknęły nienawistne uwagi Betsy, dlaczego wywołały u mnie myśl o ucieczce, wygnaniu: wydałam się jej, a niewątpliwie i innym, jedynie taktownym, beznamiętnym przeżytkiem. Maskowałam się z takim powodzeniem, że nikt nie kwestionował pozorów. W pewnym sensie było to dobre rozwiązanie: u mnie moja tajemnica była bezpieczna. Teraz już widziałam, że nie zawsze tak było, że chowałam się za pewnymi normami, którą to przeszkodę Betsy bez trudu pokonała. Zuchwała wolność, jaką kiedyś się cieszyłam, odeszła w cień i wcale nie miałam ochoty do niej wracać. Dla odmiany pragnęłam czegoś zupełnie innego: takiego rodzaju przykładności, jaki rzadko tylko bywa udziałem dorosłych. Jeśli już czegoś chciałam, to odrobiny zacności Nigela Warda. Tęskniłam za spokojem sumienia, takim, jakiego już od dawna, a może w ogóle nigdy nie doświadczyłam.

Rozważałam to wszystko czysto teoretycznie, nie odwołując się do uczuć. Nie niepokoiło mnie to zresztą specjalnie, wydawało się raczej godne pochwały. Los podarował mi szansę, której nie wolno było zlekceważyć. Nie byłam jeszcze stara, ale już nie młoda. Nie przejmowałam się też szczególnie, że snuję te rozważania w samotności, z dala od człowieka, którego bardzo szybko zaczęłam uważać za oczywistego partnera. Seks mógł się okazać problemem, ale byłam na to przygotowana. Jego niechęć do fizycznej bliskości łatwo było odgadnąć, widoczna była nie tylko w uśmiechu towarzyszącym odrzuceniu mojego zaproszenia, ale w jednoznacznym unikaniu wszelkiego kontaktu, nawet w pospiesznym podciągnięciu nóg, kiedy podchodziłam z kieliszkiem wina. Takie zachowanie wydało mi się żalosne, choć oczywiście stanowiło element jego życia, ukształtowany niewątpliwie w surowych okolicznościach. Wątpiłam w istnienie jakiejś innej kobiety, a cóż dopiero wielu, chociaż na pewno jakieś kobiety przewinęły się przez jego ascetyczne życie. Takim kobietom, jeśli rzeczywiście istniały, musiały pochlebiać jego maniery, wiele mogły się po nim spodziewać, a on po prostu je zaskakiwał i rozczarowywał całkowitym brakiem pożądania. Tak więc po każdym obiecującym początku następował pewnie okres tak niezwyklej ostrożności, że niektóre z nich po prostu wzuwały ramionami i rezygnowały. Miałam dowód tej ostrożności, bo nie zostawił mi numeru telefonu. Najpierw założyłam, że zapomniał, po czym zorientowałam się, że był to manewr, dzięki któremu zachowywał kontrolę nad rozwojem wypadków - mógł kontynuować znajo-

mość albo się wycofać, zależnie od własnego uznania. Tak daleko posunięta ostrożność mogła się okazać dużo większym utrudnieniem niż seksualna naiwność, jaką mu przypisywałam. A przecież byłam przekonana, że odnajdzie drogę do mnie, że jest samotny, że wstydzi się swojej samotności i że postrzega mnie jako osobę właściwą i przystępną, której towarzystwo może mu odpowiadać.

Miałam nadzieję, że nie zabierze mu to zbyt wiele czasu, ponieważ coraz cieplejsze dni stawały się dla mnie problemem. Nie było skrawka trawnika, który mogłabym uważać za swój, a miałam już dość przesiadywania w mieszkaniu i bezustannego snucia rozlicznych i bez wątpienia zuchwałych planów. Moja fantazja dotycząca małego domku z kuchennym stołem i tylnym wyjściem wkrótce przygasła; nie miałam pieniędzy na takie przedsięwzięcie. Miałam natomiast mieszkanie i byłam na nie skazana. Każdego ranka odczuwałam silny impuls, żeby je natychmiast opuścić, i dlatego najwcześniej jak mogłam wychodziłam do najbliższego skromnego baru na śniadanie. Wtapiałam się w to miejsce, rankiem wypełnione młodymi ludźmi w kaskach i w luźnych szortach, stawałam się niezauważalna: mogłam tam siedzieć przez kilka godzin nad filiżanką kawy i czytać gazetę. Zauważyłam, że właściciel przyzwyczaił się do mojej obecności, przestałam więc mieć wątpliwości, czy postępuję właściwie, i spędzałam tam całe przedpołudnia anonimowo i w spokoju. Dzięki mojemu nowemu zwyczajowi wróciłam do czytania, wygłodniała po długiej przerwie. Zastanawiałam się, jak mogłam wytrzymać tyle czasu bez zadrukowanych stron zamkniętych w okładki, choć to, co czytałam, nie bardzo odpowiadało myślom, jakie przelatywały przez moją głowę. Przeczytałam *Vilette* i z uczuciem bliskim rozpaczki nie mogłam się nadziwić szlachetności bohaterki, mimo że byłam przekonana, jak niegdyś, o wzniosłości takiego postępowania. Książki ukazywały mi różnorodność wzorów postępowania, które wydawały się tak naturalne, że nie rozumiałam, jak mogłam o nich w ogóle nie pomyśleć. Dickensa wolałam unikać; prawość jego postaci była i tak nieodścigniona, na pewno nie tylko dla mnie, ale i dla innych, a ta staroświecka część mojej natury ciągle próbowała mi dyktować, co wypada, a czego nie. Do dziewiętnastowiecznych powieści wraca się nieustannie, głównie z powodu ich przesłania: wierność i szlachetność zawsze poplącają i dają pełnię szczęścia. Wątpiłam, by na to szczęście mogła zapracować istota niższa czy wręcz upadła, ale wciąż byłam pod wrażeniem. I zawsze też pojawiał się małżeństwo, widziane jako najbardziej pożądane i najstosowniejsze zwieńczenie wszelkich wysiłków, a w to już nie wątpiłam. Rozpad współczesnego społeczeństwa wiąże się z utratą nadziei, a więc ci, którzy hołdują tradycyjnym wartościom, na ogół są rozczarowani. Mój romans, w który nadal

namiętnie wierzyłam, byłby postrzegany przez innych wyłącznie jako naganne postępowanie, a niespodziewany ostatni akt wydarzeń, których wbrew mojej woli byłam świadkiem, uważany byłby za coś jeszcze gorszego.

W barze, pośród tych młodych ludzi w roboczych ubraniach, doznawałam krótkotrwałego uczucia bliskiego nadziei. Nikt mnie tu nie niepokoił i mogłam sobie czytać do woli, dopóki napływ gości nie uświadamiał mi, że nadeszła już pora lunchu. Wówczas niechętnie dopijałam trzecią filiżankę kawy, machałam na pożegnanie właścicielowi i szłam do domu. Popołudnia były zazwyczaj problemem. Nie śmiałam znowu narzucać się właścicielowi baru i dlatego próbowałam zagłębiać się w lekturze u siebie, dopóki rozdrażnienie czy też zwykła klaustrofobia nie wypędziły mnie z mieszkania. Wtedy pod jakimkolwiek pretekstem ruszałam w drogę - gdziekolwiek, nie miało to znaczenia - chociażby kupić coś do zjedzenia potem w samotności, a wracałam, kiedy pretekst okazywał się daremny. Nie odczuwałam głodu; już dawno zapomniałam, co to zdrowy apetyt. Na pewno marniałam w oczach, co było konsekwencją złego sprawowania; trudno było wyobrazić sobie, jak Lucy Snowe, narratorka *Vilette*, marnieje. Doszłam do wniosku, że po prostu nie zasługuję na ponowny kontakt z tymi postaciami literackimi, które są wierne swoim zasadom, i że skazana jestem na nędzną prozę życia. Nigel Ward nie dzwonił i ten fakt wiele znaczył.

Po *Vilette* zdecydowałam się na *Portret damy* i z tą właśnie powieścią w kolejne przedpołudnia zasiadałam w barze pośród mężczyzn w kaskach. Stwierdziłam, że jest znacznie bardziej pouczająca, niż mi się wydawało. Kiedyś już porzuciłam tę powieść, bo uważałam, że niesie zbyt dużo smutku - musiałam być wówczas bardzo młoda i jeszcze pełna nadziei, a rozważenie sytuacji kobiety, która musi się trzymać określonych zasad, żeby stać się czy też pozostać damą, okazało się zbyt żmudne, by można je było w ogóle brać pod uwagę. Znalazło się tam również miejsce na małżeństwo, kiedy jednak byłam młoda, nie wierzyłam, żeby mogło ono okazać się czymś aż tak nienawistnym, mimo że sama widziałam, jak zadreczali się moi rodzice. Po prostu oczekiwałam, jak oczekuje większość ludzi, że literatura dostarczy mi lepszych przykładów niż życie, i nie potrafiłam przestać wierzyć, że w sprzyjających okolicznościach człowiek zachowa się tak dobrze, jak tylko jego natura pozwoli. Wszelkie dalsze postępowanie było konsekwencją utraty łaski, co bez wątplenia dotyczyło wszystkich. Ja nie zostałam nagle wygnana z raju, raczej stopniowo odkrywałam, że życie podlega przypadkom, a one są zbyt nęcące, by je zignorować, i że należy, w miarę możliwości, pogodzić się z tym. Natomiast

wybory, jakich dokonywała Isabel Archer, napełniały mnie podszytą współczuciem zgrozą. Isabel zapłaciła wysoką cenę za dobre sprawowanie.

Przeczytałam mniej więcej jedną trzecią powieści i siedziałam w fotelu w oczekiwaniu końca popołudnia, kiedy wreszcie zadzwonił telefon. Nie wiedziałam, czy nadal czekam na ten dźwięk, żyłam bowiem w zupełnie znośnym zawieszeniu pomiędzy lekturą i wędrówkami, na przemian godząc się na taką sytuację, to znowu jej się dziwiąc. Podejrzewam, że były to objawy rozleniwienia, jakie mnie opanowało. W moim postępowaniu nie było już celu, a w myślach stanowczości. Dobrze wiedziałam, co robić, żeby mieć szansę na czyjeś towarzystwo, wołałam jednak, żeby to nie musiało zależeć ode mnie. Wcześniejszy scenariusz, w którym to ja miałam wpływ na wydarzenia po to, by rezultat mnie satysfakcjonował, wydał mi się zupełnie nieprzekonujący; bez wątplenia lektura książek, które wybrałam, zachwiała moją determinacją i ukazała niepoprawność rozumowania. Chciałam, żeby ktoś inny przejął inicjatywę, choć widziałam, że to mało prawdopodobne. Ostatecznie doszłam do wniosku, że lepiej będzie darować sobie ten związek, niż uczynić jakiś fałszywy ruch, który dla nas obojga mógłby się okazać fatalny. Mimo że gra wciąż jeszcze mogła być warta świeczki, zaczęłam wątpić w swoje umiejętności, a to przecież nigdy przedtem mi się nie zdarzało. Na pewno zbliżyłam się do prawdy, co z umiejętnościami nie miało nic wspólnego, bo życie raz jeszcze ukazało swoją zdolność do udzielania niemiłych lekcji. Podniesienie słuchawki wymagało z mojej strony pewnej odwagi, mimo że dobrze wiedziałam, kto dzwoni.

- Halo? - odezwałam się trochę niepewnym głosem, jakbym była nieobecna myślami. Usłyszałam odchrząknięcie.

- Mówi Nigel Ward.

- Jak miło cię słyszeć. Ferie się udały?

- Tak, bardzo, dziękuję.

Wyliczyłam sobie, że milczał około sześciu tygodni, i poczułam lekki przyływ irytacji, że zwlekał tak długo. Był już maj, wkrótce pewnie znów zniknie, kiedy studenci zaczną się rozjeżdżać na lato, postanowiłam więc przyspieszyć bieg sprawy. Tak więc wbrew sobie, powróciłam do wcześniejszych postanowień. Ostatecznie wówczas wydawały mi się całkiem stosowne. Teraz, kiedy już się zdecydowałam, ogarnęła mnie niemal beztroska, istna *belle indifférence* maniaczki czy naiwniaczki.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć - rzuciłam lekko. - Może przyjdiesz na kolację? Dziś wieczorem, jeśli nie masz nic lepszego do roboty.

- Z wielką przyjemnością. - Po kilku sekundach milczenia rozłączył się. Wysnułam z tego wniosek, że może znajdować się w podobnym stanie ducha, tyle że brakuje mu przekonania.

W domu, jak zwykle, było niewiele do jedzenia, przyrządziłam jednak dużą porcję sałatki nicejskiej; po niej musiały wystarczyć ser i owoce. Zresztą wątpiłam, byśmy mieli spędzić ten wieczór przy stole. Wzięłam pośpiesznie prysznic i ubrałam się tak, żeby go nie onieśmiał. Żałowałam, że mu nie doradziłam wzięcia taksówki; nie byłam w nastroju na długie czekanie. Najwyraźniej myślał podobnie, bo już po półgodzinie usłyszałam skrzypienie windy. Podeszłam wolno do drzwi, otworzyłam je i wyciągnęłam rękę.

- Miło cię widzieć - przywitałam go. - Wejdz, proszę. Co za piękny wieczór, prawda? Napijesz się wina?

Zasiadł ostrożnie w fotelu Digby'ego i dość szybko wysączył kieliszek, podobnie jak ja.

- Jak tam twoja wędrówka? - spytałam. - Gdzie byłeś? Odwiedziłeś swoich przyjaciół?

- Prawdę mówiąc... nie odwiedziłem. Pojechali do Grecji.

Ale na pewno zobaczymy się latem.

- Dokąd się w takim razie wybrałeś?

- Do Doliny Loary. To mój ulubiony region Francji. Wspaniałe powietrze. Urocze miasta. Tours. Angers. I oczywiście zamki.

- Zwiedzaliśmy je z Digbym; też podczas przerwy wielkanocnej. Blois. Amboise.

- Tak.

Wyglądało na to, że więcej o zamkach nad Loarą powiedzieć się nie da, bo najwyraźniej nie miał ochoty ciągnąć tego tematu.

- Zjemy? - spytałam. - To bardzo prosty posiłek. Mam nadzieję, że okaże się wystarczający.

- Wygląda wspaniale.

Był zdenerwowany. Ja niecierpliwa. Zabrał się do jedzenia, chociaż ręka, w której trzymał widelec, wyraźnie mu się trzęsła. Był świadom, że czeka go rytuał przejścia, i rozumiał, że ucieczka nie jest już żadnym wyjściem.

- Masz dużo zajęć? - spytałam, żeby poczuł się trochę swobodniej.

- Nie, niespecjalnie.

- Studenci pewnie przygotowują się do egzaminów?

- Tak.

Szło nam dużo trudniej, niż się spodziewałam.

- To było pyszne - oświadczył, odkładając widelec. Ledwo tknęłam tego, co miałam na talerzu. - Mógłbym pomóc?

Poczułam przyływ irytacji. Nie tak powinien zachowywać się mężczyzna. Nie miałam wyjścia, musiałam przejąć inicjatywę. Z westchnieniem podniosłam się i zebrałam talerze.

- Zostaw resztę - powiedziałam. - Weź tylko wino.

- Elizabeth, przemyślałaś to?

- O tak - odparłam. Zrzuciłam z siebie ubranie, zanim jeszcze dotarliśmy do sypialni.

Byłam łagodna i cierpliwa; mogłam się spodziewać, że okaże się to konieczne. Najwyraźniej nie miał dobrego zdania o własnych umiejętnościach, bo robił wrażenie oszołomionego rezultatem. Może rzeczywiście nie był siebie pewien po dłuższym okresie abstynencji, ja jednak podejrzewałam też wdzięczność, a ta była mi zupełnie niepotrzebna. Wolałabym raczej, żeby był surowy i krytyczny, bo to pozwoliłoby mu rzetelnie oceniać fakty. To nieprawda, że jeden mężczyzna wymazuje pamięć o innym, niemniej dobrze było przywrócić złudzenie intymności, a kiedy zobaczyłam go w płaszczu kąpielowym Digby'ego, poczułam nieoczekiwane wzruszenie. To był ten znak domowej atmosfery, za którą niezmiennie tęskniłam. Bez ubrania wydawał się nieskończenie bardziej atrakcyjny; nie próbował nawet okrywać swojej nagości. W płaszczu kąpielowym, który sięgał mu zaledwie do połowy łydek, z każdą chwilą nabierał pewności siebie.

- Wiedziałaś, że do tego dojdzie? - spytał.

- Większość ludzi tak postępuje. Jest to nawet obowiązkowe. Nie miałaś nic przeciwko temu?

- Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

- Zaparzę kawę. Albo herbatę. Herbata będzie bardziej odpowiednia. Usiądź sobie tymczasem.

Okryci, ale nie ubrani, piliśmy łączywie herbatę. Mogłam się już nie bać nadchodzącego lata. *Portret damy* też mogłam na razie odłożyć.

- Obejrzymy wiadomości? - spytałam.

Pod wpływem dobroczynnego działania herbaty i telewizji odprężyliśmy się oboje i zapanowała niemal całkowicie normalna atmosfera; może tylko odziani nie byliśmy normalnie. Zauważyłam, że jest nieco zaniepokojony szybkością, z jaką przebiegały wydarzenia. Brakowało mu w tym wszystkim poezji. Pod tym względem był bardziej romantyczny niż ja. Zresztą to ja tego chciałam, ja doprowadziłam do tej sytuacji, orientując się w swoich uczuciach nie

lepiej niż on. Po wyłączeniu telewizora poczuliśmy skrepowanie, którego wcześniej nie było. On zniknął w sypialni, żeby się ubrać, a ja zaczęłam sprzątać resztki kolacji. Kiedy wrócił, znów w tej swojej formalnej postaci, zrozumiałam, że bardzo chce już sobie pójść. Nie próbowałam go zatrzymywać. Oboje byliśmy tak zagłębeni w swoich myślach, że nawet nie wspomnieliśmy o ponownym spotkaniu. Nie miałam wątpliwości, że wróci. W tej jednak chwili największym jego pragnieniem było dobrze się nad całą sprawą zastanowić, jakby sam to ujął. Moja obecność tylko mu przeszkadzała.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, stwierdziłam, że ja również jestem nieco zaniepokojona. W mieszkaniu unosił się zapach innej osoby. Właśnie to było niepokojące - i natrętna myśl, że moje łóżko straciło nieskazitelną. Dopiero kiedy leżałam w ciemności, znów sama, pozwoliłam błędnie swobodnie swoim myślom. I w tym na pół przytomnym stanie w mojej głowie nie pojawiło się nic poza obrazami jakichś ulic, dziwnych fragmentów miast niegdyś oglądanych, przetykanymi widokiem jaśniejącego ogrodu, do którego nie miałam już wstępu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nigel zasypywał mnie życzliwymi radami, uważał bowiem, że nadszedł czas, abym odmieniła swoje życie i wypełniła je jakimiś obowiązkami, jak Pan

Bóg przykazał. Wcale nie chciał mieszać w to Boga; z ulgą stwierdziłam, że to jedynie sprawa niespokojnego sumienia, niejasnego podejrzenia, że jestem uboga duchowo. Była to naturalnie prawda, ale jakoś nie mogłam zdobyć się na to, żeby zapoznać go z zasadniczymi cechami mojej osobowości, a cóż dopiero z historią mojego życia. Namawiał, żebym znalazła sobie pracę, chociaż dałam mu do zrozumienia, że nie posiadam żadnych kwalifikacji. To jednak nie ograniczało w żaden sposób jego pomysłowości. Wspomniawszy, że mogłabym pracować w miejscowym szpitalu jako wolontariuszka Ligi Przyjaciół. Odparłam, że wolę raczej czytać, niż popychać wózek z herbatą i rozweselać pacjentów dobruśnymi rozmowami o ich rodzinach. Widziałam, że moja reakcja nim wstrząsnęła; gdyby był niezależną finansowo kobietą, taką jak ja, to właśnie czymś takim by się zajmował. Mogłabym też zainteresować się sprawami jego studentów, wspierać ich stosownymi uwagami i słowami zachęty podczas tych długich niedzielnych spacerów, które praktykowane będą aż do pełni lata. Wyobrażał sobie, że otoczylibyśmy ich jakąś stałą opieką, z korzyścią dla obu stron. Owszem, dostrzegałam, jaką to jemu przynosiło korzyść, ale też widziałam wyraźną niechęć studentów do poddawania się tego ro-

dzaju działalności misjonarskiej. Być może on sam również to zauważył, bo tej propozycji już nie ponawiał. Wpadł natomiast na pomysł, że mogłabym wykorzystać swoje umiejętności kulinarne i organizować przyjęcia dla różnych ludzi, których według niego na pewno znałam. Zwróciłam mu uwagę, że gdybym zdecydowała się na coś podobnego, to nie mogłabym przygotowywać kolacji dla niego, w te wieczory, które miał ochotę spędzić ze mną. No to lunchy, oznajmił; był przekonany, że w wielu firmach pracownicy z radością powitaliby kogoś, kto serwowałby im posiłki. Zauważyłam, jak najtaktowniej, że o świecie biznesu wie równie mało jak ja. Ostatecznie przyznał, że propozycja nie była zbyt rozsądna, co nie znaczy, że całkowicie ten pomysł zarzucił. Wydawał się zdecydowany pchnąć mnie na nową, pożyteczną drogę życia, chociaż po jakimś czasie pojął, że jednak najlepiej będzie, jeśli zawsze, kiedy tylko poczuje potrzebę kontaktu ze mną, odnajdzie mnie na drugim końcu kabla telefonicznego.

Dzwonił dość często, a w końcu bardzo regularnie. Wiedziałam, że jeśli nie pojawi się u mnie, to na pewno przynajmniej zadzwoni. Wyczuwałam, że chce zachować całkowitą swobodę i że wolność robienia tego, co chce i kiedy chce, była zapewne jedyną rzeczą, jaką mu mogłam ofiarować. Zawsze chciałam, żeby mężczyzna czuł się wolny, tak jakby było rzeczą stosowną, żeby kobieta do pewnego stopnia unikała przejmowania inicjatywy. To naturalnie stało w sprzeczności ze świeżo rozbudzoną kobiecą świadomością, ale moje przypuszczenia, że jemu bardzo taka sytuacja odpowiada, okazały się słuszne. Był typem staroświeckim, niczym jeden z tych prawych bohaterów z moich ulubionych dziewiętnastowiecznych powieści, takim, którego męskość przejawia się w upartym dążeniu do celu. Zawsze się zastanawiałam, czy to właściwa cecha; teraz przestałam. W naszym związku dominowała solidarność; obdarzaliśmy się uczuciami braterskimi. Miło było mi leżeć samotnie wieczorową porą i mieć pewność, że zadzwoni, żeby się upewnić, czy u mnie wszystko w porządku, czy nic mi nie dolega, czy przypadkiem nie zawodzę i nie zgrzytam zębami, co, jak był przekonany, mogłam robić z żalu, że go nie ma obok mnie. W rzeczywistości ta nieobecność nie stanowiła dla mnie wielkiego problemu, mimo że jego towarzystwo było miłe i mało absorbujące. Szczerze mówiąc, nawet zbyt mało absorbujące jak na moje upodobania, które pozostały awanturnicze. Byłabym bardziej zadowolona, gdyby wykazał więcej pomysłowości, wyrazistości, więcej natarczywości. Nauczyłam się przyjmować go takim, jaki jest, nieustannie pamiętając, że wiedziałam, co robię, kiedy go sobie wybierałam. Bo tak teraz to postrzegałam, choć fakty przedstawiały się nieco inaczej. Delikatne, ale uporczywe znudzenie, jakie odczuwałam w jego obecności, było ceną, którą musiałam płacić za te telefony późnym wieczorem, za świadomość, że jest ktoś, do kogo w razie jakich-

kolwiek kłopotów mogę się zwrócić. Wywiązywał się całkowicie ze swojej części umowy i to było jego darem dla mnie.

Ja obdarowywałam go w zamian czymś innym. Mój dom, choć nie moje życie, był dla niego stale otwarty. Zawsze mógł wpaść z wizytą i zostać, jeśli nie miał ochoty wracać do siebie. Kiedy siedział w fotelu Digby'ego i opowiadał, jak minął mu dzień, widziałam, że jest zadowolony, nawet szczęśliwy. Jego opowieści zawsze dotyczyły innych, nie znanych mi ludzi; był samotnikiem, który umiał w taktowny sposób zajmować się życiem innych. Jego krótki wybuch szczerości podczas naszego pierwszego spotkania spełnił zadanie, jakie mu sam wyznaczył: historia jego życia została, by tak rzec, przedstawiona, przyjęta bez uwag i nie było potrzeby, by ją ponownie analizować. Nigdy nie dowiedziałam się, czy chodzi do psychoterapeuty, ponieważ odpowiedni moment na tego rodzaju wyjaśnienia dawno już minął, a ja wyczuwałam jego zadowolenie, że nie musi już rozmawiać o swoim życiu. Pełniłam rolę przyjaciela, jego przyjaciela, szczególnego wręcz przyjaciela. A moją główną zaletą było to, że nigdy nie domagałam się sprecyzowania natury tej przyjaźni.

Owszem, dla samej siebie starałam się dociec owej natury. Gdybym miała dość odwagi, żeby to przyznać, uznałabym takie nienaganne zachowanie za otepiałające. A jednak jakimś cudem udawało mi się trzymać na wodzy własną niecierpliwość. Wystarczyło, czy prawie wystarczyło, włożyć trochę entuzjazmu w zakupy, obmyślić posiłek, na który by miał ochotę, i dać mu odczuć, że jest mile widziany. Bo ja też już zdążyłam doświadczyć samotności, tyle że lepiej umiałam sobie z nią radzić. Świadomość, że moje wieczory będą zajęte, i to przez mężczyznę, który był mi coraz mniej obcy, sprawiała niekłamaną przyjemność, ale podobnie przecież czułam się na początku małżeństwa. Nie wyobrażałam sobie, nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że mogłabym ponownie wyjść za mąż: przygnębiała mnie sama myśl o tym, chociaż dla postronnego obserwatora ta stateczna przyjaźń nie mogła skończyć się niczym innym jak tylko małżeństwem. Ono tymczasem nie istniało w moich planach, mimo że bywały wieczory, kiedy wydawało mi się, że już jesteśmy po ślubie. Jedliśmy, sprzątaliśmy ze stołu - teraz już wiedział, gdzie co odstawić - oglądaliśmy telewizję. Jak przystało na samotników, którymi pozostaliśmy, fascynowaliśmy się związkami i różnymi układami rodzinnymi bohaterów oper mydlanych. Oceniał te fikcyjne postaci bardzo krytycznie: byli głupcami albo, znacznie częściej, próżniakami. Widziałam, że jest na najlepszej drodze, by stać się jednym z tych zgryźliwych staruszków, ja zaś jedną z tych komicznie tolerancyjnych kobiet, których obecność zawsze mnie tak nużyła, właśnie z powodu ich tolerancji. Weź sobie kochanka, zachęcałam w

myślach, kiedy któraś z nich zatrzymała mnie w sklepie czy na ulicy (bo teraz wydawało się, że znam sporo osób, czy raczej one znają mnie), albo, co zwykł polecać jeden z moich dawnych paryskich przyjaciół, wyrażając się ściślej: „*Faites de la gymnastique, ou fâite-vous baiser*”. Czerpałam jakąś chłodną przyjemność z faktu, że postępuję zgodnie z przyjętymi normami i że mam prawo być z siebie zadowolona i traktować jako rzecz oczywistą te dziwne uprawnienia, do których ciągle nie byłam przyzwyczajona. Wystarczająco dobrze się oboje rozumieliśmy, by móc unikać nieporozumień, a jeśli nawet mnie to wszystko nie wystarczało, to widziałam, że radowało Nigela. Jego zadowolenie z tego, że sprawy przybrały taki właśnie obrót, było niemal namacalne. Robił wrażenie jednocześnie młodszego i starszego ode mnie, młodszego w tym, że nie było w nim nic światowego, starszego z racji niezmiennie uprzejmego zachowania we wszystkich okolicznościach. Bywały chwile, kiedy miałam ochotę popastwić się nad nim, sprowokować do spontaniczności, do grubiańskiego zachowania, ale chwile te stawały się coraz rzadsze. Niemalże zmieniałam się na lepsze. On, naturalnie, zawsze był taki.

- To nie możesz być ty, bo jesteś tutaj - powiedziałam, kiedy zadzwonił telefon.

Uwielbiał tego rodzaju uwagi, wynikającą z nich pewność i ciągłość. Staliśmy oparci o parapet i podziwialiśmy olśniewającą urodę wieczoru, oboje pod wrażeniem piękna lata. Z niechęcią odwróciliśmy się ku mrocznemu, nie oświetlonemu wnętrzu pokoju.

- Usiądź, proszę. A ja im powiem, żeby zadzwonili później.

- Halo - usłyszałam głos Betsy. - Jak się masz?

Celowo wymazałam ją z pamięci. Pomyślałam, że lepiej zostawić w spokoju naszą nadzarpniętą przyjaźń, niż dokonywać tych nużących zabiegów, które miały jej przywrócić dawną świetność.

- Dobrze - odparłam. - A ty?

- Cóż, mówiąc szczerze, niezbyt dobrze. - Głos miała wesoły, ale pobrzmiwał w nim ton niepewności.

Nigel zrobił pytającą minę. Nie był przyzwyczajony, żeby ktoś nam przeszkadzał. Być może swoimi staraniami, by poczuł się u mnie jak w domu, odniosłam zbyt duży sukces.

- Skończyło się wino - zwróciłam się do niego, nakrywając dłonią mikrofon słuchawki. - Chciałoby ci się wyskoczyć po butelkę? Białego. Mamy rybę na kolację.

- Betsy? Co się stało? - zapytałam, kiedy usłyszałam jego kroki na schodach.

- Och, nic takiego. Po prostu jutro idę do szpitala i pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć.

- Jesteś chora?

- Nie, chyba nie. Tylko na badania. Czy nie tak zawsze mówią?

Wesołość zniknęła z jej głosu; usłyszałam w nim teraz nutę znużenia.

- Co ci jest?

- Odczuwam pewne dolegliwości. Sądzę, że to nic takiego. Zostanę tam na kilka dni.

- Odwiedzę cię. Gdzie będziesz? Podała nazwę, która nic mi nie mówiła.

- To mały prywatny szpital, gdzieś po drugiej stronie rzeki.

- Dlaczego prywatny? Nie lepiej byłoby skorzystać z państwowego szpitala? Tam mają możliwości...

- Edmund nalegał. - Trudno było nie usłyszeć w jej głosie dumy.

- To Edmund wie o tym?

- Naturalnie. Rzecz w tym, że chcę mieć nazwisko najbliższego krewnego. Jak wiesz, nie mam żadnych krewnych. - Roześmiała się. - Zastanawiałam się, czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym podała twoje. Jestem pewna, że nie będą cię niepokoić. Jak mówię, to potrwa tylko kilka dni. A rozumiesz, że nie mogę im podać nazwiska Edmunda.

- Na twoim miejscu chyba bym to zrobiła.

- Ależ skąd. Poza tym nie chcę, żeby myślał o mnie jako o osobie chorej. Nienawidzi chorób. Nawet jak któreś z dzieci zachoruje, robi mu się słabo. Więc pewnie nie będę mu zawracała głowy, dopóki nie wrócę do domu. A czy się pojawi, to już zupełnie inna sprawa.

- No tak. Oczywiście możesz im podać moje nazwisko. - Zapadła chwila ciszy, która wydała mi się znacząca. - Jesteś pewna, że to nic poważnego?

- Cóż, tak sądzą. Jak mówię, to tylko drobne dolegliwości. Może lekki ból. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nigdy przedtem nie byłam chora. Tak naprawdę, jestem całkiem przecież zdrowa.

- Odwiedzę cię. Kiedy tam idziesz?

- Jutro. Przyjdź za dzień czy dwa. Mają mnie przebadać. - Jeszcze jedna chwila milczenia. - Przyjdziesz, prawda? - Tym razem głos był pełen smutku, jakby odrzuciła wreszcie te wszystkie swoje irytujące maniere osoby dorosłej i ponownie stała się dziewczynką, która jeszcze nie doznała uszczerbku od świata.

Tak sobie wtedy pomyślałam: uszczerbek. I w tej krótkiej chwili, w której zawarła się cała nasza dotychczasowa historia, pomyślałam, jaka szkoda, że już nie jesteśmy tamtymi niezsputymi istotami, które nie znały jeszcze wyrachowania. Ja też poniosłam uszczerbek, nawet

jeżeli jedynie w rezultacie własnych decyzji. Nie były to decyzje zgubne, ale na pewno ryzykowne. Zawsze byłam świadoma tego, jakim nieprzyjacielem jest czas, czego może dokonać, a raczej co zniweczyć. Teraz poczułam, że jestem uwikłana w to niszczycielskie działanie bardziej, niż sądziłam.

- Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować - powiedziałam. - Zobaczymy się za dwa dni.

Perspektywa tych dwóch dni wydawała się nie do zniesienia. Stałam zastygła, ze słuchawką w dłoni; nie miałam ochoty wykonać żadnego ruchu, chciałam, by wrócił beztronski czas sprzed kilku minut, chciałam być sama. Kiedy usłyszałam kroki Nigela, uświadomiłam sobie konieczność przybrania z powrotem tej maski życzliwości, ponieważ znał mnie właśnie taką i zaczynał ufać moim dobrym intencjom. Bo przecież tak naprawdę nic się nie zmieniło, poza tą katastrofalną rewelacją, że nie jestem bezpieczna, że zagraża mi coś niewiadomego, przypadkowego, jakaś zmiana, którą należy sprawdzić i „przebadać”. Pod tym względem byłam równie bezbronna jak Betsy, mimo że moja godzina jeszcze nie wybiła.

Usłyszałam głos. Nie Nigela. Edmunda.

- Drzwi były otwarte.

- Czekam na przyjaciela. Powinien wrócić za chwilkę.

- Bardzo niemądrze tak zostawiać otwarte drzwi. Zajmę ci tylko minutę.

- Oczywiście przyszedłeś w związku z Betsy.

- Muszę wracać do domu. Wychodzimy na kolację. - Był zmęczony, wręcz wymizerowany.

- Ach tak. Jak się miewa Constance?

- Nie patrz tak na mnie, Elizabeth.

- Czego ode mnie chcesz, Edmundzie? Oczywiście, że odwiedzę Betsy, jeśli ci o to chodzi. Domyślam się, że ty raczej nie.

- To dla mnie trudny okres - westchnął i usiadł ciężko. Rzeczywiście, było to po nim wiadać. - Moja rodzina doznała trwałego uszczerbku. I ja dźwigam to brzemię.

- Wyobrażam sobie, że wszyscy inni również.

- Myślałem, że da się to utrzymać w jakichś rozsądnych granicach.

- Mężczyźni zawsze tak myślą.

- Tymczasem ona nie umiała, albo nie chciała, zrozumieć mojej sytuacji.

- Musiała pamiętać o własnej.

- Wydzwania do dziewcząt. Bóg wie, co im opowiada.
- Jest porządną kobietą. Niezdolną do podstępnych działań.
- Constance może mi nie wybaczyć. Muszę to wziąć pod uwagę.
- Co zrobisz?

Dłonie, które tak dokładnie zapamiętałam, uniósł do twarzy i potarł oczy.

- Wiem, co trzeba zrobić.
- Możesz mi powiedzieć?
- Nie, nie mogę cię w to wciągać. Nie jesteś w to uwikłana.

- Owszem, jestem. I nie tylko z powodu Betsy. Z twojego powodu. Nigdy nie miałam co do tego wątpliwości. I teraz też nie mam.

Wstał, przygnębienie ustąpiło zdumieniu. I na tę scenę, milcząco potwierdzającą współudział, natknął się Nigel.

- Edmund właśnie wychodzi - oznajmiłam niepewnym głosem, oscylującym między popłochem i pewnością siebie. - Odprowadzę cię.

W tamtej chwili przyszłość została odegnana. W przedpokoju rozmawialiśmy konspiracyjnym szeptem.

- Pójdiesz do niej?
- Ty nie?
- Może będę musiał wyjechać w interesach. Dasz mi naturalnie znać, jeśli nastąpi jakaś zmiana.

- Czy ona jest rzeczywiście chora?
- Nie wiem. Jest blada, to pewne.
- Wracasz od niej?
- Tak.

Popęłnił karygodny błąd, wręczając mi swoją wizytówkę, którą ze złością wcisnęłam w pierwszą z brzegu książkę telefoniczną, ze świadomością, że nigdy się nie pofatyguję, by ją stamtąd wyjąć. Pogorszył jeszcze sytuację, kładąc ciężko rękę na moim ramieniu, co najwyraźniej wydało mu się stosowne w tych okolicznościach. Odebrałam jego gest jako poufały i zamierzony. Z daleka, z salonu, doszło do moich uszu chrząknięcie Nigela.

- Kto za to płaci? - zawołałam, kiedy Edmund był w połowie schodów.
- O to już zadbano - odparł, zwracając ku mnie naznaczoną troską twarz.

Stałam w korytarzu, słuchając dźwięku zamykających się na dole drzwi, stukotu jego butów na chodniku, wreszcie odgłosu zapalnego silnika. „O to już zadbano”, powiedział. Zadbaj: dbać o kogoś. Zatem Edmund wnosił wkład w życie Betsy na więcej niż jeden tylko sposób. Byłam tym głęboko wstrząśnięta, zupełnie jakby dawanie kobiecie pieniędzy świadczyło o jeszcze bardziej intymnych formach odpowiedzialności. Powinnam była to wcześniej zrozumieć. Pieniądze nie były tym, co Betsy zarobiła czy odziedziczyła. Ta niespodziewana równość pomiędzy nami dwiema nie miała związku z naszymi zasobami finansowymi. Była głębsza i trudniejsza. Powiedział też: „Wiem, co trzeba zrobić”. I to było dla mnie wstrząsem, bo wskazywało na budzące się poczucie odpowiedzialności. Czy miał na myśli małżeństwo, ucieczkę od Constance i jej przyjęcie? Mnie dał po prostu wizytówkę, jakbym była znajomą w interesach albo klientką. Wiedziałam, że tego nigdy mu nie wybaczę.

- Gdzie się podziewasz? - spytał Nigel, wychodząc do przedpokoju. - I dlaczego tak krzyczałaś?

- Przypomniało mi się, że coś powinnam mu powiedzieć.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem, żebyś podniosła głos. Kto to był?

- Dawny znajomy - odparłam. Kiedy podniosłam wzrok i zobaczyłam jego oczy, wiedziałam, że popełniłam błąd. - Kolacja nie jest jeszcze gotowa. Pójdziemy do restauracji? - Ważne było, byśmy natychmiast stąd wyszli, zanim pojawi się lawina pytań.

A przecież to był odpowiedni czas na zadawanie pytań, jeśli miała między nami zapanować pełna szczerłość. Podejrzywałam, że on zdążył już dojść do własnych dramatycznych wniosków na temat mojego związku z Edmundem; ta milcząca konfrontacja bardziej jeszcze niż konspiracyjne zachowanie na schodach przekonały go zapewne, że ukrywam romans, o którym wcześniej nie miał pojęcia. W pewnym sensie miał rację, chociaż to wszystko dotyczyło przeszłości i teraz było bez znaczenia. On jednak był tego pokroju człowiekiem, który oczekuje i wymaga pełnej jawności, takiej jak ta zawarta w jego opowieści, która miała mnie najwyraźniej przekonać, że znam już wszystkie okoliczności i szczegóły. Uznał to za wystarczające i zakładał, że mnie w zupełności zadowoliło. Jego przeszłość przestała mnie interesować, a on sam zaciekałby mnie bardziej, gdybym dostrzegła w jego opowieści, podobnie jak w jego obecnym postępowaniu, jakieś sprzeczności. Zaczęłam go uważać za mężczyznę mało dojrzałego emocjonalnie (właściwie już wcześniej to podejrzewałam) i musiałam sama sobie zadać pytanie, czy potrafię przeżyć resztę życia w takim letargu. Oznaki zniecierpliwienia czy niezadowolonia, jakie sporadycznie zdradzał, ograniczały się wyłącznie do dylematów przedstawia-

nych w telewizji. Wydawało mi się dziwne, że człowiek mający tak silne poczucie celowości w życiu może ulegać namiastkom prawdziwych uczuć.

Przedtem nie uważałam tego za wypaczenie, a teraz owszem. Być może nie było to aż tak istotne, ale teraz wiedziałam już, że poziom naszych rozmów i wspólnych zajęć nie zaspokoi mojego apetytu. O jego zaletach byłam nadal przekonana, ale dostrzegłam też pewną zdecydowaną powierzchowność. Wcześniej założyłam, że w moim życiorysie nie ma niczego, co mogłoby go zainteresować. Teraz już nie był tego pewien. Kiedy wszedł do pokoju, stałam zwrócona plecami do drzwi i moja postawa oraz szacujące spojrzenie Edmunda, zdradzające bezwiednie przywołane wspomnienia, jednoznacznie wskazywały na milczące porozumienie, które mogło świadczyć tylko o długiej znajomości. Bo była to prawda; ten wniosek był całkowicie prawidłowy. Teraz musiał koniecznie przyjrzeć się swoim uczuciom w świetle nowych faktów i jeśli pewne podejrzenia okażą się słuszne, zrewidować swoje nastawienie do mnie. Żadne moje wyjaśnienia - że omawialiśmy los chorej przyjaciółki - nie rozgrzeszały tamtej postawy, tamtych spojrzeń. Być może po gruntownym przemyśleniu sprawy będzie musiał całkowicie wykluczyć mnie ze swojego życia.

Wydawałoby się, że to nie powinien być mój problem, a jednak był. Kiedy ujrzałam Edmunda, uprzytomniłam sobie, jak różne charaktery mają ci dwaj mężczyźni i jak odmiennie są atrakcyjni. Edmund był efemerydą i zawsze o tym wiedziałam. Nigel natomiast był tym, który znakomicie wywiązałby się z obowiązku najbliższego krewnego. Trwałby u mojego boku we wszystkich okolicznościach, pod warunkiem że spełniałabym pewne wymagania moralne. Dostrzegłam zalety takiego bezpiecznego układu, ale przestało mi na nim zależeć. Chyba lepiej poradzę sobie sama, a przewodnikiem będzie mi własna wiedza.

Bo ciągle rozważałam przeszłość; ona nadal tkwiła we mnie. W pewnym sensie ożyła, a martwe od dawna uczucia odezwały się i nie mogłam znieść myśli o ich utracie. A musiałabym do tego dopuścić, jeślibym chciała wygrać swoją przyszłość z tym człowiekiem. Ze zgrozą wyobraziłam sobie dzień, w którym uzgodnilibyśmy, że ma się do mnie wprowadzić, i stworzyli mające trwać do końca życia zacisze domowe, w którym nasze role zostałyby określone przez nieśmiertelne zwyczaje. Krzątając się po kuchni, patrzyłabym, jak usadowiony w fotelu Digby'ego czyta wieczorną gazetę. Z czasem zapewne odczułabym pokusę, by zapisać się na jakieś wieczorowe zajęcia, nie po to, żeby znaleźć tam kochankę, ale żeby uciec od nieznośnego ciężaru obecności Nigela.

W drodze do restauracji milczeliśmy, mimo że piękny wieczór nastrojał do spokojnej, kojącej rozmowy. Nigel nie dotknął mojego ramienia ani nie ujął dłoni w geście potwierdzającym istnienie fizycznej bliskości, który zawsze spotyka się z życzliwą wyrozumiałością przechodniów. Byliśmy zadowoleni, kiedy mogliśmy już usiąść, rozwinąć serwetki, powitać znajomego kelnera. Oczywiście nie zamierzaliśmy udawać, że nie zaszło nic niefortunnego, ale żadne z nas nie wiedziało, jak ten temat poruszyć.

- Nie masz się czego obawiać - oznajmiłam, zdecydowana przerwać to milczenie. - Rozmawialiśmy o naszej wspólnej przyjaciółce, która zachorowała, i zastanawialiśmy się, czego może potrzebować. - („Wiem, co trzeba zrobić”, powiedział Edmund.) - Byłam wstrząśnięta; nie wiedziałam, że jest chora. Nie widziałyśmy się od dość dawna.

Czy to wyjaśnienie mu wystarczyło, nie było istotne; dość, że nie odbiegało od prawdy. Znowu pojawiła się Betsy wraz ze swoją chorobą i czułam, jak mój mózg staje się kłębowiskiem przytłaczających myśli i uczuć. Miałam wrażenie, że zamęt ogarnął wszelkie moje relacje z innymi i że przeszłość, ten drugi nieprzyjaciel, powraca, by mnie prześladować. Nasza młodość, Betsy i moja, raz jeszcze była zagrożona, a my musiałyśmy sobie radzić z rzeczywistością, która dotyka ludzi dorosłych, niezależnie od tego, czy są do niej przygotowani czy nie. Poczulałam pieczenie w gardle i odłożyłam widelec.

- Wybacz mi, proszę - powiedziałam. - To naprawdę był dla mnie wstrząs.

I wtedy on położył swoją dłoń na mojej, a ten dotyk przyniósł mi pociechę. Tej nocy jednak nie został ze mną. Nietrudno mi było sobie wyobrazić, jak odchodzi samotnie w mrok i poddaje dokładnej weryfikacji nie tylko swoje zamierzenia, ale i życie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sytuacja, która mogła doprowadzić do zerwania, dość szybko się poprawiła: obawialiśmy się bowiem powrotu do niewiele wartego samotnictwa. Każde z nas osobno, nie zdradzając się z tymi myślami, przypomniało sobie dawny czas, sumiennie i bez przyjemności wypełniany jakimiś sprawami. Dla nas obojga taka łączność, jaka zaistniała między nami, była czymś zupełnie nowym. To nam wystarczało. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek w grę wchodziły jakieś głębsze uczucia, mimo że z ulgą rozstaliśmy się z egocentryzmem i wpuściliśmy do naszego życia mniej lub bardziej wybraną osobę, czuliśmy się coraz swobodniej w tym nowym towarzystwie, coraz częściej chwytałyśmy aluzje, wymienialiśmy się anegdotami, przyjmowaliśmy jako rzecz oczywistą własne pożądanie oraz prawo do jego zaspokojenia.

To wystarczyło, byśmy mogli pokonać resztki obaw i uniknąć nieporozumień. Ponieważ jednak byliśmy świadomi, że nasz związek zachwiał się pod wpływem ledwie dostrzegalnego, ale rzeczywistego i spontanicznego incydentu, zachowywaliśmy się bardzo poprawnie, nie tylko z lęku, ale i dlatego, że tak nam nakazywało tkwiące głęboko w nas poczucie honoru. Musieliśmy postępować stosownie do sytuacji, jaką oboje stworzyliśmy, cenić jej zalety, jej bezsprzeczną dogodność. Byliśmy do siebie podobni w tym, że oboje pochwalaliśmy trwałość. Nigel na pewno doceniał ją jeszcze bardziej niż ja. Mnie wystarczyło, że wyobraziłam sobie, jak leżę na szpitalnym łóżku, gdzie nikt mnie nie odwiedza, by mocno uchwycić się tego tworu przypominającego romans czy małżeństwo. Trudno było zlekceważyć zalety tego związku, choć napięcia były teraz o wiele bardziej wyczuwalne. Nieprzystawalność naszych upodobań i temperamentów, które kształtowały się w sytuacjach przepełnionych namiętnością, mogła stanowić zapowiedź przyszłych kłopotów. Tymczasem odwracaliśmy wzrok, stawaliśmy się bardziej czujni, niż było to konieczne. Nigel oczywiście zachowywał się nienagannie, ale i tak wyraźnie teraz czułam, że jestem poddawana bacznej obserwacji, jakbym przechodziła próbę. Dotychczas nigdy nie dałam powodu do nieuzasadnionych podejrzeń. Teraz jednak podejrzania musiałam rozproszyć. Nie wzbudzało to mojego oburzenia, jedynie stałam się ostrożniejsza. Powiedziałam sobie, że przekroczyłam już wiek znaczących spojrzeń i mimowolnych wspomnień, że jestem kobietą w średnim wieku i w moim interesie leży odsuwanie od siebie tego momentu, który niewątpliwie nadejdzie, kiedy żadna rekompensata nie będzie już możliwa.

Nie mogłam się pozbyć obrazu szpitalnego łóżka, który pojawiał się nie wiadomo skąd. Wiedziałam, że związany jest z Betsy, a mimo to dręczyłam się tak, jakby to mnie coś za-

grażało. Zauważałam tę zależność od choroby i jednocześnie akceptację i osamotnienie. Zawsze cieszyłam się doskonałym zdrowiem; nie miałam powodu, by czuć takie przerażenie. Pierwszy raz zdarzyło mi się to, kiedy byłam dzieckiem. Umierał mój dziadek: jego nieruchoma postać, bezsilne ruchy słabych dłoni wiązały się nierozdzielnie z aurą choroby i ciężką, skażoną atmosferą pokoju. Płakałam, protestowałam; kazano mi iść się bawić. Zabawa jednak była nie do pogodzenia z tym, co zobaczyłam, a co nie bardzo pojmowałam. Ale już wtedy zrozumiałam samo pojęcie uszczerbku, które tkwiło we mnie, aż je nazwałam. Nadanie mu nazwy zwiększyło tylko jego moc.

Może to miało jakieś znaczenie, a może i nie, ale mniej więcej w tym samym czasie powróciły moje sny w pewien sposób związane z elektrycznością. Tym razem chciałam zapalić światło w łazience i wszędzie natrafiałam dłonią na skręty drutu, które zwisały z pustych otworów po wyłącznikach i gniazdkach aż do podłogi. To samo powtarzało się we wszystkich pokojach. Powiedziałam sobie spokojnie, że muszę wezwać elektryka, jednak zanim zdążyłam to zrobić, drzwi się otworzyły i do mieszkania wkroczyły dwie nieznane mi kobiety. One natomiast zdawały się znać mnie bardzo dobrze, tak dobrze, że zachowywały się u mnie całkiem swobodnie, a w pewnym momencie położyły się nawet na moim łóżku. Rozmawiały ze sobą tak, jakby znajdowały się w miejscu publicznym. Jedna wyjęła tubkę balsamu do rąk i podała tej drugiej, wymachiwały nią nieostrożnie i zachlapały narzutę. Wiedziałam, że ślady tej lepkiej substancji odnajdę na fotelach, stole, dywanach, w całym mieszkaniu. Zajęte rozmową kobiety w ogóle nie zwracały na mnie uwagi. I nie było na to żadnej rady: w tym właśnie tkwił problem. Wyrwałam się z tego snu, czy raczej koszmaru, tak przerażona, że zrobiłam coś, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Zadzwoiłam do Nigela, który najwyraźniej wyczuł moje przygnębienie. Była piąta rano. O szóstej był już u mnie.

Jego obecność w tamtej chwili miała dla mnie ogromne znaczenie, chociaż on sam nie bardzo potrafił pojąć, skąd u mnie to poczucie zagrożenia. Był skłonny złożyć mój koszmar na karb kobiecej nerwowości, a jednocześnie był wyraźnie zadowolony, że może we mnie widzieć osobę bojaźliwą, omylną, szukającą u niego rady i pociechy. Mój żalony wygląd wskrzesił chyba resztki dawno już wygasłej męskości, bo wziął sprawy w swoje ręce, zaparzył herbatę i zdecydował, że spędzimy ten dzień w Holland Park i tam zjemy lunch. Wiedziałam, że oboje zachowujemy się w sposób dla siebie nietypowy, on taki silny, ja taka słaba, a przecież było to takie kojące - móc się zachować niezgodnie z własną naturą, ulec tej rzadkiej pokusie, żeby być innymi niż naprawdę jesteśmy. Oboje wiedzieliśmy, że powrót do normalności będzie nieunik-

niony, że jest koniecznością, choć nie całkiem pożądaną. Sprawiałam mu jeszcze większą przyjemność, wyrażając obawę, że odrywam go od pracy, i w tym właśnie miejscu ta normalność ponownie zaczęła wdzierać się między nas, bo on przyznał się, że tak naprawdę, to niewiele ma do roboty, właściwie nigdy nie miał; po tym wyznaniu poczułam, że jego zgorzknienie może przewyższać moje. Nie miałam ochoty litować się ani nad nim, ani nad sobą - litość była zbyt niebezpieczna - wzięłam więc prysznic, ubrałam się, zrobiłam śniadanie, licząc, że te zwyczajne czynności przywrócą normalność. Słońce przygrzewało mocno; letnie przesilenie mieliśmy już za sobą. Wiedzieliśmy, że lato już nie potrwa długo, i postanowiliśmy wykorzystać tę jasność i ciepło. Przed dziewiątą wyruszyliśmy do parku.

Tam, siedząc na ławce, przeprowadziliśmy naszą pierwszą prawdziwą rozmowę. On dziwił się, jak mogłam tak się przerazić czymś, co było jedynie snem, a ja usiłowałam wyjaśnić mu pojęcie uszczerbku, które znowu znalazło zastosowanie w związku z chorobą Betsy. Czy byliście sobie bardzo bliskie, zapytał. Nie, ale razem dorastałyśmy, odparłam i zaczęłam mu opowiadać o przeszłości, czego w ogóle nie zamierzałam. Było w tej opowieści wszystko: Bourne Street, Pimlico Road, nasze najwcześniejsze miejskie otoczenie, potem szkoła i ten bez troski, naturalny związek, który skończył się, kiedy pojechałam do Paryża, zostawiając Betsy, a ona sama musiała sobie radzić ze śmiercią ciotki. Kiedy z kolei ona pojechała do Paryża, straciłyśmy kontakt aż do momentu, kiedy zjawiała się na moim ślubie, pełna optymizmu i radosna, w przeciwieństwie do mnie. W tym miejscu przerwałam opowieść: nie chciałam zacierać wrażenia niewinności. Nie mogłam mu przecież wyjaśnić, jakie to miało dla mnie znaczenie i w jaki smutny sposób się od niej oddaliłam. Wypytywał mnie dokładnie, kiedy tak siedzieliśmy tam w słońcu, ale nie było już nic więcej, co mogłabym czy chciałabym dodać. Zbyt silnie odczuwałam, że jakaś część mojego życia dobiegła kresu, a jednocześnie smutkiem napawała mnie świadomość, że niezbyt ją sobie ceniłam.

- I to jest ta przyjaciółka, o którą się martwisz?

- Tak - odparłam. Po czym zadziwiłam samą siebie, mówiąc: - Całe życie podążałyśmy za sobą jak cienie. Teraz ona jest chora, a ja muszę stawić czoło wszelkim tego konsekwencjom. Myślę, że ona chce, żebym była przy niej. - Udało mi się nie powiedzieć: „Mimo wszystkiego, co o sobie wiemy”.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zapytał. Odebrałam to jako coś bardzo miłego. Chodziło przecież o szpital, łóżko bóleści, obowiązki, które spadają na osobę wskazaną jako najbliższy krewny.

Zmusił mnie do zjedzenia lunchu, tego dnia, który wydawał się najdziwniejszy ze wszystkich. Potem wsadził mnie do taksówki i stał, machając ręką, dopóki nie zniknęłam za rogiem.

A kiedy taksówka mknęła ulicami, moje uczucie wdzięczności odchodziło w cień i znów stawałam się osobą twardą, bo podejrzewałam, że tak będzie najlepiej. Nie będzie miejsca na łzawe zrozumienie ani na złe przeczucia czy wspominki. Zauważyłam, jaką satysfakcję przyniosła Nigelowi moja chwilowa słabość, i z pewnym zniecierpliwieniem myślałam o jego sumiennie udzielonym wsparciu. Okazało się, że tam, gdzie nie ma namiętności, pozostaje miejsce jedynie na lęk. Bo namiętność w szczególny sposób chroni przed nim. Teraz czułam lęk, ale tylko o sobie: rzeczywisty lęk. Bałam się nadejścia nocy i snów, jakie może ze sobą przynieść. Z najwyższym niepokojem przyjmowałam fakt, że powoli przeobrażam się w słabą, wymagającą pomocy kobietę, taką, która odpowiadałaby mężczyźnie pokroju Nigela. Trwogą napawała mnie myśl o ewentualnym załamaniu nerwowym, które sprowadziłoby na mnie kłopoty, jakich dotychczas mogłam się jedynie domyślać. Truchlałam na myśl o utracie tożsamości, co w połączeniu z utratą sił doprowadziłoby do tego, że byłabym zdana na łaskę innych. Dlatego siłą woli zmusiałam się do myślenia o Edmundzie i o tym, że przyjdzie jeszcze może czas, kiedy się z nim skontaktuję.

Tymczasem zmuszona byłam przyznać, że moja krótka wycieczka w nieświadomość, czy jakkolwiek nazywa się to miejsce, gdzie rodzą się sny, źle mi się przysłużyła, bo zamieniła mnie w przerażoną młodszą osobę albo, co dużo gorsze, w starszą słabowitą, a Nigel był w jakiś sposób z tym procesem związany, choć nie z własnej winy, możliwe, że i nie z mojej. Okazał się niezawodny, dbały, ale w jego zachowaniu było też coś, co oddaliło mnie od niego, mimo że, jak myślałam, zdążyłam go już dobrze oszacować. Dostrzegłam w jego twarzy przeblask samozadowolenia, kiedy starał się rozwiać moje lęki, a ręka, którą mnie objął, mogłaby należeć do pielęgniarki czy opiekuna, a nawet ojca; mogła należeć do każdego. I kiedy tak szliśmy pośród klombów i rabatek, ta ręka zaczęła mi ciążyć i miałam ochotę ją strząsnąć, ale wtedy na pewno bym go uraziła. Jeżeli mieliśmy nadal być razem, powinnam się przyzwycząić do tej pantoflarskiej zaborczości, a przecież myślałam sobie, że zachowanie Nigela, choć życiowe, było niezręczne, typowe dla mężczyzny, z jakim nigdy nie mogłabym się spotkać na jego warunkach. Jego gest - to obejmujące mnie ramię - był częścią wystudiowanej pozy wyrażającej cierpliwość, z jaką wysłuchiwał mojej relacji z tamtego koszmaru o nieproszonych gościach, zaplamionych meblach, zupełnie jakby takie sprawy jego nie dotyczyły. Zrobiłam, co

mogłam, żeby uczynić z niego towarzysza, z którym mogłabym spędzić sporą część życia, zawsze jednak błąkało się we mnie uczucie, że jest kimś obcym i takim już pewno pozostanie. I tak ujawniła się niewygodna prawda: nie byłam go w stanie dłużej tolerować, tak jak nie byłam w stanie znieść tego ciężkiego ramienia przykuwającego mnie do jego boku. Usilnie starałam się zmienić w inną osobę, w taką kobietę, która by go nie zaskakiwała, która troszczyłaby się o jego dobro, była zrównoważona niezależnie od okoliczności, która zadowoliliby się tym, co on postanowił jej o sobie opowiedzieć, i nie ujawniła sekretu swojej prawdziwej natury. I to mi się udało, co doprowadziło go zresztą do nazbyt pochopnych wniosków. Nie zdawałam sobie sprawy z napięcia, w jakim się znajduję, i teraz poczułam ogromne znużenie na samą myśl o dalszym podążaniu tą samą drogą. Ponowne pojawienie się Edmunda znacznie przyspieszyło ten proces narastającego zniechęcenia, chociaż to nie on ponosił za to winę. Winny był Nigel i jego zalety, imponująca wyrozumiałość i umiejętność przystosowania się - poddał się bowiem stereotypowi, który w przypadku nas obojga był zapewne nieautentyczny i w żaden sposób nie przystawał do naszych charakterów. Nie wiedziałam o nim nic ponad to, co sam zechciał mi powiedzieć. To odnosiło się i do mnie. Z przerażeniem myślałam o nieuchronności małżeństwa. Jedno takie już miałam za sobą i zdążyłam poznać ograniczenia, jakie niesło, tyle że moja prawdziwa natura wzięła ostatecznie górę i nie miałam najmniejszej ochoty raz jeszcze narażać się na podobne ryzyko. Byłam bowiem przekonana, że Nigel to porządny człowiek, taki jak Digby, i że z nim mogłabym wieść monotony żywot, dający mi mniej lub więcej zadowolenia. Stanowiłby ochronę przed kolejnymi złymi snami, niemniej pozwoleń sobie na uleganie tej samej słabości, do której mogłam się odwoływać, wydawało się grzechem popełnianym przeciwko możliwościom twórczej wyobraźni. Wiedziałam, że dla kobiety niewykorzystanie takich pierwotnych sił oznacza uszczuplenie wszystkich jej zdolności i w rezultacie miejsce tej straty zajmuje oschłość, wyrażająca się w usługnej, błogiej zgodzie na sytuację, w którą człowiek się zaangażował, a która od samego początku powinna być postrzegana jako niebezpieczna.

Moje myśli obracały się wokół takich spraw, a taksówka wiozła mnie przez zupełnie nieznaną mi okolicę; kiedy minęliśmy Lambeth Palace, przestałam się orientować, gdzie jestem i jak miałabym stamtąd wrócić. Niepokój narastał we mnie wraz ze świadomością, że już wkrótce będę musiała się zmierzyć z sytuacją dużo gorszą od mojej. I nagle, kiedy wjechaliśmy w spokojną ulicę, doznałam olśnienia. Już wiedziałam, i nikt mi nie musiał tego mówić, co jest nie w porządku z Betsy, co wykażą te badania. Ja nie miałam wątpliwości i przypuszczałam, że ona również nie. Bo sędzę, że człowiek zawsze wie, kiedy coś mu zagraża. Fakt, że uczucie ta-

kie dobrze znała i to od tak dawna, jak tylko sięgała pamięcią, mógł przy odpowiednim nastawieniu ułatwić jej pogodzenie się z sytuacją. I dopiero teraz, na tej pustej ulicy, zrozumiałam, jak dzielnie przeciwstawiała się losowi, nie mając żadnego wsparcia, które pomaga stawić czoło piętrzącym się trudnościom - nieuniknionym, jeśli chce się osiągnąć przelotną choćby dojrzałość. Bez tego wsparcia jest się sierotą, którą zresztą Betsy rzeczywiście była. Z bólem przypominałam sobie łatwość, z jaką brałam to za rzecz normalną i oczywistą: ja miałam rodziców, większość ludzi miała rodziców - ona natomiast miała swoją wypłowiałą ciotkę, z którą mieszkała w domu zbyt dużym jak dla nich, solidnym, na który nawet w tamtych dawniejszych czasach handlarze rzucali łakome spojrzenia. Pamiętałam ich wieczory w kinie, te epopeje i widowiska, które oglądały i których pełne zrozumienie uniemożliwiała im obu zbyt nia naiwność. Widziałam ją w Paryżu, w okropnej kuchni madame Lemonnier, jak stara się w pełni wykorzystać swój pobyt. Wyobrażałam sobie jej romanse i ich oczywiste ograniczenia: z tego, co wiedziałam, romanse miała tylko dwa i obydwa niezgodne z jej prawdziwą naturą prostej, kochającej dziewczyny i nazbyt skwapliwej ofiary. Ten nedorzeczny Daniel de Saint-Jorre, którego przybranego nazwiska nadal się uparcie trzymała, być może nie zostawił trwałego uszczerbku; bo nigdy już go nie wspominała. Co innego Edmund. Okazał się bezradny wobec jej sierociego stanu i chociaż ją to uszczęśliwiał, a przynajmniej pozwoliło triumfować, to jego zwróciło przeciw samemu sobie, przeciw własnym instynktom, wywołało niepożądany zamęt w życiu, zatrzęsło fundamentami jego rodziny. Z przerażeniem skonstatowałam, że gotów był pozostawić ją własnemu losowi i że jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy, to oboje będziemy świadomi rozmiarów naszej zdrady, jego i mojej. Trudno będzie udźwignąć taki ciężar. Wniosek nasuwał się sam: uszczerbek. Był równie oczywisty, jak to wszystko, co mieli odkryć lekarze. Kiedy taksówka się zatrzymała, uzmysłowiłam sobie, że wiemy to wszyscy troje. W tej sytuacji Nigel przesunął się na dalszy plan, skurczył, zmałał, został niemal zapomniany.

Betsy i mnie łączyło w tym naszym dziwacznym układzie to, że żadna z nas nie miała dzieci, że obie oblałyśmy ów podstawowy sprawdzian, który wszystkie kobiety czują się zobowiązane przejść. Nawet te, które pozostają w stanie wolnym, nie porzucają myśli o macierzyństwie, a te, które nie mają dzieci, zastanawiają się, dlaczego tak się stało. Jednocześnie żadna z nas nie przejawiała uczuć macierzyńskich w sposobie bycia, chociaż Betsy spoglądała z czułością na napotykaną dzieci. Może była zbyt pochłonięta sobą, jak własnym dzieckiem, które musiała piastować, bo nie było nikogo innego, kto potrafiłby czy zechciałby to zrobić. Jeśli natomiast chodzi o mnie, to posiadanie dzieci postrzegałam jako zagrożenie dla mojej wolności,

ponieważ gdzieś w zakamarkach myśli przechowywałam gotowy plan ucieczki w sytuacji, której już dłużej nie mogłabym tolerować. (Niewykluczone, że będę musiała go ponownie uruchomić.) Teraz nabrałam przekonania, że brak dzieci jest aktem oskarżenia, ujawniającym głębię naszego szaleństwa. Tym założeniem obejmowałam nas obie; widziałyśmy się tylko w rolach kochanek, podczas gdy osoby rozsądne, albo lepiej rozumiejące świat, godzą się z okolicznościami i doświadczają radości i przyjemności, na jaką pozwala ustabilizowane życie, w którym niczego nie trzeba skrywać. Poczułam nagle ogromne obrzydzenie to takich skrywanych tajemnic. Jedynie bardzo młode, romantyczne dziewczęta drżą z emocji na myśl o sekretnych kochanku. A my obie chciałyśmy, aby ten ekstatyczny i kruchy stan trwał wiecznie. Ułóża Betsy powinien znaleźć się syn czy córka, tymczasem będę tam tylko ja, marna ich namiastka. Ta cicha umowa pomiędzy nami, żeby nigdy o tym nie rozmawiać, nawet nie myśleć, była jeszcze jednym dowodem na to, że nie poczyniłyśmy żadnych postępów. Mówiąc prosto, nie dorosłyśmy i co gorsza, dopiero teraz zdałyśmy sobie z tego sprawę. Natura bowiem jest podstępna, ale nieustępliwa i dopiero w sytuacji zagrożenia, w jakiej teraz się znalazłyśmy, pozwala nam zobaczyć w całej okazałości to wszystko, co dla innych mogło być już dawno oczywiste.

W szpitalu nie wyczuwało się atmosfery smutku. Okazał się jasny, rozświetlony i zaskakująco cichy; pacjenci starannie ukryci za drzwiami swoich pokoi. Betsy siedziała na łóżku, z wyrazem oczekiwania w oczach.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - oświadczyła.

Twarz jej wyraźnie zeszczuplała od tamtego razu, kiedy ją widziałam, ale poza tym niewiele się zmieniła, chociaż jej serce biło tak gwałtownie, że cienka i misternie zdobiona nocna koszula aż falowała. Uzmysłowiłam sobie z zażenowaniem, że przyszłam z gołymi rękoma, i w tej samej chwili przyrzekłam sobie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie cierpiała. Żadnej z nas nie odpowiadały role, jakie miałyśmy zagrać; tym bardziej należało odegrać je perfekcyjnie.

- Nic ci nie przyniosłam - powiedziałam. - Nie wiedziałam, czego możesz potrzebować.

- Właściwie niczego. Może nocną koszulę na zmianę, jeśli masz jakąś. Bo chyba zostanę tu dłużej, niż myślałam. Będą mnie operować.

- Kiedy?

- Nie wiem. Może ty się dowiesz. A przy okazji, jestem tu jako panna Newton. - Uśmiechnęła się blado. - Pozbawiona swego nazwiska.

- Wyjaśnię to. - Chwila milczenia. - To kiedy ma być ta operacja?

- Nie wiem. Mówią, że najpierw muszą mnie trochę wzmocnić. Nie bardzo mi się to podoba.

- A według mnie to, że chcą cię wzmocnić, brzmi obiecująco.

- Tak. - Ponownie chwila milczenia. - Jak jest na dworze?

- Cóż, ranek był piękny. Prawdziwe lato. Teraz trochę się chmurzy.

- Jest upał? Bo mnie jest tak gorąco.

- Tak, jest ciepło. Trochę później może popadać. Jadłam lunch w Holland Park. Bardzo sympatyczne miejsce. Pójdziemy tam, jeśli zechcesz. Kiedy się lepiej poczujesz.

- Tak.

- Prawdziwe lato - powtórzyłam. - I sporo go jeszcze zostało.

- Nie wiem, dlaczego jestem taka zmęczona - opadła z westchnieniem na poduszki.

- Odpoczywaj. Śpij, jeśli możesz. Wrócę tu jutro. Teraz już znam drogę. To żaden problem - mówiłam, patrząc, jak jej powieki się zamykają. - Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Zostaw to mnie.

Na korytarzu mignął mi uniform skracającej za róg pielęgniarki.

- Chwileczkę - zawołałam. - Mogłabym zamienić słowo? Czy to pani opiekuje się moją przyjaciółką?

- Betsy? Tak kazała nam się do siebie zwracać. Obawiam się, że nie mogę pani nic powiedzieć. Po pierwsze, nie jestem upoważniona, a po drugie, nic nie wiem. Niech pani zapyta w informacji, być może oni potrafią pani pomóc.

- Rozumiem, że ma mieć operację. Czy wie pani jaką?

- Musiałaby pani spytać pana Harveya. Chirurga. Będzie tu w piątek. Wtedy operuje. Jak już powiedziałam, proszę spytać w informacji, tam dowie się pani czegoś więcej.

Poszłam za nią do pustej poczekalni. Kiedy zdecydowałam się usiąść, w drzwiach, których wcześniej nie widziałam, pojawiła się pulchna, ciemnowłosa kobieta. Wiedziałam, że muszę zadać jej parę pytań, i wiedziałam, że wcale nie chcę usłyszeć odpowiedzi.

- Nazywam się Wetherall - powiedziałam. - Elizabeth Wetherall. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Betsy Newton. Jestem jej najbliższą rodziną.

- Musi pani porozmawiać z panem Harveyem. Będzie w piątek. Oczywiście może ją pani odwiedzać, kiedy tylko pani zechce. Nie ma żadnych ograniczeń.

- Macie tu mój numer telefonu? Można do mnie dzwonić o każdej porze.

Sprawdziła listę.

- Wetherall. Tak, mamy pani numer. Pani może także dzwonić do nas. Nazywam się Purslow. Jeśli zapyta pani o mnie...

- Tak, dziękuję. Pewnie będę przychodziła codziennie.

- Doskonale. Och, jedno pytanie. Gdzie przesłać rachunek?

- Do mnie. Macie mój adres.

- Dziękuję. To chyba na razie wszystko. Proszę kontaktować się ze mną. Jestem tu w każdy dzień roboczy. W weekend będzie ktoś inny. Ale to nic nie zmienia. - I stanowczy uśmiech, oznaczający koniec rozmowy.

Kiedy drzwi zasunęły się za mną, poczułam ogromną ulgę, niemal wdzięczność. Po tej chłodnej sterylności szpitala widok przymglonej ulicy wydał mi się wręcz piękny. Nie miałam ochoty wracać do domu; chciałam dokądś uciec. Poszłam w kierunku, jak mi się wydawało, centrum miasta. Minawszy szereg budynków, które wyglądały na wymarłe, natrafiłam na przystanek, wsiadłam do autobusu, którego numer nic mi nie mówił, i ostatecznie znalazłam się w znanej mi okolicy. Dopiero wtedy poczułam się wolna od zagrożenia, które dotyczyło nas obu. Wiedziałam jednak, że muszę tam wrócić nazajutrz i w kolejne dni, dołączyć do tych zdenerwowanych odwiedzających, niosących kwiaty i drobne smakołyki, choć nikogo takiego tam nie zauważyłam. Wyglądało to tak, jakby szpital istniał jedynie dla Betsy i dla mnie, a pielęgniarka i pani Purslow były aktorkami obsadzonymi w rolach drugoplanowych, natomiast tajemniczy pan Harvey kojarzył się z jakąś wiszącą w powietrzu groźbą. Kiedy znalazłam się w mieszkaniu, poczułam tę groźbę jeszcze wyraźniej i wiedziałam już, że żaden wybieg nie będzie możliwy. Podejrzywałam, że nie stać mnie na wesołość, nawet na tę udawaną, jaką zaleca się w podobnych okolicznościach. Nieznośne współczucie dla Betsy, które towarzyszyło mi przez całe życie, z powodów oczywistych ustąpiło powadze, dyktującej specyficzny sposób bycia.

Kiedy zadzwonił Nigel, czego się spodziewałam, wyczuwałam, że jego ta powaga nie dotyczy. To również była lekcja, jaką wyniosłam z tych wydarzeń. Wiedziałam ponadto, że z zasady hołduje on jedynie zdecydowanym przekonaniom: człowiek choruje, a potem zdrowieje. Lekarze są po to, żeby mu w tym pomóc. Takie nastawienie było typowe dla kogoś, kto w życiu nie był chory, choć wiedziałam, że bardzo dba o swoje nerwy i żołądek. Zastanawiałam się, jak pogodzić te dwa skrajnie różne nastawienia, kiedy przyszło mi do głowy, że w ogóle nie będzie takiej potrzeby. Będę zajęta Betsy w szpitalu i to oraz wszystko, co się z tym wiąże, ograniczy czas i uwagę, jaką będę mogła poświęcić Nigelowi. On jedynie dostarczy mi od cza-

su do czasu rozrywki, jak dostarcza jej sztuka czy film, będzie chwilową ucieczką od tych zdarzeń, od których inaczej uciec się nie da.

- Chcesz, żebym przyszedł?

- Nie, nie. Pewnie położę się wcześniej. Jestem trochę zmęczona.

- I jak tam przyjaciółka?

- Obawiam się, że jest poważnie chora.

- Tak mi przykro. Najważniejsze w tych sprawach to zachować optymizm. Żeby duch zapanował nad ciałem.

- Tak, oczywiście.

- Masz dość jedzenia w domu?

- Jedzenia? A tak. - Chwila milczenia. - Dzięki za lunch. Wybacz, ale się już rozłączę.

Naprawdę jestem zmęczona.

- Odezwę się jutro.

- Dobranoc, Nigel.

Chociaż słońce wciąż oświetlało mury pobliskich domów, rozebrałam się, wzięłam kąpiel i położyłam do łóżka, które zostało tak skalane w moim śnie. Ten sen był proroczy nie dlatego, że tyle w nim było szczegółów, ale dlatego, że mnie tak bardzo wystraszył. Teraz moje życie wydało mi się kruche, zdane na te procesy, których jedynie nasza uparta tępota pozwala nam nie zauważać. Poruszyłam rękoma i nogami, żeby się upewnić, czy wszystko jest na miejscu. Na miejscu, na pewno, ale możliwe że już nie takie jak przedtem. To, co zaczęło się we śnie - ten rozpad - będzie postępować.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wiemy od najwyższego autorytetu, że cisi posiadają ziemię. A co, jeśli cisi jej nie zechcą? Betsy, którą chirurg pokroił i pokręciwszy z ubolewaniem głową, zaraz zaszył, zdecydowanie nie życzyła sobie zmian, chociaż nie знаła prawdziwych rozmiarów tego, co ją dotknęło. Kiedy z wielką obawą odwiedziłam ją pierwszy raz po operacji, była całkiem pogodna.

- Chyba jest coraz lepiej. Udało mi się zjeść kolację - oświadczyła.

Było to tak mało prawdopodobne, że chciałam porozmawiać z jej lekarzem. Pani Purslow, z którą nawiązałam dość konfrontacyjne stosunki, westchnęła, jakby moja prośba była czymś nadzwyczajnym. Natomiast młody lekarz, na którego pozwolono mi zaczekać w jeszcze innym pustym pokoju, był bardziej bezpośredni.

- Nie mogliśmy nic zrobić. - Rozłożył ręce. - Czemu tak długo zwlekała? Musiała wiedzieć, że coś jest nie tak. Kto jest jej lekarzem rodzinnym?

Odparłam, że nie mam pojęcia, że nie utrzymywałyśmy kontaktu, zanim to się wydarzyło. Nie było sensu mówić temu młodemu i uśmiechniętemu mężczyźnie, że kobiety żyjące samotnie muszą zachowywać stoicki spokój albo narzucić sobie takie stoickie podejście do rzeczywistości, które sprawdza się w sytuacjach ostatecznych. Jakże ten młody człowiek, który mógł co prawda być mężem, a nawet ojcem, miałby zrozumieć wypełzające nocą lęki albo budzącą się wraz z początkiem nowego dnia rozpacz? Domyślałam się, że Betsy żyła od jednej wizyty Edmunda do drugiej, a te nigdy nie były pewne. Nie miał zwyczaju, co wiedziałam z własnego doświadczenia, niczego z góry planować, dzwonił po prostu z samochodu i mówił, że zaraz przyjedzie.

Bez trudu wyobrażałam sobie, jak Betsy cierpliwie czekała na niego wieczorem w swoim mieszkaniu i powoli zaczynała godzić się z tym, że przyjdzie jej poczekać jeszcze dzień albo kilka dni, nim go znów zobaczy. A następnego dnia bez wahania podejmowała na nowo to bolesne, niczym nie urozmaicone czekanie. Musiała zrezygnować z wszelkich rozrywek, bo jej romans wymagał takiej wyłączności, jakiej nikt nie dotknięty tym szczególnym szaleństwem nie potrafiłby pojąć. Łatwo zatem było w takiej sytuacji zbagatelizować jakieś niepokojące objawy. Liczyło się tylko to, żeby się dobrze prezentować i żeby ta widoczna, cielesna powłoka pozostała nieskazitelna. Wszystkie swoje siły poświęcała dbaniu o tę intymną sferę, która dla niej była sprawą najważniejszą. Całą resztę uważała za zbyt przyziemną, żeby się nią przejmować.

Nie próbowałam wyjaśniać, że choroba Betsy ma szczególne znaczenie i czyni ją w prostej linii spadkobierczynią owych tragicznych heroin, które tak podziwiała w odchodzącej już w cień młodości. „*Que le jour recommence et que le jour finisse/Sans que jamais Titus puisse voir Bérénice/Sans que de tout le jour...*” Nie dostrzegłaby, że się niecierpliwi, by już wyjść, znaleźć się u siebie, w dobrze znanym otoczeniu, nie podejrzewałaby nawet, że jej mieszkanie, w którym niezmiennie tkwiła, aby cały czas być do jego dyspozycji, budzi w nim niesmak. Niewykluczone też - choć trudno to sobie wyobrazić - że udzielało mu się coś z tego jej uniesienia i wyczuwał wyjątkowość jej uczucia, niezależnie od tego, jak irytujące mogło ono być. Mógł też odczuwać całkiem zwyczajne współczucie, które odsłoniło nieuświadomioną wcześniej stronę jego natury, i odkryć, że po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu on również w szczególnych sytuacjach staje się bezbronny, bezradny. Wiem, co trzeba zrobić, powiedział, ale cokolwiek to miało być, oznaczało podjęcie decyzji, którą, co typowe, zamierzał zachować w tajemnicy i której rangę jedynie on sam mógł ocenić.

- Jak długo musi tu zostać? - spytałam lekarza. - Mogłabym ją zabrać do siebie...

- Obawiam się, że nie byłoby to dobre rozwiązanie. Będzie potrzebowała stałej opieki. I będzie trzeba podawać jej środki uśmierzające ból. Mogę polecić hospicjum, jeśli pani woli...

- Nie. Ile ona wie?

- Nic jej nie mówiliśmy. W końcu jednak zapyta. Ale z wielu względów byłoby lepiej, gdyby nie wiedziała.

- Może tu zostać?

- Ależ oczywiście.

- Jak długo to potrwa?

- Tego nie potrafię przewidzieć.

Widziałam, że na swój sposób czuje się nieswojo, zresztą bardziej z powodu własnego braku skuteczności niż z jakiegokolwiek innej przyczyny. Wyznaczono mu niemożliwe do wykonania zadanie, a on starał się jak najlepiej z niego wywiązać. Jakby wbrew sobie zrobiło mi się go żal.

- Proszę się nie martwić - usłyszałam swój głos. - Poradzimy sobie.

Kiedy szłam oświetlonym jarzeniówkami korytarzem z powrotem do pokoju Betsy, poczułam ogromne pragnienie, by znaleźć się na zewnątrz, w tym zanieczyszczonym powietrzu, przesyconym różnymi wyciewami, rojącym się od zarazków i innych niewidocznych niebezpieczeństw. Odcięcie od świata pozwoliło mi wyobrazić sobie żar letniego dnia, blask słoń-

ca, które tego ranka zaglądało w moje okna, pragnienia, które jeszcze jest czas zaspokoić. Tu, w szpitalu, granica między chorobą a zdrowiem była wyraźnie zaznaczona, ale nie w żaden symboliczny czy złowrogi sposób, wyrażała się jedynie w kontraście między dochodzącym z oddali śmiechem młodych pielęgniarek a widokiem ciężkich, zamkniętych drzwi, za którymi leżeli ich pacjenci. To nieuniknione w przypadku pielęgniarek uczucie pewnego zubożenia dotknęło i mnie. Z obawą myślałam o czekających mnie chwilach przy łóżku Betsy, aż nadto świadoma wspaniałości dnia, od której obie byłyśmy odcięte. Niewiele miałyśmy sobie do powiedzenia. Staraliśmy się zachowywać stosownie, więc rozmawialiśmy głównie o sprawach mało znaczących. Instynktownie odsuwałam moment, w którym bolesna prawda będzie tak oczywista, że nie pozostanie już nic oprócz czekania na to, co nieuchronne. Dlatego nigdy nie wymówiłyśmy imienia Edmunda. Tematów do rozmów szukałyśmy w przeszłości. Czy miałaś kontakt z taką-to-a-taką? Jak nazywała się ta dziewczyna, która wyemigrowała z rodzicami do Kanady? Pamiętasz, jak jej współczułyśmy, uważając, że Kanadzie bardzo daleko do szalonego Londynu lat sześćdziesiątych? Pamiętasz te lata? Nic się nie zmieniłaś. Wtedy też byłaś taka poważna. I taka ładna.

Bez sensu byłoby mówić Betsy, że ona się nie zmieniła. Niezmienna pozostała jedynie jej zawzięta pogoda ducha; była niezwykle dzielna. Nawet nie mogłam sobie wyobrazić, ile ją to musiało kosztować, choć może była to naturalna, prawdziwa cnota, wpisująca ją w poczet tych, którzy posiadają ziemię. Niezmordowanie dokładała starań, żeby przyzwoicie wyglądać, chociaż stawało się to coraz trudniejsze, jej włosy były teraz rzadkie i cienkie, a róż, który uparcie nakładała, pokrywał jej policzki jaskrawymi i niesymetrycznymi plackami. Nie śmiałam jej zniechęcać do tych wysiłków, żeby nie przyjęła tego za jakiś omen. Zawsze bardzo dbała o to, żeby jej cielesna powłoka godnie reprezentowała jej stoicyzm. Podczas kiedy mój podziw dla niej narastał, jej sytuacja i, muszę to uczciwie przyznać, jej obecność stawały się nieznośne. Kiedy wreszcie zaczęła wykazywać oznaki zmęczenia, wstałam i zadałam jej to samo co zwykle pytanie:

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Odwróciła oczy od okna, a ja zobaczyłam, jak wyolbrzymiały.

- Gdybyś mogła przekazać coś dziewczynkom?

- Dziewczynkom?

- Córkom Edmunda. Zastanawiają się pewnie, dlaczego się nie odzywam. Może nie wiedzą, gdzie jestem. Czy będzie ci się chciało pójść do mojego mieszkania? Numer jest przy tele-

fonie. Tak bym chciała je zobaczyć. I Davida. - To ostatnie słowo zabrzmiało jak tęskne westchnienie.

- Zobaczą, co da się zrobić. Chciałabyś coś z mieszkania?

- Mogłabyś podlać rośliny. I zadzwoń do dziewczynek. Powiedz im... Nic im nie mów. Tylko pozdrów ode mnie.

Ponownie zwróciła twarz do okna. Moje odejście było kłopotliwe, jak zawsze. Obie udawałyśmy, że ona chce spać, że już właśnie zasypia. Taktyka ta pozwalała uniknąć konieczności wypowiedziania słów otuchy, zapewnień, odnoszenia się do przyszłości. Zauważyłyśmy bowiem obie, że w naszym przypadku odniesienia takie są nie na miejscu: przeszłość była przeszłością jedynie w tym sensie, że się skończyła, gdy tymczasem nad terażniejszością wisiało zbyt wiele znaków zapytania. Moje odejście było niezdarną, rozpaczliwą ucieczką; tak mi się przynajmniej wydawało. Kiedy znalazłam się na korytarzu, pomyślałam, że muszę mieć włosy w nieładzie i obłąd w oku, ale gdy zerknęłam w lustro, zobaczyłam, że od czasu wyjścia z domu w moim wyglądzie nie zaszły żadne istotne zmiany, a wyraz twarzy pozostał niechętny. Blask słońca, choć nadal obojętny, wydawał mi się jeszcze bardziej promienny. I znów, kiedy drzwi zasunęły się za moimi plecami, zaczerpnęłam haust powietrza tak łapczywie, jak gdyby od tego zależało moje życie, co zresztą mogło być prawdą.

Kontrast pomiędzy jasną ulicą a mrokiem mieszkania Betsy był wymowny. Nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek chciał wracać do tego miejsca. Na stałą aurę opuszczenia nałożyła się warstwa zaniedbania: kurz osiadł we frezowanych nogach zestawu stolików, a pergaminowy abażur nieproporcjonalnie dużej lampy prawie nie przepuszczał światła. W zatechłym powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach pochodzący z pojemnika z odświeżaczem powietrza, porzuconego obok zlewu razem z filiżanką i talerzykiem, które co prawda umyto, ale nie odstawiono na miejsce. Rośliny uschły. Wzięłam ściereczkę i wytarłam kurz z mebli, nie zmusiłam się jednak do sprzątnięcia odkurzaczem. Zostawiłam to na jakiś inny dzień. Moje zabiegi w najmniejszym stopniu nie wpłynęły na poprawę wyglądu mieszkania, a ja chciałam jak najszybciej stamtąd uciec. Wykręciłam numer, który znalazłam na kartce bloczku leżącego przy telefonie, i nie byłam zaskoczona, kiedy nikt nie odpowiedział. Poszłam do sypialni i z pękatej mahoniowej komody wyjęłam kilka nocnych koszul. Potem wyrzuciłam odświeżacz powietrza, który nie był już potrzebny. Moje sumienie nakazało mi spróbować jeszcze raz się dodzwonić. I znów nikt nie podniósł słuchawki.

Kiedy wchodziłam do swojego mieszkania, dzwonił telefon, ale zamilkł, gdy do niego podeszłam. Pomyślałam, żeby zrobić sobie herbaty, nalałam wodę do czajnika i wtedy telefon znów zadzwonił.

- Gdzie się podziewałaś? - niecierpliwił się Nigel. - Dzwoniłem kilka razy. Ostatni raz jakieś dziesięć minut temu.

- Właśnie weszłam. Robiłam herbatę.

- Herbatę? Jest wpół do siódmej.

- Jak już powiedziałam, właśnie wróciłam.

- No już dobrze, nieważne. Muszę coś z tobą obgadać. Będę za pół godziny.

- Nie robiłam zakupów. Czy omlet ci wystarczy?

Nie chciałam go widzieć. Tego byłam pewna. Chciałam wyjść i chłonąć tę piękną pogodę, chciałam iść przed siebie, być sama. Iść sama do łóżka.

- Tak, oczywiście.

- Przyjdź, kiedy będziesz miał ochotę.

Pojawił się niemal natychmiast, tak mi się przynajmniej zdawało. Zasiadł w fotelu Digby'ego, spoglądał z aprobatą, jak nalewam mu kieliszek wina. Zdusiłam westchnienie. Najwyraźniej miałam być do jego dyspozycji.

- Czy myślałaś już o wakacjach? - spytał.

- Nie, nie myślałam. Rzadko jeżdżę na wakacje.

- Cóż, sądzę, że w tym roku pojedziesz. Moi przyjaciele z Francji zaprosili mnie na drugą połowę sierpnia. Wspomniałem, że mogę przyjechać w towarzystwie. Byli zachwyceni. To bardzo gościnni ludzie; znam ich od lat. Co ty na to? Są tacy uczynni. Będą tam na nasz przyjazd, potem pojedą do Włoch, do przyjaciół, i wrócą przed naszym wyjazdem. Nie lubią zostawiać pustego domu, dlatego nasza wizyta byłaby korzystna dla obu stron.

- Nie sądzę, żebym w tym roku mogła gdziekolwiek wyjechać.

- Gordes w Prowansji - ciągnął niezrażony. - Piękne miejsce. Wspaniałe tereny do spacerów. Łatwy dojazd i nie trzeba brać wiele rzeczy. Że już nie wspomnę, jaki to uprzejmy gest z ich strony.

Spowodowany koniecznością znalezienia kogoś do pilnowania domu, pomyślałam. To byłoby moje zadanie. Potem zobaczyłam jego twarz, lekko zarumienioną, wyczekującą. To miał być jego eksperyment z tworzenia domowego zacisza, zabawa w dom, w małżeństwo. Co ważniejsze, to była jego inicjatywa, próba przymierzenia mnie i mojej krzątaczki do otoczenia,

które znał i w którym byłabym mile widziana. Może okazałoby się to nie tylko zabawą, może pojawiłoby się w tym coś prawdziwego. A przecież właśnie to, co prawdziwe, było nie do pomyslenia: owszem, od czasu do czasu miałam dla niego miejsce w moim mieszkaniu, ale nie życzyłam sobie być skazana wyłącznie na jego towarzystwo, w miejscu przez niego wybranym, gdzie mogłaby ucierpieć moja niezależność. A jego przyjaciele byliby niewątpliwie zaintrygowani, pełni aprobaty, skoro zapewne już lata temu uznali go za beznadziejny przypadek. Może znali jego żonę i tak jak ja byli wtajemniczeni w jego historię. Niewykluczone też, że stanowili dla niego namiastkę rodziny i mieli na uwadze wyłącznie jego dobro. Ich milcząca zachęta bardzo by mi ciążyła, szczególnie w chwilach, kiedy przeżywałabym rozterki, a przeszłość i teraźniejszość nieznośnie by się do siebie zbliżały. A jemu by zależało, żebym dobrze wypadła, żebym grała swoją rolę, zadowalała wszystkich wokół. Doskonale wiedziałam, że to by się nie udało.

Jednocześnie te krajobrazy południa, jakie noszą w swojej wyobraźni wszyscy ludzie północy, były nieodparte. Przychodziły mi do głowy te wszystkie banały: bazy, kawiarenki, swobodne życie, płynące spokojnym rytmem. I to słońce, słońce! Teraz akurat świeciło za moim oknem, ale jak długo jeszcze? Mieliśmy lipiec, prawie koniec lipca i już można było dostrzec niemal nieuchwytną zmianę naświetlenia, nie w blasku dnia, ale w nocnej poświacie; delikatne zmętnienie powietrza, uspokojenie, wrażenie schyłku. Większość ludzi wyjechała: ulice były prawie puste. I właśnie do tej pustki lgnęłam; instynktownie wyczuwałam jej stosowność. Moim celem nie była ucieczka, lecz wykonanie zadania, które mi przydzielono. Nie miałam prawa udawać, że nie istnieje.

- Nie mogłabym wyjechać - oznajmiłam. - Nie teraz.

Wpatrywał się we mnie. Nie przykładałam do jego zaproszenia tej wagi, na jaką zasługiwało. Zdawałam sobie z tego sprawę; nie cieszyło mnie to. I wiedziałam, że nie przyjdzie mu łatwo wybaczyć mi sposobu, w jaki odrzuciłam tę jego wyjątkową propozycję. On już również zdążył dojść do tego wniosku i szkoda mogła okazać się niepowetowana.

- Czy twoja przyjaciółka - bo zakładam, że myślisz o swojej przyjaciółce - aż tak bardzo cię potrzebuje? Tak bardzo jak ja... mógłbym? - Po tym wyznaniu na jego twarz wystąpił ceglasty rumieniec.

- Tak, myślę, że tak. Pozwól, że doleję ci wina. A jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę do kuchni. Na pewno jesteś głodny.

Nie należał do ludzi, którzy łatwo godzą się z odmową. Jego konsternacja była oczywista, kiedy bez słowa brał ode mnie drugi kieliszek wina. Okazało się, że nasza przyjaźń nie opiera się już na wyłączności, i podczas gdy on wprowadzał na scenę naszego delikatnego związku niezwykle szacowne postaci, mnie stać było jedynie na chorą przyjaciółkę, co było zupełnie niewystarczające jako wymówka. Dla niego była ona nikim więcej jak tylko jakąś niedomagającą osobą, która w nieznośny sposób pokrzyżowała jego ekscytujące plany. Nie miałam wątpliwości, że jego propozycja wynikała ze szlachetnych pobudek i na pewno wiele go kosztowało, żeby przedstawić tę sprawę tamtej parze, wreszcie czymś ich zabawić i zaciekawić. Oni też odegraliby swoją rolę, pozostawiając dla nas w domu zapasy jedzenia, sugerując, że możemy nie mieć ochoty w ogóle się stamtąd ruszać... Był tam, jak mi powiedział, stół w ogrodzie, przy którym zasiadano do większości posiłków. Niezawodne słońce oblewało wszystko złocistym blaskiem. W takim otoczeniu można poczuć się szczęśliwym. Zapewne jego pragnienie szczęścia było łatwiejsze do zaspokojenia niż moje. Wystarczyła odpowiednia sceneria, żeby tęsknoty stały się mniej dojmujące. Nie pojmował mojej decyzji. Ja też nie. Godziłam się na nią z pewnym smutkiem, nie tylko ze względu na siebie, ale i na niego. Wzgardzono jego szczodrością, a coś takiego niewielu mężczyzn jest w stanie puścić w niepamięć. Wiedziałam, czy raczej rozumiałam, że zajście to będzie zgubne w skutkach, i z żalem myślałam o jego możliwych konsekwencjach.

Jedliśmy w milczeniu. Obojgu nam mocno doskwierała ta kryzysowa sytuacja, która, jak się zdawało, powstała dosłownie z niczego. Stało się oczywiste, że ten wieczór nie będzie miał dalszego ciągu, inaczej niż było to ostatnio w zwyczaju. Dopił kawę i natychmiast wstał, żeby wyjść.

- Może się jeszcze zastanowisz? - rzucił niezbyt przyjaznym tonem.

Zapewniłam go o tym. Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

Gdybym, pomyślałam, mogła znaleźć kogoś, kto zastąpi mnie w szpitalu, gdybym przekonała dziewczynki, jak mówiła o nich Betsy, żeby przejęły moje obowiązki, to mogłabym się uwolnić na kilka tygodni. Wiedziałam, że to mało prawdopodobne, ale warto było spróbować. Wyrzucałam sobie, że nie zachowałam numeru telefonu z mieszkania Betsy, ale byłam zbyt zmęczona, żeby tam wrócić. I tak oto całe przedsięwzięcie przeniosło się do świata fantazji. Skontaktuję się jakoś z dziewczętami (Julią i Isabellą z tego, co pamiętałam), one albo same ofiarują się odwiedzać Betsy codziennie, albo uda się je do tego przekonać, a wtedy ja będę mogła swobodnie pływać się w złocistej jasności południa Francji. Nie przeszkadzało mi, że jest

to mało prawdopodobne - tak bardzo chciałam w to wierzyć. I myślałam, że ich wizyty mogłyby sprawić Betsy dużo więcej radości niż moje niezdarne towarzystwo. Przed wyjazdem zostawię lekarzom i pielęgniarkom polecenia, może numer telefonu we Francji. Jeśli mnie wezwą, wrócę natychmiast, a Nigel świetnie się sprawdzi w tej trudnej sytuacji i będzie mi towarzyszył. Im więcej o tym myślałam, tym praktyczniejszy wydawał mi się ten pomysł. Najpierw jednak musiałam położyć się spać, bo poczułam śmiertelne zmęczenie. Rano wszystko sobie szczegółowo zaplanuję. Uważałam, że tak będzie najwłaściwiej.

„Ale spiekota, prawda?” - słyszałam na powitanie ze wszystkich stron, kiedy wyszłam nazajutrz z domu, na co należało odpowiedzieć: „Nie przywykliśmy do tego” i pokręcić z ubolewaniem głową. Nawet o tak wczesnej porze upał dawał się już we znaki, co przypominało o tym, że istnieją moce, których w żaden sposób nie da się pokonać. Mnie jednak ta słoneczna aura radowała, ona była moim żywiołem i o tamtych mrocznych, zimowych dniach myślałam jedynie jako o nieuniknionym prologu do świetności lata. Pomysł, by przedłużyć to lato w idyllicznej scenerii - już sobie wyobrażałam ten stół w ogrodzie - był niezwykle kuszący i zaczęłam żałować, że odrzuciłam zaproszenie Nigela. Wiedziałam, że jeszcze nie jest za późno i że muszę zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, doprowadzić do ocieplenia stosunków z Nigelem; nie będzie to dla mnie zręczna sytuacja, ale sądziłam, że dam sobie radę. Po drugie, należało przekonać dziewczęta, a gdyby to było możliwe, także Edmunda, żeby odwiedzali Betsy: ona przecież tego chciała; gdyby udało się do tego doprowadzić, sprawa zostałaby załatwiona honorowo. Przekonanie, że potrafię to wszystko gładko przeprowadzić, wywołało u mnie poczucie lekkości i bez troski; możliwe, że w tamtej chwili blask słońca przepełniał mnie taką energią, że nie brałam żadnych trudności pod uwagę. Postanowiłam iść jak zwykle do szpitala, ale tym razem na krótko, a potem do mieszkania Betsy i dzwonić do domu Fairliech aż do skutku. I wtedy pomyślałam, że przecież nie muszę tam chodzić. Edmund dał mi wizytówkę, którą wsunęłam pośpiesznie pomiędzy kartki którejś książki telefonicznej, byle tylko pozbyć się tego nienawistnego kawałka papieru. Byłam już jednak na ulicy i nie miałam najmniejszej ochoty wracać do domu. Kupię coś do jedzenia po drodze; koniecznie trzeba zadzwonić do Nigela i zaprosić go na kolację - ale może nie tego wieczoru. Zbyt pochopne działanie mogłoby sugerować, że czuję się winna. W każdym razie, postanowiłam odłożyć tę sprawę; ta druga była w tej chwili ważniejsza. Pójdę wprost do szpitala, a potem, jeśli okaże się to możliwe, wrócę do tych planów, żeby je udoskonalić.

Kiedy weszłam do pokoju Betsy, natychmiast zauważyłam zmianę. Leżała nieruchomo, oczy miała zamknięte. Chciałam poszukać pielęgniarki, ale korytarz był pusty. Pani Purslow też najwyraźniej była zajęta; w każdym razie nie było jej na stanowisku. Wróciłam do pokoju, usiadłam bezszelestnie przy łóżku. Uświadamiałam sobie bezruch upalnego powietrza i towarzyszącą mu głęboką ciszę, której nie wolno mi było zakłócać. Delikatnie ujęłam jej dłoń i wtedy wreszcie otworzyła oczy i mnie zobaczyła.

- Beth - powiedziała. Było to moje imię z dzieciństwa, zarezerwowane jedynie dla garstki wybranych przyjaciółek. Potem jej powieki znów opadły. Siedziałam z nią godzinę, cały czas trzymając za rękę.

- Dziękuję - wyszeptała w którymś momencie z westchnieniem.

Kiedy zobaczyłam, że śpi, wymknęłam się na palcach za drzwi; nie towarzyszyła temu ulga, którą zawsze odczuwałam, wychodząc od niej. Tym razem czułam gniew, nawet wściekłość. Rozklekotany autobus dowiózł mnie tylko do Piccadilly; tam wsiadłam w taksówkę, na którą, jak mi się zdawało, czekałam całe wieki. W mieszkaniu przeszukałam wszystkie książki telefoniczne i zostawiłam je rozrzucone na podłodze. Kipiałam gniewem i wiedziałam, że stan ten nie będzie trwał wiecznie; należało więc działać teraz, kiedy sięgał zenitu. Tymczasem nagły przypływ słabości zmusił mnie, żebym usiadła i poczekała, aż poczuję się lepiej. Nie było w tym nic tajemniczego; poprzedniego dnia niewiele jadłam, a dzisiejsze śniadanie składało się jedynie z filiżanki kawy.

Siedząc na podłodze, wpatrywałam się w wizytówkę Edmunda, aż w końcu rozjaśniło mi się w głowie. Były na niej dwa adresy, jeden w Hampshire, drugi w Londynie. Londyński oznaczał pewnie ten dom, którego nigdy nie widziałam, a którego Constance nie cierpiała. Wiedziałam tylko, że stał w pobliżu rzeki przy niewielkim skwerku, którego nie znałam. Wydawało mi się, że to nie jest ten numer, który znalazłam w mieszkaniu Betsy, nie byłam jednak o tym przekonana; czułam, że pamięć mnie zawodzi z powodu chwilowej niedyspozycji. Kiedy poczułam się lepiej, wykręciłam numer z wizytówki. Nikt nie podniósł słuchawki.

Bez zastanowienia wyszłam z domu i skierowałam się nad rzekę. Nigdy wcześniej ta dzielnica nie wydawała mi się tak nieprzyjazna. Pałace słońce wyludniło ulice; rolety w oknach domów były opuszczone, samochody pełzły niemalże bezgłośnie. Marzyłam, żeby ten dzień już się skończył, a jednocześnie nie miałam ochoty przeżyć następnego takiego samego. Czułam się uwikłana w coś, co okazało się dla mnie za trudne, może nawet byłoby za trudne dla każdego. Tymczasem smutek, jaki powinien towarzyszyć tej sytuacji, był nieobecny, ulotnił się,

pozostawił jedynie bezrozumną nieustępliwość. Próbowałam ożywić wcześniejszy gniew; teraz nawet jego zabrakło.

Odnalazłam ten skwer bez trudu, jakby ktoś wskazywał mi drogę. On również był opustoszały, tylko w jednym rogu dwóch małych chłopców kopało od niechcienia piłkę. Zaraz zresztą zniknęli, bez wątpienia zniechęceni upałem. Nie miałam najmniejszego kłopotu z odnalezieniem domu. Natrętnie przyciągał wzrok tablicą z napisem: SPRZEDANY Była nieco przekrzywiona, co mogło świadczyć, że tkwi tam już od jakiegoś czasu. Paradoksalnie, to opuszczone miejsce, które z każdą chwilą nabierało coraz bardziej symbolicznego znaczenia, było na tej ulicy jedyną wymowną, choć nieożywioną rzeczą. Oddaliłam się stamtąd pośpiesznie, jakbym niechcący podsłuchiwała sekretną rozmowę spiskowców, a ona dla pechowców, którzy ją przypadkiem usłyszeli, niosła jakieś zagadkowe przesłanie. „Wiem, co trzeba zrobić”, powiedział. W ten oto sposób uniknięto wyjaśnień, egzegezy. Wszystko się rozegrało bez naszej wiedzy, by nie wspomnieć o zgodzie. Stanowczość, z jaką całą akcję przeprowadzono, była znamienna. Taka stanowczość, takie zdecydowanie były dla mnie nieosiągalne. Nie będzie już czasu na wypowiedzenie niezbędnych kłamstw. W ten sposób, który był niemal do przyjęcia, sprawę załatwiono. Betsy nie będzie niczego wiedziała; miałam nadzieję, że wciąż jeszcze umie jak zawsze chętnie oddawać się złudzeniom. Ja już zostałam odarta ze złudzeń, na zawsze. Znałam prawdę. A prawda ta była oczywista: ze wszystkich punktów widzenia, mojego, Betsy, nawet Edmunda, sprawa była zamknięta.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Teraz, wiele lat po śmierci Betsy, wiele lat po tym, jak syn Edmunda spadł z motocykla i zginął pod kołami nadjeżdżającego z przeciwka samochodu, myślę o tamtych wydarzeniach tak, jakby rozegrały się w życiu kogoś innego. Co dziwne, a może nie takie znowu dziwne, najbardziej dotknęła mnie śmierć Davida, chociaż prawie go nie znałam. Zapamiętałam jednak jego twarz, ten powściągliwy uśmiech, tak podobny do uśmiechu Edmunda; było w nim również coś z uśmiechu Constance, ale ona rzadko się uśmiechała. Mam pięćdziesiąt sześć, prawie pięćdziesiąt siedem lat. Zgodnie z opinią prasy brukowej, którą teraz czytuję przy śniadaniu, pięćdziesiątka to nowa trzydziestka. Ale to nieprawda: kiedy ma się trzydzieści lat, żyje się jeszcze nadzieją. Trochę za wcześnie się urodziłam. Odebrałam niewłaściwe wskazówki od nauczycieli i pisarzy. Betsy przynajmniej wybrała bardziej podniosłe wzory do naśladowania. Bo tak teraz o niej myślałam, jako o tragicznej heroinie, której przeznaczeniem jest umrzeć. To wprowadzało jakąś harmonię i symetrię i nieco łatwiej można się było pogodzić z jej śmiercią. Prawdę mówiąc, wszyscy znani mi ludzie zostali wcześniej gdzieś opisani na kartach, na których nie mam już ochoty ich szukać. Nawet książki potrafią nas zawieść.

Nadal od czasu do czasu widuję Nigela, chociaż więzy, które nas łączyły, zostały bezpowrotnie zerwane. Czasami spotykamy się na spacerze w parku, co on życzliwie proponuje, ponieważ przypuszcza, że doskwiera mi samotność. Wyczuwa zawilość moich utrapień i nie ma ochoty ich zgłębiać, a ja i tak nie umiałabym mu niczego wyjaśnić. Na pewno daje mi się we znaki czas, którego on chyba nie zauważa, mimo że jest starszy ode mnie. Nie odwiedza mnie już i domyślam się, że z kimś się związał. Jest ciągle przystojnym mężczyzną, choć teraz muszę już dodać - jak na swój wiek.

Czasami przechadzam się tak jak niegdyś, wczesnym rankiem albo po zmroku. W szpitalu, gdzie pracuję jako wolontariuszka, witają mnie serdecznie. Zawarłam tam nowe przyjaźnie, z kobietami, wyłącznie z kobietami. Przejęłam od Betsy zwyczaj zaglądania w dziecięce twarzyczki: jeszcze jedna oznaka starzenia. Dni mijają teraz szybko. Tylko około szóstej opuszcza mnie spokój, czuję pustkę wokół siebie i pragnę, żeby ktoś do mnie przemówił. Spieram jednak dobrze i nic mi się nie śni. Gdybym znów zaczęła śnić, wiem, że byłyby to sny o dalekiej przeszłości: znalazłabym się w domu, z rodzicami, albo biegłabym na ich spotkanie, z twarzą rozpromienioną radością, tak jak musiało to być na początku świata.